

MELANJA PARCZEWSKA

NAD ODRA, ŁABĄ
I DUNAJEM

SZKICE I OBRAZY

II

W I L N O

1 9 3 9

114

59/53

52907.2

II



Dł. Rostek Antoni

St.-gród - Piotrowice

ul. Kościelna 45

26.9.53r. zł. 50,- (całość II i III t.)

PRZEDMOWA.

Książka niniejsza p. t. „*Nad Odrą, Łabą i Dunajem*” w całości przygotowana została do druku przez brata Melanji Parczewskiej, zmarłego 21 kwietnia 1933 r. ś. p. Alfonsa Parczewskiego, honorowego profesora i niegdyś (w ll. 1922—24) rektora Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Za jego życia, jego nakładem i staraniem uskutecznilo druk pierwszych 17 arkuszy (do str. 272) niniejszego tomu.

Choroba i śmierć ś. p. rektora Parczewskiego spowodowała kilkoletnią przerwę w wydawnictwie, które dopiero teraz, po odszukaniu tekstu stron końcowych—mogło być podjęte na nowo i dokończone kosztem Rodziny.

Pisma ś. p. Melanji Parczewskiej. zawarte w zbiorze niniejszym, łącznie z wydaną dawniej publikacją, zatytułowaną: „*Z dni ucisku*”, — nie obejmują wszystkich jej utworów, artykułów i przyczynków, rozrzuconych po czasopismach i wydawnictwach zbiorowych, a wyszczególnionych w t. I pism („*Z dni ucisku*”) na str. XXXVIII—XLI.

Jednak — jak sądzimy — i w tych ramach, może cokolwiek szczuplejszych od zamierzeń pierwotnych, obrazują w mierze dostatecznej umiłowania, rozległe widnokęgi myśli i całą działalność pisarską Zmarłej.

Stanowiąc lekturę zajmującą i pożyteczną dla szerszych warstw czytającego ogółu, zgodnie z myślą ś. p. Alfonsa Parczewskiego, jako wydawcy, — będą jednocześnie hołdem, złożonym niezapomnianej pamięci Melanji Parczewskiej, utalentowanej pracowniczki na polu piśmiennictwa, niestrudzonej działaczki społecznej i narodowej, — a w czynie każdym czcigodnej i przeznacnej Polki. --

DWORZANIN
OSTATNIEGO PIASTA
P O W I E Ś Ć

WIARUSOM ŚLĄSKIM W NOWOROCZNYM UPOMINKU
POŚWIĘCA

AUTORKA

I.

Na dworze księcia Krystyana gwarno było i wesoło jak nigdy. Pan na Brzegu, Lignicy i Wołowie przyjmował na swoim dworze licznych bardzo gości. Byli to z daleka, bo aż z Polski przybyli krewni, powinowaci i przyjaciele księcia. A więc z całym swoim dworem Denhof, wojewoda pomorski, szwagier księcia, a mąż urodziwej niegdyś księżniczki Sybilli Małgorzaty, młody Pac, jeden z Lubomirskich, Opałiński, Ciświcki, Lipiński i moc szlachty polskiej. Na wieść o przybyciu rodziny i przyjaciół księcia, zjechała się na dwór piastowski polska szlachta ze Śląska. Można rodzina hrabiów Prażmów, od Bytomia nadjechał hrabia Gaszyna, z pod Kluczborka ściągnęli Paczeńscy z Kobierzna, Studnice i inni. Polska szlachta kochała księcia, który z zniemczonej już pochodząc rodziny Piastów, urodzony z niemki, księżniczki brandenburskiej Doroty-Sybilli, sprawiedliwym i dobrym był dla wszystkich poddanych, szczerze i gorąco kochał mieszkający w jego dzielnicach lud polski. Nie brakło na zamku także niemieckiej szlachty i panów. Rej wodził Franciszek Henryk Hohenhausen, Reinbaben i ze szlachtą raciborskiego powiatu przybyły Franciszek Euzebiusz Oppersdorff. Choć zima w 1670 roku była ciężka, mroźna i śnieżna, a drogi jak zwykle w lutym trudne do przebycia, wszyscy pospieszyli z ochotą brać udział w uroczystościach

rodzinnych, obchodzonych na dworze Piastów. Z okazji przybycia pana wojewody z żoną, wojewodziną, córa Piastów od chwili zamążpójścia swego do Polski, po raz pierwszy zjechała w progi rodzinnego domu. Starożytny czworoboczny zamek książąt w Brzegu w 1574 roku odnowiony i arcydziełami sztuki ozdobiony przez dziada księcia Krystyana, ks. Jerzego II, roił się tłumem świetnych gości. Dziedziniec zamkowy, wykładany kwadratowym kamieniem wypełniony był masztalerzami i pacholkami; ciekawie zaglądali mieszczanie, obok kapoty widać było i siermięgę wieśniaka z okolicznych wsi Lubszy i Mąkoszyc. Nikt się nie lękał kary i nagany za śmiałość wtargnięcia na dziedziniec zamkowy, każdy wiedział że czuwa nad nim opieka dobrego i łagodnego pana. Po wspnianych potrójnych galerjach, okalających podwórzec zamkowy, kręcili się dworzanie. Ten i ów spieszył z poleceniami, lub na wezwanie swego pana. Wrzało jak w ulu, co chwila wybuchano śmiechem a echo jego odbijało się o te mury prastare i płynęło w dal, za portyk wspaniały, strojny w herby Piastów, sajda-ki, hełmy i inne zbroje.

Gdzie tylko padło oko, błyszcząca broń i wspniale stroje. Aż łuna biła od lam złocistych, pasów i klejnotów, zdobiących panów polskich.

W masztalerni rzędy na koniach oślepiały wzrok od iskrzących kamieni a kolebki, w jakich zjechała na dwór szlachta polska, królów mogły nawet wozić. Służba dworska księcia Krystyana z podziwem spoglądała na bogactwa Polaków.

Kiedy w sali jadalnej czas rozmową skracali starsi, a młodzież obok zabawiała się tańcem, w południowej stronie zamku, w pokoju księcia, przy małym perłową macicą wykładanym stoliczku, siedział książę i poufnie rozmawiał z Wojewodziną.

— Siostro moja — gdy zostali sami, pierwszy przemówił książę — dozwól, że znalazłszy wolną chwilę, raz jeszcze z duszy podziękuję za odwiedziny mego domu. Przybyciem swoim w stare piastowskie progi, przywodzisz mi na pamięć dziecinne lata i drogę rodziców twarze.

— Bracie i panie mój! — odparła wojewodzina — najmilszy duszy mej spełniam obowiązek. Serce ciągnęło mnie do was tymwięcej, że i pan mój i małżonek zgodził się chętnie. Jak wiecie, należy do orszaku, który na granicy polskiej ma powitać narzeczoną naszego króla Michała Wiśniowieckiego, księżniczkę Eleonorę Austryacką. I ja należę już do dworu przyszłej królowej polskiej. Gdy jutro szlachta nasza podąży do granicy, aby połączyć się z resztą panów polskich, i ja z Wojewodą muszę pośpieszyć. Cieszę się, że was widzę, bracie drogi i że z wami poufnie mogę rozmawiać.

— Może to i ostatni raz widzimy się z sobą — dorzucił książę Krystyan, coraz więcej zapadam na zdrowiu.

Oczy Denhofowej z obawą spoczęły na bracie. Rodzeństwo kochało się szczerze, z całej i licznej rodziny, najserdeczniejszy wiązał ich z sobą stosunek.

Książę Krystyan, przebywający dużo wśród Polaków, w młodości na Litwie w gościnie u Radziwiłła znał dobrze ich macierzystą mowę, chętnie rozmawiał, i otaczał się Polakami. Wojewodzina żywiła te same uczucia względem brata, już przez to samo, że będąc żoną Polaka, pokochała jego mowę i ziemię rodzinną. Rodzeństwo najczęściej z sobą rozmawiało po polsku. Zaniepokojona uwagą brata mówiła wzruszona pospiesznie:

— Wam panie bracie nie wolno tego mówić, niewolno mówić jako ojcu nieletniego syna i jako panującemu księciu. Pamiętajcie, miły bracie, że wy i wasz syn, to ostatnia nadzieja Piastów.

Książę Krystyan podniósł się z krzesła, przeszedł po pokoju kilkakrotnie, popatrzał oknem, z którego daleki na Odrę roztaczał się widok, wreszcie stanął przed portretem swego rodzica, księcia Jana Krystyana.

Portret robiony był w tych czasach, gdy książę przebywał w Lesznie w granicach Polski, chroniąc się przed wojskiem cesarskiem które pod wodzą Schafgotscha zajęło Lignicę, Brzeg i Śląsk prawie cały.

— Czy wy myślicie siostró — mówił książę, patrząc na portret ojca — czy wy myślicie, że ja zapomniałem, iż w żyłach moich płynie krew królów polskich.

— Nie — dodał z mocą — tego nie zapomina się nigdy, że wpierrw aniżeli książęta niemieccy, polscy królowie, z rodu Piastów rządili Śląskiem; że to był ród potężny, przed którym drżały niemieckie duki i komesy. Rzeczpospolita polska, do której należę krwią i wspomnieniami, obchodzi mnie żywo.

— Obchodzi was żywo, a nie chcieliście zostać jej królem — podchwyciła Denhofowa.

— Wojewoda mówił, iż po abdykacji Jana Kazimierza chciano was obwołać królem polskim, gdybyście chcieli, korona Piastów spoczęłaby na waszej głowie. Polacy chcieli Piasta, potomka królów, a dziś mają tylko księcia.

— Ale ten książę to syn największego bohatera; syn Wiśniowieckiego, który krew przelewał w walce z kozakami, którego pierś broniła od napadów Rzeczpospolitą.

A ja cóż? smutno mówił książę Krystyan — słaby lennik niemiecki. Miałem garstkę życzliwych, lecz gdybym miał i cały naród za sobą, nigdybym nie został królem polskim. Wiecie siostró — dodał ciszej Krystyan — zamiast szczęścia dałbym Polsce wojnę,

nie pozwoliliby Niemcy, tak, jak mnie ojcu własnemu zabronili ochrzcić imieniem Piasta rodzone dziecko. Na zagładę skazują Piastów. Zresztą co tu mówić o tem, co już przeszło.

Tak, macie rację, bracie drogi i panie. To już przeszło, ale Wy musicie żyć, macie syna, to Piast. Tylko darujcie list, jaki do Was pisałam po śmierci brata Ludwika... Przebaczcie, że słaba kobieta, poważylam się Wam, księciu dawać rady. — Mówiąc te słowa podniosła się z krzesła i pochyliła prawie do kolan księcia. — Żadnych działów, bracie mój, tylko łączność, wyście przecież Piast, potomek królów.

Księżę podniósł klęczącą u nóg swoich rozplakaną siostrę i przyciskając do serca, mówił do niej z mocą:

Działy zgubiły Piastów, piędzi ziemi nie rozdzielię, jeśli zabiorą, to sami. Jerzy syn mój, to Piast, to dziecko moje, przyszły dziedzic i potomek wielkiego rodu.

Jakby na zawołanie z sąsiedniej sali wybiegło dziesięcioletnie chłopię. W czapeczce z dnem okrągłym, obszytej futerkiem bobrowem, w kontusiku, z szabelką przy boku, przypadło do kolan ojca i poczęło tulić się w jego objęcia. Jakaś światłość płynęła z okien i obejmowała te trzy osoby splecione z sobą w długim, serdecznym uścisku. Księżę Kryśtyan złożył obie dłonie na głowie dziecka.

Majestat królewski bił od całej postaci tego potomka wielkiej, panującej wieki całe w Polsce dynastji Piastów.

Trzy dni biesiadowano na zamku brzeskim. Dzień wypełniały łowy i gonitwy, wieczory spędzano wśród wesołych gawęd, tańca, muzyki i śpiewów. Nie brakło nawet uciesznych maszkar, za które poprzebierani dworzanie, do szczerego śmiechu pobudzali wszystkich. Szczególniej też ostatniego dnia, na po-

żegnanie, książę Krystyan pragnął ubawić gości. Więc kiedy wraz z siostrą i synkiem, opuściwszy swoją komnatę, ukazał się na sali, wchodzących powitały maskary. Przy dźwiękach wojennej pieśni, naśladować atak żołnierzy, wybiegł naprzód przebrany za Szweda w wysokich szwedzkich butach z kolistymi cholewami rajtar, którego jednym zamachem powalił o ziemię husarz polski. Radości i śmiechu było bez końca, gdy Szwed pobity, wypuściwszy z dłoni muszkiet, z jękiem i krzykiem począł co sił uciekać. Przypomniały się Ślązakom niedawne jeszcze czasy, gdy znienawidzone wojska szwedzkie niszczyły i plądrowały całą krainę. Po chwili znów z taboru tatarskiego z buzdynem w dłoni wypadł dziki Tatarzyn, zwyciężony w walce przez dwóch dzielnych kresowych polskich rycerzy. Krzyczącego na cały głos: „Allah“, „Allah“ zmusili do zatknięcia w miejscu, gdzie błyszczał półksiężyc, polskiej chorągwi z białym orłem. Nie brakło nawet poprzebieranych cyganek i ormianek, które zachwalając swoje wschodnie towary lub wróżąc pannom i kawalerom, kręciły się po sali. Ledwie te znikły, już znowu wystąpił błazen, szydzący ze zwyciężonych Turków i Szwedów, a dalej znów, paź złotowłosa, uderzając w struny lutni, w pieśniach niemieckich podnosił chwałę i waleczność polskiego rycerstwa. Gdy ostatnia maskara znikła za podwojami, kapela zamkowa zagrała do tańca. Zaroily się wtedy różnobarwne stroje. Obok krótkich francuskich i szwedzkich ubiorów, w jakie przybrani byli panowie niemieccy, jak luna mieniły się i błyszczały stroje polskiej szlachty. Uwagę wszystkich, zwracała obok braterstwa i męża pani Denhofowa. Miała na głowie czapeczkę aksamitną, obszytą w koło perłami jak groch, pod nią złocisty czepiec, suknię fioletową obszytą koronkami a na niej delię czyli płaszcz aksa-

mitny podbity futrem, na szyi kosztowne perły i klejnoty. Niegdyś bardzo piękna, siedząc obok braterstwa i męża, z majestatem panującej spoglądała na bawiącą się młodzież. Panowie niemieccy, zgromadzeni w jednym rogu sali, rozmawiając z sobą po niemiecku, niechętnie patrzyli na zabawę. Szczególniej też zagniewanym i zniecierpliwionym wydawał się hrabia Reinbaben.

Coś za bardzo nasz miłościwy pan pochlebia zagranicznym gościom — przemówił do towarzysza.

Będzie im się zdawało, że są wszyscy u siebie w domu, tak już nie mogą zapomnieć, że przed wiekami ziemia nasza należała do ich królów, dorzucił dumny von Haugwitz.

Tem więcej, że książe nasz pan, sam na nie szczęście nie zapomina, że w jego żyłach krąży marna kropla krwi Piastów. Zginie ona z czasem i przepadnie, jak już zamarło całe to pokolenie — dodał znów Reinbaben.

Byliby tak dłużej gniewali się i zżymali na widok jawnych uczuć przyjaźni dla Polaków księcia Krystyana, lecz zbliżył się hrabia Oppersdorff i przerwał rozmowę, zwracając ich uwagę na tańczącą w tej chwili parę, która urodą i zgrabnością budziła podziw. Młodzieńcem był ulubieniec księcia, Aleksander Lipiński, dziewczęciem z którem dworzanin księcia tańczył, śliczna, świeża jak kwiat jabłoni, Basia Bojanowska, wychowanka i daleka krewna Denhofów. Gdy na rozkaz Księcia, kapela dworska zagrała melodie krakowskie, których książe, przebywając wśród Polaków, nasłuchiwał się dużo i lubił bardzo, na sali rozstąpili się wszyscy i młoda para puściła się w tany. Śliczna Basia, ubrana w spódniczkę muślinową, w kontusiku z materji jedwabnej, który doskonale uwydatniał drobne i zręczne kształty, w czarnym aksamitnym

kołpaczku, podnoszącym jeszcze więcej jasne długie warkocze, tańcząc lekko a zwinnie zdawała się nie dotykać ziemi. Towarzysz jej, uderzając w podkówkę i przyspiewując w tańcu, jak to było w zwyczaju, zręczne zataczał koła, obchodził i kłaniał się pannie, jakby królowej jakiej. Nawet krzywem okiem patrzący na te popisy dokonywane przed książęcą parą, niemieccy panowie i panie podziwiali zręczność i urodę, a pański szyk tańczących. Młodzi tak byli zajęci tańcem i sobą, że niewidzieli nawet, co się w koło nich działo.

Książę z uśmiechem zwrócił na to uwagę szwagra.

— Ogromnie, jak widzę, wasza Basia wpadła w oczy Lipińskiemu.

— Kto wie, czy nowe małżeństwo nie połączy Śląska z Rzeczpospolitą — rozśmiał się Denhof.

— Lipiński rad będzie, gdyż postanowiłem aby Wam towarzyszył w drodze, a następnie zawiózł list gratulacyjny do księżnej Gryzeldy Wiśniowieckiej, z okazji zaślubin syna, króla Michała. Jestto wierny mój sługa, takiego zawsze dobrze mieć w podróży, droga daleka.

Miłościwy bracie, pamięć Wasza rozrzewnia nas — odparła Denhofowa. Sądzę, że i Baśka rada będzie z tej podróży.

To mój, nietylko sługa, lecz i przyjaciel najwierniejszy — mówił dalej książę — Lipiński, gorący katolik, gorąco kocha Rzeczpospolitą i wiem, że i mnie gorąco jest oddany i nikt, ale to nikt, nawet wśród naszych Niemców, nie jest tak wiernym, jak ów młody szlachcic polski.

Miejsce jego zawsze powinno być przy Was, i przy Waszym synu, szepnął Denhof.

Odpowiedź księcia Krystyana zagłuszył rozlegający się huk z moździerza, i w tejże chwili olbrzymie

światło zalało cały podwórzec zamkowy. To ognie sztuczne zapalono na dziedzińcach i wałach, okalających zamek. Potoki światła oblały galerje, portyk, basztę i w górę strzelające w mieście wieże kościołów. Płynęły ku brzegom Odry w dal, zdawały się zalewać i oświecać promieniami ziemię opolską i bytomską i w pomroce nocy słały odbicie swoich blasków daleko, het aż ku ciągnącym się wzdłuż brzegu Odry granicom Rzeczypospolitej Polskiej.

Już dobrze po północy, kiedy kurów pianie ogłaszać poczęło świt dnia nowego, umilkła muzyka i śpiewy, pogasły światła i cisza zaległa pełen życia i gwaru zamek. Na wieży tylko słychać było miarowe kroki wartownika i u wrót straż nocna, uderzając halabardami o kamienne progi, dawała znaki życia.

Goście, po wesoło przepędzonych zabawach i ucztach spoczęli we śnie. Księżę Krystyan nie spał jeszcze, w pokojach jego płonęło światło. Miał zwyczaj zawsze w dzień załatwiać wszystkie jakie przypadły czynności, jeśli nie starczyło dnia, najpóźniejsza godzina nie odstraszała go. Oczekiwał właśnie przybycia swego marszałka i podskarbiego zarazem księżęcej komory Wilhelma von Lingenau. Księżę Krystyan siedział na zwykłym miejscu, w ulubionem swoim krześle i patrzył na portrety ojca księcia Jana Krystyana i matki księżny Doroty Sybilli, której łagodna, pełna anielskiej dobroci twarz, z miłością zdawała się patrzeć na syna. Księcia smutne i bolesne opanowały myśli.

— Co to za дума i pycha — rozważał — najwyższy dostojnik dworu i nie zjawia się na dworze, wówczas, gdy ja pan i księżę przyjmuję miłych i pożądaných gości. Z duszy mojej chcieliby wyrwać nawet poczucie sprawiedliwości, chcieliby, abym zapomniał, że jestem panującym księciem nie dla garstki wybranych, lecz dla całego mego narodu. Dałem mu

najwyższe urzędy, w tej nadziei, że będę miał pomoc, a tymczasem...

Dalsze rozmyślania przerwało skrzypnięcie drzwi i na progu komnaty ukazała się zimna i sztywna postać pana von Lingenau.

Wasza książęca mość pracuje chociaż tak późna godzina — przemówił, podając księciu do podpisu papiery.

Księżę przejrzawszy pismo, odsunął je zlekka.

Wasza książęca Mość dzisiaj znużony, nie zechce podpisać? spytał marszałek.

Ani dziś, ani jutro nie podpiszę tego — odparł książę surowo — Lud biedny, nędzny jeszcze nie miał czasu wypocząć po krwawych wojnach szwedzkich, a już go mam obarczać nowymi ciężarami? Z czego brać, powiedzcie tylko mości marszałku, z gruntów strатовanych kopytami szwedzkich rajtarów, czy z chat popalonych, których sterczące kominy z gruzów wykopują.

— Proszę Waszej książęcej Mości — obmyśleliśmy jak najlepiej, ciężary obchodzić będą tylko tę ludność, która się różni z nami wiarą i narodowością, ludność nie naszą, obcą nam zupełnie.

— Mówicie panie podskarbi o ludności polskiej, ten lud i ta szlachta jest Wam obca, ale nie mnie. Oni są u siebie, na swojej ziemi, zechciejcie o tem pamiętać, że moje prawa są i będą prawami dla wszystkich. Dość już rodzin szlacheckich, dość już ludu polskiego surowe postępowanie moich przodków wypędziło z własnych granic i siedzib. I cóżeśmy na tem zyskali? Czyż moi poprzednicy utrwalili swoją władzę? Jesteśmy wasalami, lennikami — zapalał się coraz więcej książę Krystyan. Cóż się stało z udzielnymi panami Śląskiem?

— Kasa państwa potrzebuje zasilenia, skarb wy-

czerpany, samo przyjęcie takich licznych gości, duże pociągnęło kosztą, — jakby nie zwracając uwagi na wywody księcia mówił dalej Lingenau.

To ja podejmowałem gości, z mojej własnej piastowskiej szkatuły — odparł z naciskiem książę. W każdym razie — dodał po chwili — pobyt moich gości na zamku brzeskim, kosztował mnie mniej, aniżeli Wasz pobyt, panie marszałku, w Wiedniu.

Słowa księcia dotknęły do żywego marszałka. Był to przycinek słuszny, przycinek uczyniony do wydatków, jakie ze szkatuły państwa porobił marszałek podczas ostatniej podróży i pobytu we Wiedniu.

Marszałek chciał się jeszcze tłumaczyć, lecz książę Krystyan dał znak, iż posłuchanie skończone. Gdy opuszczał książęce pokoje wrzał cały tłumionym gniewem i oburzeniem, pięści zaciskał, aby nie wybuchnąć nienawiścią, jaką w tej chwili odczuwał w duszy dla księcia Krystyana.

I za kim, za kim się ujmuję — myślał przechodząc puste, słabem tylko światłem kaganków rozświetlone krużganki zamkowe. — W czyjej obronie walczyć chce zemną, w obronie garści nędzarzy, która prędzej czy później zginąć i tak marnie musi. Mnie, mnie, robił wyrzuty, czyż pobyt na dworze cesarskim, może się równać z pobytem szlachty polskiej na dworze lennego księcia?

Przechodząc koło Lipińskiego, który wraz z szatnym oczekiwał w antykamerze, zgrzytnął zębami, tak wstrętną i niemiłą była dla niego postać dworzanina księcia. Gdyby mógł, zdusiłby go w jednej chwili jak muchę,

Księcia Krystyana inne trapiły myśli po wyjściu marszałka dworu.

— Droga jaką szli przodkowie moi książęta śląscy z rodu Piastów, była złą i zgubną, gdyż wy-

pierając się praw przyrodzonych, wyrzekając mowy ojców, stracili samodzielność. Niechajże ja przynajmniej zachowam uczucie w sercu mojem dla biednego, wiernego ludu, dopomóż mi o Boże i nie karz dziecka mego za ciężkie przewinienia i niesprawiedliwość dziadów moich — rozważał potomek Mieczysławów i Bolesławów.

Z wszystkich dworzan księcia Krystyana, jeden tylko Aleksander Lipiński mógł wejść na pokoje bez meldowania. Wielu, szczególnie Niemcy zazdrościli mu względów i łaski. Gdy zjawił się na dworze młodzieniec o zawadjackiej trochę, lecz bardzo miłej i pogodnej twarzy, i tak od razu przypuszczony został do praw, o które inni daremnie się starali i karci zginali, zawrzało na dworze brzeskim. Z początku ten i ów podburzał na Lipińskiego księcia, byli znów tacy, którzy w najczarniejszych barwach malowali księcia, lecz po daremnych zabiegach, przekonawszy się, że nie mogą podstawić ulubieńcowi stołka, umilkli, w duszy jednak nienawidzili go szczerze.

Lipiński na dwór brzeski przybył z okolic Bytomia. Ród Lipińskich pochodził z Polski, z ziemi sieradzkiej. Stara to i dobra była a rozrodzona szlachta. Spokrewniona z wielkimi domami i familjami, liczne urzędy piastowała w Polsce.

Na Śląsk przybył dopiero ojciec Aleksandra, pan Franciszek Lipiński, młodszy syn komornika granicznego ziemi sieradzkiej. Pan Franciszek wojak zawołany, w roku 1620 przy boku hetmana Żółkiewskiego walczył mężnie z Turkami pod Cecorą. A taki ból porwał go na widok hetmana śmierci, zadanej ręką Turków, że odtąd przysiągł na obraz Matki Boskiej, który nosił na piersiach, walczyć zawsze z wrogami Ojczyzny. I niedługo czekał na sposobność. Gdy wojska szwedzkie pod wodzą króla Gustawa

Adolfa a przez zdradę elektora brandenburskiego zajęły Toruń i Gdańsk, i zaczęły niszczyć ziemie polskie, pan Franciszek znalazł się znów w szeregach hetmana Koniecpolskiego. W szczęśliwej dla oręża polskiego bitwie pod Trzcianą, 1629 r. stracił prawą rękę i został rotmistrzem. O dalszej wojence nie można było myśleć. W jednej chorągwi z panem Franciszkiem służył także szlachcic z ziemi bytomskiej, Polak, nazwiskiem Andrzej Lipiński z Lipin, z pod Bytomia. Ślązak ocalił panu Franciszkowi w jednej wyprawie na Szweda życie, a że się poprzyjaźnili wielce, w dodatku jeszcze wywiedli sobie pokrewieństwo, bo i w sieradzkiej i sandomierskiej ziemi, gdzie mieszkali krewni pana rotmistrza, pan Andrzej miał także powinowatych, więc już postanowili nie rozłączyć się nigdy. Po zawarciu rozejmu z Szwedami, obaj Lipińscy pojechali najprzód do Wodzierad, w progi rodzinne pana Franciszka. Rodziców już nie zastał przy życiu dzielny rotmistrz. Modlił się gorąco i płakał na ich grobie, a nad nim znów cała rodzina płakała. Opowiadaniom o wojnie nie było końca, z towarzyszem broni objeżdżać musieli całą okolicę, zwiedzili nawet wieluńską i kaliską ziemię, wszędzie mile widziani. Ślązakowi aż serce rosło, patrząc jak go podejmowali bracia w Rzeczypospolitej. Radością wzbierały serca obu przyjaciół.

Aż tu pewnego dnia do cichych Wodzierad, doszła wieść, że na Śląsku plądrują Szwedzi, że już zajęły Opole i Racibórz.

— Chryste Panie! — wykrzyknął rotmistrz, a pan Andrzej aż ścierpł cały z bólu i zaraz począł się zbierać do wyjazdu.

Pan Franciszek nie dał się wyprzedzić przyjacielowi, czyścił miecze i broń palną wyjmował z pudełka.

— Biłeś ty się panie bracie za moją ziemię, ja będę bił się za twoją, zresztą co tu gadać, to przecież nasza wspólna ziemia, jedną ręką chociaż jednego usiekę rajtara — odpowiedział tym, którzy dziwili się tej wyprawie. I przez Sieradz, Byczynę, Kluczborek, Lubliniec powędrowali obaj wojacy na Śląsk.

W samą porę przybyli, właśnie wtedy, gdy szwedzkie wojska w najlepsze poczęły plądrować po kraju. W jednej z bitw obaj krewniacy zostali ranni i z bólem serca musieli wracać na wypoczynek do Lipin.

Tutaj to czekała pana rotmistrza nagroda. Pan Andrzej miał jedyną siostrę, dużo od siebie młodszą, Polusię. Od razu chwyciła ona za serce wojaka. A że dziewczynie podobał się rotmistrz, więc gdy rany po-goiły się, na Matkę Boską Zielną w Piekarach, bo tak chciała Polusia, ślubowali sobie wiarę, miłość i wierność dogonną.

Pan Andrzej rad był, że najlepszemu przyjacielowi powierzył los siostry, tymwięcej gdy pod jesień rany zadane przez Szweda, odnawiały się nieszczęśliwie i wkrótce po nowym roku biedny pan Andrzej oddał Bogu ducha. W Lipinach pozostał więc na gospodarstwie pan rotmistrz z Polusią.

Tęsknił wprawdzie okrutnie za swoimi, lecz o powrocie do ziemi sieradzkiej ani myśleć nie było można.

— Przecież przysiągłem Jędrkowi, że tego kawałka ziemi nie wypuszczę z ręki, boć na niego obcy czychają jak wilki — powtarzał zawsze żonie.

Bogactwa na gospodarstwie nie było, bo go nie było nigdzie wówczas na Śląsku wśród Polaków, tylko nędza i bieda, wywołana wojną. Lipiny całe należały do państwa bytomskiego, część jedną posiadał pan Andrzej i tę przekazał siostrze. Pracy i kłopotu

na tym kawałku ziemi było dużo, ale że państwo Franciszkowie kochali się bardzo, że żyli po Bożemu, że nie uciskali biednego ludu, ale widzieli w nim brata, więc Bóg błogosławił im na zdrowiu a dzieci czworo rosło i chowało się dobrze. Kiedy już wielki ból i tęsknota za Wodzieradami i Rzeczpospolitą, rozdzierała mu serce, pocieszał się rotmistrz myślami:

— Zawszeć to nasza ziemia, chociaż przynależna cesarzowi austriaków, zawszeć to katolicki dwór, a co Habsburg, to nie elektor brandenburski. Przecież to człowiek i Kraków może widzieć i na Wawelu się pomodlić.

Bo i ziemia bytomska należała wówczas do dyecezyi krakowskiej, więc zdarzało się, że pan rotmistrz za swoim czy sąsiada interesem jeździł także do Krakowa, był i w Częstochowie, a te odwiedziny Krakowa i Częstochowy balsamem były dla duszy i serca pana Franciszka.

Najmłodszy syn rotmistrza Aleksander ulubieńcem był wszystkich a do wojaczki rwał się i palił od dziecka. Chłopaków ze wsi mustrował po dniach całych a wieczorami strugał znów szabelki i halabardy. Ojcu na ten widok przybywało do serca pociechy.

Pana rotmistrza znali i szanowali nietylko w okolicy. Nie mogąc już walczyć w obronie swoich, bo rany z wiekiem dokuczały coraz więcej, radą zawsze służył chętnie. Odwiedzali go przyjaciele i krewniacy z sieradzkiej ziemi i zaglądali nawet do Lipin, często też i z Krakowa i z za Wisły, znaleźli się u pana rotmistrza goście.

W roku 1654 ksiązę Krystyan, będąc jeszcze wówczas tylko księciem Wołowa, przejeżdżał przez ziemię bytomską, a że popas wypadł księciu w Lipinach, więc pan rotmistrz zaprosił do swego dworku Piasta. Księciu z natury pełnemu prostoty człowieko-

wi, podobało się w domu rotmistrza. Gawędzili o panach polskich, których ksiązę znał dobrze, więc czas im zeszedł prędko. Aleksander, który był małym chłopcem wówczas, tak przypadł do serca księcia, iż wymógł na ojcu słowo, że gdy dorośnie, przyśle go na dwór Piastów. Z czasem rotmistrz zapomniał o bytności księcia. Aż tu właśnie w chwili, gdy syna wyprawiał pod opiekę pana Czarnieckiego — niechaj się uczy pod jego wodzą walczyć i bić za ojczyznę, rozważał — aż tu w ten sam czas nadchodzi list bardzo serdeczny od księcia Krystyana, który zostawszy panem na Brzegu, Lignicy i Wołowie, przypomina rotmistrzowi dane przed laty słowo.

Bardzo niechętnie, ale dotrzymał przyrzeczenia rotmistrz.

Rozważał i omawiał z Polusią drogą wyjazd Olesia, nakoniec po różnych kalkulacjach tak przemówił do żony: „Moje dziecko, widocznie że taka wola Boża i tam nas potrzebują. Natchnienie Boskie spłynie może na ten nieszczęśliwy dwór niegdyś wiernych Piastów. Chłopak nasz pobożny. Niech widzą Niemcy, że Piast chociaż Niemiec, potrzebuje Polaka, zawsze to nasza Piastów krew, ludzki to pan i dobrego serca, może też bytność na dworze naszego chłopca niejednemu z naszych wyjdzie na dobre. Przecież to wszystko było także naszą ziemią. Niech jedzie!” dodał ze łzami w głosie.

Takim sposobem Aleksander Lipiński został dworzaninem Piasta. Nikt nie znał tak dobrze księcia i nie umiał tak czytać w jego twarzy, jak Lipiński. To też gdy po wyjściu pana marszałka Lipiński wszedł do komnaty i spojrzał na księcia, odrazu poznał, że niemiłą musiała być prowadzona przed chwilą rozmowa. Ksiązę trzymał pióro w ręku, na stole leżał list z napisem: Gryzeldzie Konstancji Korybutowej Księż-

nie Wiśniowieckiej, na dole wyraźnie rysował się podpis księcia: Krystyan II Piast.

— Z tym listem pojedziesz do Warszawy, oddasz go matce panującego dziś króla polskiego Michała — mówił książę.

— Wasza książęca Mość rozkazuje, wielki to dla mnie zaszczyt i radość, że zobaczę i poznam Warszawę. Młody Haugwitz opowiadał dziś w czasie uczt na sali, że hrabia Hohenhausen zawiezie listy Wasze miłośnicy książę i panie.

— Haugwitz nie może wiedzieć co ja robię, Hohenhausen woził list z życzeniami do króla, gdy tenże został wybrany, bo ja tak chciałem. A teraz ty pojedziesz, Lipiński. Gości polskich odprowadzisz do granicy a stamtąd zaraz jedź do Warszawy. Księżnie Gryzeldzie powiedz, że jestem zawsze wiernym przyjacielem Rzeczypospolitej i jej syna — ty to lepiej powiesz jak Hohenhausen — dodał z uśmiechem, a wracaj szybko, bo tu teraz zanoszą się na burzę, a ja ciebie potrzebuję bardzo, mój chłopcze i mój mały Piast także cię potrzebuje. A nie zabałamuc się gdzie w podróży i weź z sobą kilku ludzi, abyś przecież godnie zjechał do Warszawy. A do ojca jedź na czas krótki, po drodze pozdrów znajomych braci Polaków serdecznie. Jutro jeszcze zobaczymy się — do końca.

— Rozkazy Waszej książęcej mości są dla mnie święte, wszystko do podróży gotowe — odpowiedział Lipiński, całując w rękę księcia.

Po wyjściu swego ulubieńca książę Krystyan, choć już bardzo późna na wieży zamkowej wydzwaniała godzina, zaczął czytać na stole leżącą książkę. Były to ody pochwalne i elegje przez Marcina Opitza, Ślázaka, Niemca, pisane na cześć rodziców księcia.

W nich znany niemiecki poeta sławił Piastów,

królów polskich, Mieczysława, Bolesława i Kazimierza Wielkiego oraz podnosił męztwo i szlachetność oręża polskiego.

II.

Burza wojenna, która przez lat 30 szalała w Niemczech, ogniem i mieczem zniszczyła śląską krainę. Popalone wsie i miasta świeciły pustkami, z murów miejskich w wielu okolicach zostały tylko gruzy, wsie całe zginęły z widowni, przepadły wśród huku dział i szczęku broni, zatoneły w falach krwi i łez ludzkich; czego nie stratowały kopyta końskie, czego nie zniszczyło łupieztwo zdzierających wojsk zaciężnych, tego dokonały głód i choroby, chciwość i brutalność panów.

Z głębi Niemiec przybywały na Śląsk tłumy szlachty i osiedlały się na polskich ziemiach, wykupując je za bezcen, za darmo prawie, od niezdolnej do obrony, bo zmarnowanej moralnie i materialnie ludności polskiej. Panowie ci, przybywając z nad Renu, z lasów Turyngji lub gór Harcu na ziemię polską, ziemię Piastów, przynosili z sobą swoje prawa i zwyczaje. Przybysze zmuszali miejscowych do ich przyjęcia, a kto uchylał się od rozkazów, kto dopominał się sprawiedliwości, tego czekało prześladowanie i większa jeszcze nędza i niedola. Ludność polska, zmuszona srogiem obchodzeniem się przybyszów, którzy u rządu zawsze mieli poparcie, pod naciskiem gwałtu uciekała do Polski. Tam w granicach Rzeczypospolitej czuła się u siebie. Od Bytomia i Raciborza chronili się do ziemi krakowskiej. Od Brzegu i Opola zaludniali Wielkopolskę, okolice Rawicza, Leszna lub Poznania. Silniejsze natury, znosząc ucisk i niedolę, pozostawały na miejscu.

Całe dziesiątki lat nie mogły zagoić ran, zadanych 30 letnią wojną. W państwie brzeskiem, za

rządów księcia Krystyana, lżej odetchnęła polska ludność. Szlachetny bardzo gdy po śmierci braci został księciem Brzegu, Lignicy i Wołowa, o ile mógł, sprawiedliwością rządził się względem wszystkich poddanych. Najmilej mu było wówczas, gdy na dworze jego przebywali Polacy. Z natury cichy i mało mówny, ożywiał się w ich otoczeniu.

Kamera brzeska, niechętna upodobaniom księcia, nie znosiła, gdy na dworze Piasta słychać było dźwięki polskiej mowy, gdy zamiast krótkich koletów niemieckich jaśniały polskie stroje, barwne kontusze i żupany.

To też z radością wielką marszałek dworu Lingenau i Haugwitz przyjęli wiadomość, iż po kilku dniach pobytu goście polscy opuszczają nakoniec prastary piastowski zamek. A książę pan tej nocy nie mógł spać wcale i z pierwszym promieniem słońca, który przez okno wdarł się do wnętrza komnaty, już był na nogach. Z rozrzwinięciem wsłuchiwał się w gwar płynący od dziedzińca i masztalerni dworskiej. Cała młodość jasna i szczęśliwa, pełna uroku i nadziei stanęła mu w pamięci. Myślą jak na dłoni widział znów łowy w puszczach litewskich lasów, wody Niemna, dwór książąt Radziwiłłów i te czasy, gdy z synem jednego z nich wspólnie pobierał nauki. Słyszał pieśni polskie i miłej mowy dźwięki.

Smutne przeczucia mówiły mu, że tych obrazów już nie zobaczy nigdy, że ci którzy są bliscy, na zawsze już progi jego opuszczają. A tymczasem ruch robił się coraz większy. Kotłowało tylko i wrzało jak w garnku. Masztalerze nawoływali pacholków, dworzanie masztalerzy. Po ubitym, skostniałym od mrozu śniegu skrzypiały koła kolebek i wozów, tętniały kopyta końskie. Na tkaniny i wzorzyste kobierce, które remi wyłożone były kolebki i wozy, padały skrzące

promienie słońca, w blaskach jego wszystkiemi kolorami mieniły się rzędy na koniach i uzbrojenia. Gdy około południa cały ten świetny orszak opuszczał gród piastowski, gdy za odjeżdżającymi z głuchym jękiem zapadły wrzesciade wrót zamkowych, a wznieścionemi w górę halabardami po raz ostatni straż żegnała gości, w progach wspaniałego portyku, wpatrzony w dal, długo jeszcze stał książę z synkiem.

Już minęli mury i baszty, fosy i okopy, most na Odrze, a książę Krystyan stał jeszcze i jeszcze; w blaskach słońca iskrzył się, wpięty w kołpaczek syna wielki brylant, dar pamiątkowy księcia Radziwiłła.

— A pozdrów rodziców i powiedz im, że książę z rodu Piastów wdzięczny im jest za syna — temi słowami pożegnał Krystyan ulubieńca swego.

Lipińskiemu, gdy wyjeżdżał z Brzegu, radość rozpieła piersi. — Pocziwe panisko, myślał, szykując się do drogi, zobaczę ojców, Lipiny, Częstochowę i Warszawę. Aż serce piszczy, gdy pomyślę, co to za jasności będę oglądał. Pocziwe panisko, daj mu tylko Boże zdrowie! A gdyby też tak dalej puścić się w drogę i odprowadzić Basię na miejsce, ale nie! książę kazał tylko do granicy, tłómaczył sobie. Ho! ho! Fritz Haugwitz inaczej będzie teraz na mnie patrzył, gdy książę powierzył mi już poselstwo, w pięty mu pójdzie mój wyjazd, a Reinbabenowi skreśli się chyba wątroba z zazdrości. Ha! dobrze wam tak okrutniki i zbóje.

Miedzy Lipińskim a młodym Haugwitzem i Reinbabenem wrzała tłumiona nienawiść.

Fritz i Wilhelm Reinbaben zazdrościli Lipińskiemu książęcych względów, ten znów nie mógł znieść pogardy, którą na każdym kroku okazywali dwaj młodzi, również dworzanie, polskiemu otoczeniu księcia.

Lipińskiego pachółkiem i masztalerzem zarazem był Janek Robota, który wraz z nim przybył na dwór z pod Bytomia, chłopak nadzwyczajnie do pana swego przywiązany. A że księżę polecił przystojnie udać się w podróż, więc Lipiński aby należycie okazać się wśród obcych, aby przecież wiedzieli, że nie żaden przybłęda, lecz dworzanin księcia Piasta jedzie, dobrał sobie jeszcze jednego, Kacperka Ryboka, który także pachółkiem był na dworze. Polskiego ludu wśród służby dość jeszcze kręciło się na zamku. Lipiński bał się wprawdzie, aby chłopaki nie narobili mu w podróży wstydu, boć przecież poraz pierwszy w tak daleką udawali się drogę. Przed wyjazdem kładł im jak pacierz w uszy:

— A pamiętać o koniach i zbroji, gwałtu i burd nie robić żadnych, boście przecież nie rozbójniki a ludzie, nie spijać się, dziewczętom nie zaglądać w oczy.

— A jegomość nie będzie zaglądał? — spytał Janek, kulbacząc konia.

— Patrzcie go! a tobie co do tego, łotrzyku jakiś.

— Mnie nic do tego, chciałem tylko wiedzieć, co jegomość będzie robił i co ja mam także robić.

— Janek! — wołał znów po chwili na pacholika Lipiński. A wiesz ty, gdzie jedziemy? —

— Wiem — odparł Janek — w świat, do Lipin, Częstochowy i Warszawy.

— A wiesz ty, co to jest Częstochowa? —

— A wiem, co Częstochowa.

— Głupiś — Częstochowa, to jest takie miasto, w którym jest duży klasztor a w nim obraz cudowny Najświętszej Panny, przed którym gdy raz padli na kolana księża i żołnierze polscy a modlili się gorąco, to wojsko szwedzkie, które oblegało klasztor, padało jak muchy.

— A to możebyśmy, będąc w tym klasztorze padli także przed obrazem i wymodlili u Panny Najświętszej, aby pana Haugwitza i Reinbabena wygnała precz daleko.

— Lipiński spojrzał na Janka i zauważył, że z niego będzie miał pociechę w podróży. A gdy ich obu zobaczył jeszcze na koniach w barwach piastowskich, to pomyślał, że nie tylko do księżnej, lecz nawet do samego króla może jechać w poselstwie z taką służbą.

Całą przyjemność podróży, psuła mu myśl, że niezadługo będzie musiał pożegnać się z gośćmi księcia. Tak się jakoś zdarzało, że siwek dworzanina kręcił się zawsze koło kolasy, w której jechała Basia Bojanowska. Choć mróz ścinał parę na ustach i oddechu trudno było połapać, Lipińskiemu ciepło biło od szafirowych ocząt dziewczyny.

Dużo gwaru, śmiechu i wesołości było w tej podróży. Orszak witano wszędzie po drodze z radością, bo panowie polscy na popasach i noclegach płacili dobrze, przemawiali jak do ludzi a nie jak do bydła. Nad brzegami rzeczki Stobrawy, rozdzielającej księstwo brzeskie od ziem śląskich, przynależnych cesarzowi, wypadł wspólny ostatni popas i wychyleno jeszcze kilka dzbanów miodu na cześć króla polskiego i Piasta.

Z Lipińskim żegnali się wszyscy serdecznie, bo przypadł panom do serca.

— Wdzięczny obraz mości panny, będę miał zawsze w mojej duszy, bo jako żyw jasności takiej nie oglądałem jeszcze—mówił na pożegnanie do Basi.

— Wprawdzie, jaśniejsze i miłsze panny są na dworze księżnej pani, lecz wdzięczność mam, iż Waćpan tak grzecznie przemawia do mnie sieroty.

— Da Bóg, że w Warszawie zobaczymy się,

bo póki oddechu mego, Waćpanny oblicza nie zapomnę.

Kiedy orszak przyjaciół księcia wjechał na wielki gościniec, wiodący w stronę Lublińca, ku ziemiom Polski, ku Częstochowie, Lipiński, chmurny i zamyślonny wraz z pachółkami swemi skręcał w bezbrzeżne, czarne jak noc listopadowa lasy. Wielką puszcza ciągnęły się i opasywały okolice Opola.

Kiedy wjechali w ciemne, przepaściste obszary drzew, Lipiński raz jeszcze obejrzał dobrze rynsztunek swój i pachółków oraz uprząż na koniach, sprawdził czy wszystko w należyтым porządku było, i na wozie, który z zapasami broni, żywności i odzienia jechał zwolna za nimi. Droga daleka a przez lasy niebezpieczna wymagała ostrożności i czujnego oka na wszystko. W podróży może się niejedno przygodzić, chociaż jadę dwornie jak kasztelan jaki, ojcowie, gdy mnie z dala zobaczą, nie poznają nawet i będą myśleć, że chyba księżę jedzie do nich w gościnę — rozważał Lipiński.

Miljony drzew, około których przejeżdżali, zastygłe pod pieczęcią śniegu i lodu, milczały w swym wielkim ogromie. Zadumane, czy też senne, stały nieruchome. Oddychać nie mogły pod ciężarem lodu i śniegu, gdyż nawet najlżejszy wiatr nie poruszał niemi. Z nieskalaną masą śniegu, który leżał całemi płachtami na ziemi, zlewały się sople lodu wiszące na drzewach jak bisiory z kosztownych, mieniących się opali. Migotały i skrzyły się tysiącami iskier w blaskach krwawo zachodzącego słońca. I cisza była i pustka jak na stepie. Czasem tylko większy sopel lodu oderwany od drzewa padł z głuchym łoskotem i rozprysnął się w tysiące drobnych jak łza perełek. To znów na odgłos uderzających o zmarzłą ziemię kopyt zrywały się do lotu czerniące się na wierzchołkach stada wron

i skrzydłami prując zastygłe w powietrzu pyłki szronu, krakały i krążyły w górze.

— Drą i drą dzioby, jakby ich kto prosił albo najął — zauważył Kacperek. Aż ciarki przechodzą, gdy się to słyszy.

— A możeby tak wystrzelić w powietrze raz i drugi, toby to psiarstwo rozleciało się, wtrącił Janek.

— Wara strzelać! jeszcze mogą powiedzieć, że polujemy na ptactwo, albo i na grubego zwierza.

— A jakbyśmy co ubili, toby się nam przydało. Jegomość niech jeno pozwolą, to my z Kacperkiem puścimy się w gąszcz.

— I skórę wam gdzie przetrzepią, ale to mniej-sza, bo ktoby tam dbał o takich jak wy łotrzyków, zaśmiał się Lipiński, ale to nieprzystojna rzecz i jeszcze Bóg wie, coby was spotkać mogło. Wara! pamiętajcie bisurmany, że jesteście w piastowskich barwach.

— Jegomość! słyhać, jakoby rzenie koni, ktoś niby za nami jedzie, zauważył Janek. Lipiński odwrócił się i począł uważnie przyglądać się, ręką zasłonił oczy, bo od śnieżnych blasków biła taka jasność, że aż oczy raziła i patrzeć nie można było w dal.

W samej rzeczy zbliżali się jacyś jeźdźcy, ale z daleka nie można było rozeznąć, kto to był, żołnierze, pachołkowie, czy też jakiś orszak z panami na czele. Czarny tylko punkt jak plama rysował się na białej przestrzeni śniegu.

— Bacność! jechać w ordynku, bo niewiadomo, kto, wróg czy przyjaciel się zbliża, komenderował Lipiński, okalając wraz z pachołkami wóz.

— Wykrakały one nam wroga, wtrącił swoją uwagę Kacperek, nienadarmo wzlatywały nad naszymi głowami.

— Ktoby to był? kupcy, żołnierze, czy też hul-taje? myślał Lipiński, bo w tych czasach a szczególnie

wśród głuszy leśnej, którą przejeżdżali, o wypadek nie było trudno. Kilka godzin jadąc bez przerwy, nie spotkali ani jednej żywej duszy, ani karczmy nawet, w którejby można ogrzać się, wyprostować skostniałe członki i konie nakarmić i napoić.

W Opolskim tak jak i na całym Śląsku, ludu było mało, ziemia pusta, bezdomna, nie miała jeszcze dość czasu aby zapęłnić się ludnością, zrodzoną i wyrosłą na gruzach i zgliszczach.

Lipiński wiedział o tem dobrze i przypomniał sobie jadąc przez las wszystko to, o czem mu rodzic w długie wieczory przy kominku opowiadał. Przypomniał sobie, że i opolska ziemia miała swoich książąt z królewskiego rodu Piastów i że to jeszcze w 1532 roku rządził tu ostatni potomek królów polskich i dopiero po jego śmierci wcieloną została do korony czeskiej i wraz z nią przynależną jest cesarzowi austriaków.

A może to cesarscy jadą? A może zbójce i szukać będą zaczepki? Ale to nic — pomyślał. — Znudziła go jednostajność i brak ludzkiego głosu i wzroku. Bezdenna martwota, która otoczyła go w tej puszczy, po gwarze i życiu na dworze w Brzegu, tęsknota za Basią i nadzieja ujrzenia rodziców, dworku i lip, co wokoło rosły wielką kępą, wszystko to wzbierało jakąś żałością i rozsadzało serce. Ucieszył się więc ludziom, których zjawienie się wyrwie go z tego smutku i ciszy. Zwolnili trochę biegu koniom. W tejże chwili nadjechało sześciu konnych a ludzie, jeden w drugiego, draby rosłe i tęgie, jak owe dęby co w lesie stały dumne i wyniosłe.

— Po dwóch na jednego, pomyślał Lipiński, nie tracąc jednak odwagi.

A co? nie mówiłem, że nam wykraczą nieszczęście, szepnął Kacperek Jankowi, człowiek jakby z łaźni wyszedł.

— Trzeba ci było piecuchu pod pierzyną leżeć, nie z nami jeździć w poselstwie, usłyszał odpowiedź Janka.

— A gdzie to Bóg albo czart prowadzi? Zapytał po niemiecku Lipińskiego jeden z jeźdźców, widocznie starszy z nich, bo i kubrak miał strojniejszy i z respektem usuwali mu się z drogi towarzysze.

— A tak przed siebie jedziemy, odparł krótko Lipiński.

— Hm — mruknął drugi — przed siebie, ho! ho! to strasznie daleka i niebezpieczna droga, można w niej kark słręcić i nie dojechać jeszcze nigdy do końca.

— Jeżeliby na jakowe przeszkody trafiło się po drodze, to trudno byłoby dojechać, lecz od czego broń. — Tu Lipiński ręką wskazał na miecz. Można przecież porządek zrobić i oczyścić drogę z wszelakiego paskudztwa.

— Oj, oj! jakoś zanosi się na złe, pomyślał Kacperek, który niemieckiej mowy nauczył się przy dworze, więc zrozumiał wszystko, co jeźdźcy z panem jego mówili. Lipińskiemu błysła myśl, że ci ludzie, sądząc po ich wyzywającym spojrzeniu i odezwaniu się starszego, widocznie szukają zaczepki. Nic go to nie przerażało. Z bronią umiał się dobrze obchodzić i nielada kto mógł się z nim mierzyć, a na Janka i Kacperka, podszytego wprawdzie tchórzami, rachował jednak dużo.

— Jegomość! Tylko ostro trzymajmy się, a nasza górą — dodawał sobie odwagi Kacperek. — Choć zęby dzwoniły mu jak w febrze i dla większej pewności, trzymał się z całych sił końskiej grzywy.

— A paskudztwa i psiarstwa wszelakiego to się teraz dosyć włóczy po świecie i zapelnione niemi gościńce, dorzucił Janek, zbliżając się do Lipińskiego tak, że prawie dotykały się ich strzemiona i ostrogi.

— A co to za urwisz, co koło was rycerzu

przyszczekuje jak psiaczek, zapytał jeden z jeźdźców, wskazując na Janka. A reszta, słysząc te słowa, głośnym wybuchnęła śmiechem.

— A cicho tam, cicho! nie zaczepiać spokojnych ludzi, bo jeszcze jedno słowo piśniesz a łeb ci rozwalę, krzyknął Lipiński. Zagotowało mu się w głowie, chwycił za miecz, bo dojrzał, i dosłyszał jak zbóje owi zmaiwali się, aby wszyscy razem uderzyć na nich.

— A miarkuj się, ty zbój, psubracie, bo nie wiesz, do kogo mówisz, nie wiesz, że jedzie poselstwo księcia na Brzegu, Lignicy i Wołowie, krzyknął Janek.

Lecz zaledwie wypowiedział te słowa, a już kule świstać poczęły w powietrzu i nad uchem. Bij! morduj! krzyknął na cały głos. Krew zastygła mu w żyłach, bo spostrzegł, jak draby rzuciły się na Lipińskiego. Nie doczekanie wasze, Kacperek! ratujmy! Kacperkowi nawet przybyło odwagi, przyciskając się do konia, mieczem ciął na lewo i na prawo, wprowadzie często zamiast przeciwnika, ciął tylko pustą przestrzeń. Wśród dymu migotała postać Lipińskiego, który szatkował napastników i wytężał wszystkie siły, aby odeprzeć drabów, którzy nacierali na niego. Błyszczały i świstały w powietrzu ponad głowami kule, lecz zamało było czasu na strzały. Walka szła wściekła, a widocznem było, że napastnikom szło tylko o Lipińskiego.

Janek zajął ich tyły. Drobną ale wyniosłą i zręczną jak topól postać Lipińskiego schylała się nadół, prawie ginęła tylko po to, aby uniknąć ciosów, to znów wypływała, unosiła się w górę i jak huragan uderzała z całą siłą na nieprzyjaciela.

Jezusie Nazareński! ratujcie nas wszyscy Święci! wołał Kacperek a widząc, że już, już tylko mają

przebić pana, z całym pędem porwał się i przyskoczył, krzycząc:

— Łotrze jakiś, zabijesz mi i usieczesz pana — i szach! machnął przez łeb jednego. Strumienie krwi popłynęły z rozplątanej głowy a wściekłość ogarnęła najeźdźników

Lecz i Lipińskiemu nie zabrakło odwagi. Zamiast słabnąć, sił mu przybywało, już i o ziemię powalił jednego draba, który krwią cały zalany leżał bez duszy, już zwycięstwo zdawało się sprzyjać niewinnie napadniętym, wtym nagle w bok silnem przebity cięciem począł się chwiać i bezprzytomny pochylił się na koniu.

— Panno Częstochowska — ratuj go! — krzyknął Kacperek — Zbójniki, dam ja wam tutaj!

W okamgnieniu, zanim obaj z Jankiem zdolali się opamiętać, już zbiry porwały między siebie pana Lipińskiego i z dzikim krzykiem unosząc go, poczęli uciekać wszyscy naprzód.

— Chryste Panie! ukradli jegomościa! — darł się za głowę Kacperek.

— Bij! morduj! pal! kto w Boga wierzy! wrzeszczał Janek i obaj z mieczami w ręku puścili się za uciekającymi.

Lecz jeźdźcy jak chmura płynęli szybko, ziemi prawie nie dotykając i unosili z sobą ofiarę. Rozpacz ogarnęła pachołków. Dodawała im męztwa, pędzili także na oślep, goniąc tylko ich ślady, bo w szalonym pędzie znikli im uciekający z oczu. Posyłane za nimi kule ginęły w powietrzu i tylko struga krwi, płynąca z rany Lipińskiego znaczyła drogę, po której mordercy i zbiry uprowadzili z sobą dworzanina Piasta.

— Psiarstwo! pogany! — krzyczał rwiąc sobie włosy Kacperek, żeby nie ja, byliby panicza od razu usiekli.

— Żeby nie ja, żeby nie ja — przedrzeźniał towarzysza Janek. Tu niema co przechwalać się, tylko radzić trzeba, dodał, gdy osadzili konie na miejscu, widząc, że mimo wszelkich sił dogonić napastników nie mogą.

— Powinni nam jak psom łby poprzestrzelać, żeśmy nie obronili pana, skarżył się Kacperek. Nas powinni byli zabić.

— A ciebie baranie naprzód trzeba było zastrzelić, nie widzisz, że to była zasadzka, że tu nie o nas szło, jeno o jegomościa.

— Prawda, że na nas jakoby łotry wcale nie patrzyły, trzeba radzić jak i co robić, zanim te Turki, Tatarzy czy Szwedy zabiją naszego pana.

— Głupis z Tatarami razem, to nie poganie ale knechty jakiegoś barona albo grafa. Widzi mi się, że to jakaś nieczysta sprawa — i po chwili pokrwawieni od ran zadanych, zmęczeni i przybici nieszczęściem które ich spotkało, nawrócili na gościniec w stronę, gdzie drżący od strachu siedział i oczekiwał pacholek na wozie

— Zobaczysz, mówił dojeżdżając na miejsce Kacperek, że nietylko nie zastaniemy wozu, lecz jeszcze nowych spotkamy zbójów i pewnie już żywi nie wyjdziemy z tej bójki. Lecz jakież było ich zdziwienie gdy posłyszeli słowa woźnicy:

— Ledwieście puścili się za jegomością w pogoń, a tu z lasu jak nie wypadnie dwóch drabów, jak nie porwie na koń rannego z ziemi, jak nie pocznie uciekać w las, to mknęli jak wichry, aż drzewa trzeszczały i wyrwane z korzeniami padały jak muchy na drogę, para koniom z nozdrzy buchała jak z pieca, a z pyska to im straszne skry leciały.

A chociaż ani jedno drzewo nie leżało na ziemi powalone — złe w nich wstąpiło — pomyślał Kac-

perek — bo ono dęby wyrывa zawsze i poczęli obaj żegnać się i odmawiać wieczorne pacierze.

— Jeżeli uciekli w las, w taką gęstwinę — myślał Janek — to muszą być chyba tutejsi i łatwiejsza z nimi sprawa. Możemy ich odszukać. Znają oni wszystkie tutejsze nory ale ich też znają chyba wszyscy. Tylko ani pary z ust puścić o tem, poco jedziemy i co nam się przydarzyło w drodze — komenderował Janek, układając rzeczy na wozie i przyprowadzając do porządku broń i uprzęż na koniach. — Chyba że to nie złodzieje i nie zbóje. Inaczej by nas okradli i zabić nawet mogli. Wielka to jednak śmiałość, że nie zważali na barwy księcia.

— A co ich tam książę obchodzi, przecież oni wiedzą, że tu już pan nasz niema władzy żadnej i że to nie jego ziemia.

— Ale upomni się o nas i przez to może jeszcze przyjść do wojny.

— Widzicie go! — spoglądając z politowaniem na towarzysza, zżymał się Janek — przez niego przyjdzie do wojny. Patrzcie! jaki rarytas!

— Tak czy tak, zginiemy napewno i nie odszukamy naszego pana, oni mają dziesięć dróg a my jedną przed sobą. Nielepiej to nam było siedzieć spokojnie w masztalerni a nie włóczyć się po świecie i w ręce leżć zbójowi.

— Opuszczać pana nie możemy, żeby tylko z tej przeklętej drogi na inny wyjechać gościniec, bo oni już daleko, ani śladu nawet nie widać na śniegu.

— Gdyby tak wóz zostawić a samym puścić się w drogę, w razie niebezpieczeństwa łatwiejby nam było uciekać.

— U ciebie zawsze rozumu tyle, co u ślepej kury — ofuknął towarzysza Janek. — A gdzie to

mamy zostawić wóz? żeby nam go ukradli. A co po-
wie jegomość, gdy go odszukamy?

— Oj, żeby tylko odszukać, żeby tylko odszukać—
ubolewał Kacperek a Janek już był gotów bójkę
z nim rozpocząć.

Bywało nieraz w masztalerni zamkowej o małą
rzecz klócili się i bili, że aż garście włosów wyrwali
z głowy, lecz kochali się i jeden dla drugiego gotów
był krwi utoczyć z palca.

— Widzi mi się, zauważył po chwili Kacperek,
jakoby dym wywijał się wężem wśród drzew. Może
dojeżdżamy do karczmy, albo do chaty jakiej, którą
sam Pan Bóg zsyła nam w tej ciężkiej doli.

Janek pilnie zaczął wpatrywać się w prze-
strzeń lasu. Szare otaczały go już mroki. Słońce kła-
dło się coraz niżej. Krwawe jeszcze przed chwilą
blaski coraz bledszem odbijały światłem i coraz wię-
cej kryły się za drzewa; ginęły za białą jak lodowce,
nieprzebytą przestrzenią lasu. Natomiast na ciemnem
tle nieba wyraźnie już odcinała się, strzelając w górę
wąska nitka dymu.

— Karczma! — wykrzyknął tryumfująco Janek—
nocleg i odpoczynek, a co najważniejsza, dowiemy
się niejednego i może na ślad jegomościa trafimy.
Tylko pamiętajcie, słówka nie pisać — upominał
Kacperka i woźnicę — ja sam mówię wszystko i za
wszystko odpowiadam.

Kacperek innym razem byłby wymyślał to-
warzyszowi, bo nie zawsze godził się na jego rozpo-
rządzenia. Lecz nadzieja odpoczynku pochłonęła całą
jego uwagę. Karczma to była, do której dojeżdżali
właśnie. Chociaż wówczas po drogach mało się krę-
ciło ludzi, przestrzeń skąpo zaludniona i dalekie
świeciły nieraz pustkami, w karczmie tej zawsze było
pełno, szczególnie pod wieczór. Zimą czy latem

wszyscy ściągałi z gościńca pod dach, gdzie dla ludzi i koni schronienie i posiłek był pewny. Karczma to była stara, prawie w ziemię wrosnięta, ale widna, jasna i zasobna jak mało. Budynek obszerny otaczały dwie duże, wygodne, pełne żłobów stajnie. Kuźnia też stała na uboczu i buchał od niej ogień i miechy dęły z całej siły. Podwórze obszerne wypełnione było wozami i wasągami. A chociaż stała na rozstajnych drogach, nie przypominała niczem zbojeckiej nory, przeciwnie, zdaleka nęciła i zachęcała podróżnych.

Pacholikom Lipińskiego aż ciężar spadł z serca, gdy posłyszeli gwar i życie, które przez otwierające się co chwila drzwi, płynęło na zewnątrz. Karczma stała na samym skraju lasu i przy końcu drogi, którą przebyli. W tem miejscu schodziła się ona z wielkim, szerokim gościńcem. Gościńcem tym zdaleka, bo aż z Kijowa przez Lwów, Kraków, Opole, Brzeg i Lignicę ciągnęli kupcy z skórami do Wrocławia, Lipska i jeszcze nieraz dalej. Tą samą drogą i krakowscy kupcy wieźli z Wieliczki wory i beczki soli i teraz właśnie, w chwili, gdy pachołkowie Lipińskiego dojeżdżali do karczmy, stały one na podwórzu, rzędem na wozach ułożone.

Wrocławscy znów kupcy także tym samym gościńcem ciągnęli z towarami na Śląsk, zapuszczali się i do Krakowa a nieraz i dalej jeszcze w głąb Rzeczypospolitej. W karczmie oddawna gospodarowali Niemcy, małżeństwo Millerowie z całą gromadką drobnych dzieci. Niemcy, mówili jednak dobrze po polsku, najpierw dla okolicznych ludzi, którzy innego języka nie rozumieli, więc musieli nauczyć się po polsku, a prztem przed trzydziestu blisko laty, kiedy ziemię opolską i raciborską cesarz wypuścił królowi polskiemu Janowi Kazimierzowi w dzierżawę, stary Miller mieszkał już w tej karczmie. Dużo w tych czasach kręciło się po

Śląsku panów polskich, szczególnie też, gdy Jan Kazimierz zamieszkał na czas jakiś w Opolu i Głogowie, więc wszyscy do Opola zdążali przez wielki gościniec, a na noc lub popasy ściągali do karczmy Millera w Chróścickim lesie. A że stajnie były wygodne, w gościnnych izbach czekały gości łóżka porządnie zasłane a ławy nawet czerwonym kilimkiem kryte, więc panowie polscy, spieszący do Głogowa lub Opola chętnie się tutaj zatrzymywali, a Miller z nimi umiał się dobrze rozmówić. Już to nikt tak nie potrafił obchodzić się z gośćmi jak Miller, śmiano się, że z czupryny przeczuł i odgadł zawsze każdego. Bywalec z niego był nielada i moc różnych, ciekawych przestróg miał do opowiadania.

Gdy Janek z Kacperkiem zatrzymali się przed karczmą, stary Miller siedział właśnie i rozmawiał z Węgrem, który od węgierskiej granicy dążył przez Racibórz, Opole, a potem i Brzeg po pieprz do Wrocławia. Miller opowiadał mu wspomnienia swoich lat dziecinnych z tych czasów, gdy w opolskiem i raciborskiem księstwie rządili Węgrzy a raczej Beetlen Gabor któremu w zastaw dał cesarz oba księstwa. Szwedów, którzy najgłębiej wryli mu się w pamięć, bo karczmę jego kilkakrotnie zrabowali i spalili doszczętnie, niecierpiał z całej duszy. Gdy sobie dobrze podpił, co się wprawdzie rzadko zdarzało, wówczas wzięwszy się pod boki, śpiewał znaną, przez wzgardę dla Szwedów ułożoną niemiecką pieśń, którą niby miał śpiewać król szwedzki.

„Wirtembergu stęsknionemi
Wyglądam ciebie oczyma,
Ach! wyglądasz nadaremnie,
Mnie w więzieniu Polak trzyma.
Gdzieżeś o mądry Eksenie,
Coś mi zawsze dobrze radził,

Ach! mój panie, żołnierz polski,
 Na stryczku mnie uprowadził.
 Ach! pomóż mi Oxenstjerno,
 Wszystko dla mnie nie po myśli,
 Kromwell, Szkot, Fin, Turek, djabeł,
 Oby na pomoc mi przyszli“.

Millerowa druga żona starego karczmarza, tęga, zażywna Niemka, ale i gospodarna i w porządku rozmilowana kobieta, kręciła się koło gości i każdemu umiała zawsze dogodzić w jedzeniu i napoju.

Kiedy Janek i Kacperek uwiązawszy u żłobu konie i pewni o wóz i rzeczy, nad którymi zdali opiekę woźnicy, weszli do izby, aż zakolatało im serce radością, tak tu gwarno i wesoło było. Nawet większej nabrali odwagi, gdy objęło ich światło i ciepłem buchnęła para, wydzielająca się z mis. pełnych gorącego jedzenia, oraz żar, który płynął od palących się na kominie i trzaskających całych kłód drzewa.

— Tylko ty nie odzywaj się i kwita. Jesteśmy ze dworu z Brzegu i jedziemy do swoich do Bytomia — przypomniał raz jeszcze Kacperkowi Janek. A gdy zasiedli pod piecem na ławie, i zanurzyli łyżki w misach grzanego i dobrze kraszonego piwa, które przed nimi postawiła skrzętna i baczna na wszystko karczmarka, na losy panów nie byłiby w owej chwili zmienili swojej doli.

W izbie rej wodzili kupcy krakowscy i dobijali targu z wrocławskimi o pieprz, dając im w zamian sól.

A skąd to Bóg prowadzi? pochwaliwszy najprzód Pana Boga, zapytał Miller grzecznie swoich gości.

— Jesteśmy z Brzegu, ze dworu i jedziemy pod Bytom do swoich, odparł Janek.

Gdy kupcy wrocławscy posłyszeli, że jadą z Brzegu, zaraz przybliżyli się i poczęli z niemi rozmawiać, ponieważ w Brzegu byli już nieraz i księcia Krystya-

na znali jako dobrego dla wszystkich pana. Rozpoczęli z niemi gawędę, to o jarmarkach, to o wielkich polowaniach, na które wiedzieli, że ksiązę lubił jeździć. Przybliżyli się też do nich i dwaj siedzący po drugiej stronie pieca wolarze, którzy całą gromadę wołów, samych opasów pędzili do Brzegu na jarmark. Szli oni do Brzegu poraz pierwszy i radzi byli, że mogli się z Jankiem nagadać i wypytać, gdzie najlepiej zajechać na noc, aby wygodnie pomieścić bydło, które prawie pół podwórza zajęło Millerowi. I nie upłynęło wiele czasu, a w karczmie rozmawiano tak głośno i tak szczerze, jakby to byli najlepsi i najdawniejsi znajomi. Janek dumny był, że go tak wszyscy otoczyli kołem i chociaż wchodząc do karczmy przyrzekał sobie, że tylko krótkie na wszystkie pytania będzie dawał odpowiedzi, rozgadał się jednak w najlepsze i wszystkim opowiadał przygody swego pana, swoje i Kacperka.

W owe czasy, nie dość jeszcze wystygłe od żarów wojny, nie dość oschłe od krwi rozlewu, ludzie wszystkich stanów żyli prawie gorączkowem, niezwykłym życiem. Zaprzyjaźniali się z sobą szybko, i szybko znienawidzali. Wojna i krew rozdzielała ludzi, ale też często niebezpieczeństwo, krew przelana łączyła ich na zawsze z sobą. Nieraz w karczmach przy antałku wina lub miodu, nietylko na polu bitwy, lecz w walce jakiej zaciętej, przysięgano sobie wieczną nienawiść albo też przyjaźń i zjednywano pomoc i przyjaciół w potrzebie.

I do kłótni wówczas ludzie byli łatwi, mała rzecz zapalała ich i unosiła gniewem, lecz w karczmie Millerów bijatyk i burd nie bywało. Gospodarz surowo przestrzegał i pilnował porządku. A jeśli już kiedy miały miejsce jakie zajścia, to wywoływali je najczęściej przygodni, po raz pierwszy zjawiający się u Millera

przejezdni ludzie. Chlubił się swoim porządkiem i gośćmi, ba! — mawiał zawsze — to nie byle jacy, ale panowie całą gębą.

Opowiadanie Janka o wypadku dworzanina zajęło go bardzo, przysłuchiwał się z całą uwagą, a że był nabożny i niedowiarków lękał się jak ognia, więc w tym jak i w każdym innym wypadku, przyczynę złego widział w spółdziałaniu heretyków, odszczepieńców od wiary.

— Już to nikt inny, tylko jacy niedowiarkowie wdali się w tę sprawę. W lasach chróścickich niema zbójów ani złodzieji, a gdyby byli, toby służba i strzelcy hrabiego rozpędzili ich na cztery wiatry.

— A może to właśnie służba napadła, kto ich tam zna, na dwór takiego pana spędzają ludzi z całego świata.

— My i tak naszego pana odszukamy, żeby go z pod ziemi dostać, prawda Kacper?

— Prawda.

— Żeby Turkom i Tatarom sprzedać się w niewolę — zapytał Janek — prawda Kacperku?

— Prawda — odparł zapytany, lecz ta ostatnia rada jakoś mniej mu przypadła do serca i gustu.

— Teraz takie czasy, że po drogach same napady — — wtrącił się do rozmowy — jeden z wrocławskich kupców, albo to mało z naszych nawet do karceru popakowali i za co?

— Jenó nie gadajcie i nie psujcie głowy chłopakom — odparł wypowiedziane zarzuty Miller, któremu szło bardzo o honor karczmy i okolicy — złe, podłe czasy, ale waszych, jeżeli więzili, to za to, że ludzi okpiwali albo towar zły sprzedawali, a czemu to wam żadne nie przygodziło się nieszczęście? he, czemu?

— Albo i mnie — dodał Krakowianin. Siła lat jeżdżę tym gościńcem, a zawsze chwalić Boga z to-

warem, no! i z pełnym trzosem, a żadnej jeszcze nie miałem przygody. Setny to widać był złodziej, co ukradł człowieka, a bogactw jego i służby ani nie tknął, mądry jakiś złodziej. Ja wam radzę, — tu zaczął już z pachołkami mówić po polsku — tu nic nie wysiedzicie i nie odszukacie pana, tylko skoro świt, jechać w dalszą drogę.

— Ho! ho! pana Szretera słuchajcie, bo on mądry i dobrze radzi, a cały Śląsk zna jak własną kieszeń— dodał Miller — Przecież nawet stąd pochodzi.

— Może od Brzegu? spytał Janek, bo i u nas są Szreterowie.

— Ej nie, mój dziad z jednym Szreterem, co takie sławne wiersze pisał, z miasta Nysy jeszcze przed stu laty przybył do Krakowa. Krewniakowi dziada poszczęściło się się na owych wierszach i miał sławę i uznanie nawet króla polskiego, a że memu dziadowi dobrze znów szło na kupiectwie, więc osiedlił się w Krakowie na zawsze; wielkie to miasto i bogate, kościołów moc, a co jeden to piękniejszy.

— Tam dużo w tym waszym Krakowie z naszych stron, a nawet i z Niemiec poosiadało ludzi — dodał Miller — zbogacili się niemało.

— Tylko że bezbożniki, wielu z nich nie pamięta nawet, że miastu i Rzeczypospolitej zawdzięczają chleb i przytułek, zapominają niektórzy, że ich Kraków jak matka przygarnął do siebie, uczciwszy uszy, wiele do nas z obcych stron przybyło pasuktwa i plugastwa. Ale Szreterów znają wszyscy, jak z waszym panem będziecie kiedy w Krakowie, to pamiętajcie wstąpić, a traficie łatwo, ulica Florjańska, niedaleko kościoła Panny Marji.

— Żeby tylko odszukać, żeby tylko odszukać, — biadali obaj pachołkowie, całując w rękę Szretera, którego rada zdawała im się najlepszą.

Wy jedźcie bez straty czasu, bo kto wie, jeśli on zuch taki, jak powiadacie, to i z największych karcerów nawet wyrwie się, a może on już na drodze do Opola, a może i dalej. A jeśli ja się co dowiem przypadkiem, to zaraz dam wam znać do starego do Lipin, albo i Millera zawiadomię, zresztą i Miller sam będzie się przepytywał — niezły z niego Niemiec — dodał Szreter, śmiejąc się szczerze.

— A jakże, ja już o was i o waszym panu nie zapomnę. Nie w takich interesach Miller ludziom radził i na dobre im zawsze wychodziła jego rada. Marsz chłopcy w dalszą drogę.

Nazajutrz, z pierwszym brzaskiem dnia, Janek i Kacperek uspokojeni i zachęceni słowami Szretera i karczmarza, pomodliwszy się gorąco przed obrazem Matki Boskiej, której wizerunek zdobił ich gościnną izdebkę, pożegnani krzyżem Świętym przez Szretera, puścili się w dalszą drogę, w stronę Opola.

III.

Gdzie ja jestem, co się zemną stało? rozmyślał Lipiński, odzyskawszy po długim omdleniu przytomność. Na razie nie mógł zdać sobie sprawy gdzie jest i co robi w ciemnościach, które go otaczały. Patrzył w przestrzeń, lecz prócz łóżka, na którym leżał, nic nie mógł widzieć, z osłabienia mgłą zachodziły mu oczy. W miarę, jak odzyskiwał przytomność, odczuwał także i ból w boku i dopiero ten ból przywołał mu na myśl niedaleką a tak pełną niespodzianek przeszłość. Przypomniawszy sobie wyjazd z Brzegu, rozstanie z polskimi panami, ów las wielki i ciemny, napad na

gościńcu, walkę i rany zadane ręką nieznanych włóczęgów.

— Gdzie ja jestem? kto mnie tu przywiózł? Co oni chcieli? Dlaczego taka ciemność wokoło? Czy to noc, czy też umyślnie zasłonili światło, abym nie mógł widzieć gdzie jestem. Co sie też stało z Jankiem i Kacperkiem, czy ich zabili, a może tylko poranili? — rozmyślał wciąż, siląc się odgadnąć, kto byli owi napastnicy. Jeśli mnie okradli, to goły jak święty turecki zajadę do domu, przecież muszę się wyrwać z tej nory zbójeckiej. Panno Najświętsza! ty mnie nie opuszczaj, zlituj się i ratuj w ciężkiej niedoli — modlił się rozrzewniony.

Wtem drzwi zaskrzypiały z cicha i do izby wsunęła się z kagankiem w ręku stara, niska kobieta. Nic, tylko matka zbójców — czarownica, pewnie z piekła rodem — pomyślał Lipiński — Ciekawy jestem, co ona będzie robić?

Kobieta, zbliżywszy się do komina, poczęła rozniecać ogień, robiła to wolno, co chwila odpoczywała, a ręce trzęsły się jakby ze strachu czy osłabienia. Gdy rozpałała na koniec i płomień rzucać poczęły na izbę światło, Lipiński przy jego blasku dojrzał, że staruszka nie wygląda wcale na czarownicę, przeciwnie nawet, pociągła wyrazem smutku i nieszczęścia. Siwe włosy starannie przygarnięte, pokryte były chustką, twarz żółta, chuda, miała tak pomarszczoną, że na nitkę można było naciągnąć wszystkie fałdy, i zmarszczki, które ją pokrywały. Zapatrzona w ogień, wciąż poruszała wargami, od czasu do czasu krzyż święty znaczyła na czole, i biła się w piersi.

— Nie tak źle — pomyślał Lipiński, widocznie modli się stara. Jeszcze nie najgorsi złodzieje. — Rozglądając się wokoło, dostrzegł, że małe, jedyne okienko szczelnie zasłonięte było szarą płachtą. Prócz

łóżka na którem leżał, ławy i stołu, w izbie żadnych innych sprzętów nie było. Na ścianie nad łóżkiem wisiał mały, poczerniały od starości i dymu wizerunek Najświętszej Panny. To już dobrze, pocieszał się, przecież tam, gdzie wisi obraz Matki Najświętszej, nic już tak strasznego nie może przygodzić się człowiekowi. Otucha i nadzieja wstąpiły w zbolełe serce.

Muszę przecież dać znać, że żyję, pić! — zawołał.

Staruszka zerwała się szybko, o ile jej siły starczyły i z kubkiem wody stanęła tuż przy łóżku.

— Lepiej wam panoczku — zapytała z troskliwością.

Lipiński chciwie pił wodę, gorączka spiekła mu usta i podniebienie.

Coście wy za jedna, co ja tu robię, poco mnie wieżicie? — pytał — ugasiwszy pragnienie.

— Kiej ja nic powiedzieć nie mogę, bo sama nic nie wiem.

— Dawno tu jestem?

— Trzeci dzień.

— A coście wy za jedna?

— Mieszkam tu z wnukiem Wojtusiem, służę w lasach hrabiowskich.

— Ha, to on ze zbójami napadł pewnie na mnie i strzelał, łotr jakiś.

— Mój wnuk do tego nie należał, Bóg świadkiem, że nie jest zbójem i ci, co was tu przywieźli, także nie zbóje.

— A pocóż napadli?

— Bo... bo... bo im tak kazali — wahała się z odpowiedzią stara.

— Kazali i kazali — krzyknął Lipiński i zerwał się na łóżku.

— Kto wam to kazał robić? — gadajcie zaraz, o łotry, gałgany! unosił się gniewem.

— Ja jegomości nic nie mogę powiedzieć, bo nic nie wiem, a gdybym nawet wiedziała, to i takbym nie mówiła, bo zakazali mówić... o mnie, to już mniejsza, niewiele człowiekowi należy się jeszcze na tym świecie. Ale tu o Wojtusia idzie, mścili by się na nim, a my już i tak biedni i nieszczęśliwi—poczęła płakać i trząść się jak w febrze. Lipińskiemu żal było starej, wzruszyły go łzy i boleść wyryta na twarzy, bo już z domu, od matki wyniósł naukę, że starość zawsze trzeba szanować, otoczoną dostatkami czy też największą biedą i ubóstwem.

— I czegoż wy płaczecie, stara, czy ja wam krzywdę robię? czy co u licha? Chcę tylko, abyście powiedzieli, co to za łotry wsadzili mnie do tej nory. A z koniem co się stało, ukradli pewnie?

— Nie, stoi w stajence.

— A co się stało z memi szatami? — ukradli czy nie? —

— Szaty są ułożone i leżą przy łóżku, broń jest także, nic nie zginęło, upewniała i przekonywała stara.

— A to grzeczne i godne jakieś złodzieje — pomyślał Lipiński. — Po Bogu, że szaty zostawili, golizną przynajmniej nie będę świecił; żeby aby pieniędzy i papierów, gdzie były listy księcia, nie skradli. Całe poselstwo djabliby wzięli. Już nic a nic nie rozumiem — rozważał. Im więcej zastanawiał się nad swoją przygodą, tymwięcej budziła ona w nim podziwu. Stara! — zawołał po chwili — pieniądze, to już napewno skradli?

— Mówią, że nic nie ukradli i nie chcieli brać ani szat, ani pieniędzy. Szukali papierów, a że ich znaleźć nie mogli, to klęli was i zwymyślali, na czym świat stoi. O co im szło, ja nie wiem, bo, rozmawiali po niemiecku, ale Wojtuś powiedział, że im tylko szło o papiery.

— O papiery im szło! papierów moich szukali —

krzyknął Lipiński, toć oni widocznie chcieli skraść listy księcia. Matko Najświętsza, mówił do siebie — całe szczęście, że je zaszyłem w żupanik, pocziwy żupanik ocalił mnie, żebym był kuso z niemiecka ubrany a nie po swojemu, tak jak Bóg przykazał, jak nic, byliby zabrali wszystko. Przyszły mi na myśl rady i słowa rodziców, którzy usilnie przykazywali, aby nigdy nie zarzucać swego polskiego stroju, jak to oddawna czynili na Śląsku wszyscy inni polscy panowie.

— Nie uciekajcie — prosiła i wyrzekała dalej stara — Jeśli wam choć jeden włos spadnie, to już dla nas okrutne nastaną czasy, a tu w tej chacie mieszkamy już siła lat i dzieci się tutaj rodziły wszystkie i stary w niej zamarł, przeżyło się tutaj moc smutku i łez, skarżyła się biedna zajęta wyłącznie już swemi wspomnieniami.

Lipiński z jej słów bezładnych i poplątanych nie wiele mógł zrozumieć, domyślał się tylko, że ktoś, komu widocznie szło o to, aby jego poselstwo do Warszawy nie przyszło do skutku, był sprawcą całego napadu. Ale kto to był i dlaczego to uczynił, nie mógł odgadnąć i daremnie pytaniami męczył sobie głowę.

A jak się nazywa wasz pan? — zapytał, przypuszczając, że może tym sposobem zbada tajemnicę.

— Promnitz — odpowiedziała po pewnem wahaniu stara.

Nazwisko nie było mu obce, wiedział, że na Śląsku mieszkali Promnitzowie, lecz na dworze w Brzegu, chociaż z innych stron dużo bywało szlachty i różnych komesów, Promnitzów nie widział jednak nigdy.

— A dobry to pan, bogaty i nabożny, zamków, wsi i lasów pełno ma w około. I byłaby dalej rozpowiadała o bogactwie i wielkości właściciela zamku,

lecz spojrzawszy w małe, odymione okienko, z którego Lipiński zdarł zasłonę, krzyknęła przerażona.

— Zlitujcie się, młody jedzie tutaj na koniu, myślą, że wy bez tchu leżycie chorzy, zlitujcie się!

— Bywaj! bywaj! rozmówimy się zaraz na przywitanie, przy pierwszym spotkaniu — zawołał Lipiński i z mieczem w ręku stanął w progu. Zdziwienie jego nie miało granic. W przybyłym poznał jednego z dworzan księcia Krystyana, młodego Heinricha Troskena. Urwis to był chłopak bez miary, przyjaciel Haugwitza i Reinbabena, ale żeby do tego był zdatny, Lipiński nie mógł nawet przypuszczać. Z polskiej pochodził rodziny, ojcowie mieszkający koło Pszczyzny, po polsku tylko mówili, nazywali się nawet Trzowska. Synowi nie podobało się nazwisko polskie, wypierał się polskiej mowy, a nawet z praktyk religijnych śmiał się i wyszydzał. Chociaż księżę Krystyan, sam będąc innej wiary, szanował jednak pobożność i religję drugich, więc i nieraz karmił za to śmiałka. Wydrwiwał zawsze żupany i kontusiki Lipińskiego, raz nawet chciał maszkarę zrobić z polskiego stroju, lecz ponieważ księżę lubił bardzo kontusze i żupany, a nawet synka ubierał zawsze po polsku, więc łotrzyk zaprzestać musiał swoich żartów. Teraz dopiero przypomniał sobie Lipiński, jak Trosken — bo tak na dworze Piasta przezwiał się ów urwis — opowiadał o swoim bogatym krewniakowi Promnitzu, ale że Heinrich nieraz okłamywał wszystkich, i niemieciami znajomościami chwalił się jak żyd tańcem, więc i Lipiński słowom jego nie dawał wiary. Teraz także zrozumiał, dlaczego w ostatnich dniach pobytu gości na dworze, Trosken uwolnił się na dni parę ze służby i prosił księcia o pozwolenie na wyjazd do chorego wuja.

Trosken nie przypuszczał, że Lipińskiego zasta-

nie ubranym i gotowym do drogi. Zbladł z przerażenia, chciał się cofnąć, lecz Lipiński chwycił go silnie i przemocą wciągnął do izby.

Praktykami zbójceckimi dobijasz się sławy, gałganie! Łotrze jeden! ani mi się rusz — dodał, widząc że Trosken stara się uwolnić z chwilowych więzów. — Teraz dopiero rozumiem, dlaczego tak gwałtownie wyrwałeś się z Brzegu, bezbożniku zatwardziały. — I czegoż to zazdrościsz mi, poselstwa do Warszawy, czy łaski księcia. Mnie łotrze krzywdy nie wyrządziły wielkiej, chociaż knechty twoje strzelały do mnie i moich ludzi, ale książę będzie wiedział o wszystkim, dowie się o twoich sprawach. Będziesz ty jeszcze na szubienicy wisiał — bo tak kończą ci — co wypierają się swojej wiary i ojców mowy.

Trosken, któremu jak kleszcze, wciskały się dłonie Lipińskiego, począł wołać o pomoc.

— Cicho bądź, łotrze jakiś, tu cię nikt nie usłyszy, bo w tej świetlicy oprócz starej kobiety, nikogo nie ma więcej, nie bój się, ja cię nie zabiję i nie zranię, choćbym mógł i miał prawo nawet zabić, nie chcę rąk walać w twojej krwi, bezbożniku jeden, ale muszę ci dać pamiątkę, abyś nie zapomniał i miał o czem rozpowiadać przyjaciółom gdy powrócisz do domu. Łotrzyki to wprawdzie, ale nie zbóje, jak ty niecnoto.

Trosken sądził, że już, ostatni przyszedł na niego termin. Po spełnionym czynie, przeklinał chwilę w której powziął myśl napadu, warchoł, urwis, tchórzem był wielkim. Chciał poniżyć Lipińskiego w oczach księcia, wiedział, że do poselstwa przywiązywał wielką wagę, chciał go przedstawić, jako niebdalca, niedołęgę, nie umiejącego wywiązać się z przyjętych obowiązków.

Tymczasem ludzie, którym Trosken powierzył

odebranie listów, nie dość że nie uczynili tego, lecz w zbytniej gorliwości strzelali i w dodatku ranili jeszcze. Tego znów nie życzył sobie Trosken. Przewidywał groźne dla siebie następstwa.

O starego grafa nie szło mu wcale, był pewny, że gdy pierwsza burza minie, graf, chociaż to był człowiek cichy, spokojny i kłótni nawet nie lubił żadnych, przebaczy urwisowi, jak to bywało nieraz, bo go lubił bardzo; lecz księcia lękał się; wiedział, że gdy wieść dojdzie do Brzegu, pobyt jego na zamku może być zachwiany, a co gorsza jeszcze, Lipiński z tej historii wyjdzie zwycięzcą. Trosken, podobnie jak i inni dworzanie, zazdrościł Lipińskiemu nietyle samej podróży do Warszawy, lecz wiedział dobrze, że ona była początkiem większych łask i ufności pana. Przewidywali wszyscy, że w następstwie książę pośle go do Wiednia, do cesarza a tego najwięcej zazdrościli dworzanie i wszyscy wogóle na zamku.

Przeczuwali także, że skoro książę darzy go zaufaniem, to i do urzędu łatwo przypuści. Nie mogli i nie chcieli pogodzić się z myślą, aby książę wyróżniał Polaka, do tego innej jeszcze wiary i przenosił go nad niemieckich panków, którzy wili się tłumnie na zamku.

Trosken, znalazłszy się w chacie, przeklinał także chwilę, w której ulegając namowom hrabiego przybył do chaty; chciał uciec, schować się pod ziemię, a tymczasem żelazne dłonie Lipińskiego przykuwały go do miejsca. Szarpał się, wrywał, lecz wszystko było nadaremnie. Lipiński, siłacz zawołany, znany był na całym dworze i nikt z nim nie mógł się nawet równać. Osłabiony od ubytku krwi, chociaż rana dokuczała mu mocno, jak piłką podrzucał Troskenem, tem łatwiej, że ten, nie przypuszczając walki z Lipińskim, nawet miecza nie wydobyl na obronę.

Zgnębiony moralnie, bezsilny fizycznie, stał bezbronny wobec nieprzyjaciela; ta bezbronność i nie-możebność walki przyprawiała go do wściekłości.

— Puść! — puść! — syczał prawie z gniewem.

Lecz Lipiński nietylko niemyślał go puścić, lecz jeszcze starej kobiecie, która ze strachu zanosila się od płaczu, kazał podać leżące na ziemi powrozy, przygotowane przez Wojtusia do znoszenia z lasu drzewa i zaczął nimi krępować dłonie i ramiona przeciwnika. Trosken zobaczywszy powrozy, krzyknął zdławionym głosem.

— Cóż to? chcesz mnie udusić, powiesić? puść! — raz jeszcze usiłował wyrwać dłonie z żelaznego uścisku, lecz im więcej szamotał się, tem więcej sznury ścisnęły go i więziły.

— Setny byłby z ciebie wisielec, ani słowa, lecz nie bój się — uspokajał Troskena — nie chcę rąk, rąk prawego katolika brudzić brzydką zbrodnią, ani cię powieszę, ani usiekę, chociaż powtarzam, mógłbym to zrobić i jeszcze moje grzechy byłyby odpuszczone w niebie.

Skrępował silnie Troskena i rzucił go jak barana o ziemię. Widzisz, dodał, odetchnawszy po tej przeprawie — ja ciebie nie zaduszę, tylko chcę aby twoi knechtowie, coś ich nasadził na mnie, przyszli i widzieli cię w takiej kondycji. Ładny z ciebie kawaler, hej! Gdyby tak Dorchen zobaczyła cię teraz.

Dorchen Lingenau, krewna marszałka, była panną na dworze księżnej Ludwiki, ładna, zręczna i dość bogata, wiedzieli wszyscy, że Trosken zabiegał o jej względy, lecz i to wiedzieli, że panna łaskawszem okiem patrzyła na Lipińskiego.

Troskenowi na wspomnienie Dorotki oczy jeszcze więcej zaiskrzyły się gniewem.

Nie chmurz się, nie—grzeczny kawalerze, musisz leżeć spokojnie i czekać, aż twoi, rycerze przyjdą z pomocą.

Widzisz, śmiałeś się ty zemnie zawsze i wyszydzaleś moją pobożność, a mnie, Matka Najświętsza, na cześć której śpiewałem i śpiewać będę pieśni, ocaliła z rąk twoich pacholków. Niechajże więc i twoja wiara, do której uśmiechasz się teraz, przyjdzie ci z pomocą — dokończył już w progu chaty.

Na miły Bóg — pomyślał Lipiński, wchodząc do stajenki — na miły Bóg, związałem go należycie, niechaj chociaż w ten sposób będzie ukarany, bo że go wstyd spali, to spali, inaczej, ani ziarnka uczciwości nie byłoby już w jego duszy — podła nacja z tego chłopaka, dodał, zbliżając się do siwka, który smutny i osowiały stał przywiązany do żłobu.

Poznawszy głos pana, zarżał radośnie.

— Hej! żeby tak na kogo innego przyszła chwila, pewnikiem urwałby łeb wisielcowi, chociaż i za to należy dziękować Bogu, że konia nie skradli i uprząg zostawili, inaczej musiałbym pieszo iść do ojców lub wracać do Brzegu. — Czuł, że słabnie, że siły wyczerpane ostatecznie w spotkaniu z Troskenem opuszczają go widocznie, począł więc szybko kulbaczyć konia, aby co prędzej wydostać się na świeże powietrze.

— Ale gdzie jechać, aby znów nie wpaść w ręce jakich zbirów i trafić do moich pacholków, którą wybrać drogę, rozmyślał, widząc, że od chaty wie dzie kilka wydeptanych drożynek, którą tu wybrać?

Zdziwił się nie mało, gdy spostrzegł starą kobietę, stojącą na progu chaty. Jakby przeczuwając niepewność Lipińskiego, poczęła mówić z cicha: — Pojadą na prawo, a potem jak drzewa zaczną przeredzać się, pojadą znów na prawo, potem chwycą się gościńca koło dużej gospody Millera i już prosto,

prosto do Opoła. Tam i wasi pojechali, dodała, oglądając się wokoło, czy kto nie nadchodzi. Lipiński podziękował serdecznie starej kobiecie, dał jej trochę pieniędzy i pożegnany błogosławieństwem, puścił się wskazaną drogą, zostawiając za sobą chatę, do której zapędziła go zazdrość i nieszlachetność ludzi.

Kiedy Lipiński stosownie do wskazówek starej, wjechał na wielki i szeroki gościniec krakowski, odetchnął pełną piersią. Dopiero wśród tej okiem niezmierzonej przestrzeni lasów, czuł się swobodnym i pewnym siebie. Mógł myśleć i zdać sobie sprawę z doznanych wrażeń. Teraz dopiero, mając jedynie za świadków niebo i śniegiem pokryte drzewa, począł dokładnie rozbierać uknuty przez Troskena napad. Myśli rozsadzały mu czaszkę, a im więcej myślał, tem więcej odczuwał dziwny, nieznany przedtem wstręt do życia, jakie on pędził. Właściwie, co on chciał i poco napadał? Czyż to znów tak wielkie szczęście, że mi go zazdroszczą wszyscy? Haugwitz, Reinbaben czy ja, zawsze jeden z nas musiał jechać. Wszystkich razem nie mógł księżę wysłać. Nie wpraszalem się i nie zazdrościłem nikomu, myślał rozgoryczony. Stały mu przed oczyma waśnie, kłótnie i obmowy, istniejące na dworze brzeskim. Dworzanie, urzędnicy, służba, wszyscy razem, jeden drugiemu zazdrościli uśmiechu i spojrzenia księcia, a przecież nie z przywiązania, tylko z interesu, aby poniżyć się i oczerniać wzajemnie.

Lipiński przez kilka lat pobytu na zamku, nie zastanawiał się nigdy nad swoim położeniem. Ojciec na wyjeźdnem z domu, dał mu przestrogę — Oleszek! pamiętaj być posłusznym księciu, sprawiaj się dobrze i nie zrób mnie i matce wstydu, pamiętaj młokosie, że służyć będziesz na dworze Piasta, potomka wielkich i sławnych królów. Słowa ojca wryły się Ole-

szkowi głęboko w pamięć, były zasada, od której nie śmiał odstępować. W tej głuszy i ciszy leśnej, przerywanej tylko krakaniem wron lub łoskotem łamiących się pod ciężarem śniegu i sronu gałęzi, stały mu one w pamięci, oraz uprzytomniły kilkoletni pobyt na zamku. Synowie największych panów, jako dworzanie na dworach udzielnych książąt, królów lub szlachty, zaprawiali się do życia publicznego.

Dworzanin pod wpływem otoczenia, wyrabiał sobie charakter, poznawał świat, warunki życia i nieraz dorabiał się znaczenia, zdobywał imię a nawet pieniądze.

Takie zwyczaje panowały wówczas wszędzie, w Rzeczypospolitej Polskiej, na dworach książąt i w innych państwach i krajach. Oleszkowi teraz ten rodzaj służby wydał się wstrętnym.

— Tfu, splunął, kto mi to każe służyć wśród takich odszczepieńców, rzucę wszystko i pójdę do wojska, może to kara że wśród nich przebywam, cóż to, przecież nie zaprzędam siebie na wieki w niewolę, jestem wolny i swobodny człowiek, jak tylko z Warszawy wrócę, to niech was tam wszystkich z całą dworską służbą Pan Bóg ma w swej opiece, ojcowie przecież o to nie będą się gniewać — rozważał. Lecz jednocześnie z temi myślami, stanęła przed oczyma cicha, łagodna postać księcia Krystyana.

Lipiński młodym będąc jeszcze, rozumiał jednak, że między panem Brzegu a jego podwładnymi była jakaś przepaść, której ani dobroć, ani sprawiedliwość księcia nie jest w stanie wyrównać. Lipiński i to wiedział, że naród cały kochał księcia, bo nie mógł niekochać pana, za którego rządów kraj znękany przedtem wojną, odetchnął swobodnie i zażywać zaczął spokoju, ale między tym ludem a księciem stała

jeszcze komora brzeska i ta komora psuła nieraz najlepsze zamiary i prace.

Wśród tych rozmyślań i porównań dźwięczały Lipińskiemu w uszach słowa księcia. Tyś mi najbliższy i najmilszy, — mawiał nieraz do niego. — O jakże tu opuścić takiego dobrego pana, i jakże to być niewdzięcznym i porzucać go, szczególnie w chwili, gdy sam mówi, że będzie mnie potrzebował. — Co tam będę zważać na takiego hultaja jak Trosken, nie zginąłem dotąd, to i nie zginę dalej. Z Haugwitzem i Reinbabenem dam sobie radę, harde to panki, ale i mnie nic nie wadzi do bójki na rapiry skoczyć, ale przecież nie zbóje i nie napastniki na publicznej drodze. Najgorsza sprawa to z tą kukłą Heinrichem, żeby choć jednym słowem usprawiedliwić chciał swój zbójcecki napad, ale nic, ani pisał, tatarzyn jeden. Poczekaj, zobaczymy się jeszcze. Ciekawość, co on tam nakłamie i jak się będzie tłómaczył księciu. Pal was tam zresztą wszystkich — dodał po chwili — byłem tylko jak najprędzej dostał się do domu i odszukał pacholków. Ze słów starej kobiety domyślał się, że ich jednak żadna zła nie spotkała przygoda.

Może są już w Bytomiu, a może gdzie utknęli w jakiejś gospodzie i okłamują ludzi, bo obaj umieją dokumentnie, a może już obaj w domu? Hej! mocny Boże, byle tylko zajechać tam jaknajprędzej.

Ożywiony tą myślą spał siwka ostrogami i szybkim ruszył krokiem. Z niemalą radością wyjechał z lasów wieńczących jak korona, okolice Opola. Zdawało mu się, że te lasy były właśnie zaporą dzielącą go od domu, czyhającą znów na jego zgubę.

Zajeżdżając na popasy do gospód, nie rozgadywał się z ludźmi, siadywał na uboczu w kącie i przysłuchiwał się uważnie, czy z zasłyszanych rozmów nie wpadnie na ślad pacholków. W Opolu zatrzymał się

dłużej, zostawiwszy konia w gospodzie, poszedł na miasto. A że to była niedziela, więc wstąpił do kościoła św. Wojciecha i odmówił parę pacierzy. Jakże tu nie modlić się, myślał — kiedy to przecież takie sławne miejsce, ojciec mówił zawsze, że tutaj stała wpierw kaplica, zbudowana przez św. Wojciecha w czasach, kiedy przechodząc przez Opole, zatrzymał się, aby nauczać wiary świętej, pomodlić się trzeba do wielkiego patrona, którego niecne umęczyli Prusaki. — Pokrzepiony na duchu, z kościoła poszedł obejrzeć miasto, stanął przed zamkiem dawnych książąt opolskich, zaglądał do wszystkich prawie gospód, przypatrywał się ludziom, pewny, że może gdzie odszuka swoich, lecz nigdzie, ani śladu, przepadli jak kamień w wodzie. Gdyby nie obawa o pacholków i całe swoje bogactwo, byłby w Opolu pozostał do wieczora, bo i rana poczęła znów dokuczać i osłabł na siłach bardzo, lecz nie, trzeba się spieszyć.

Jeśli oni są już w domu, to Aniołowie święci ratujcie, ile tam strachu mają rodzice, matka zapłaczę się biedna.

Spieszył więc ku domowi tą samą drogą, którą przed laty przejeżdżał z ojcem. Lecz z jakimże innem uczuciem odbywał ją wówczas. Te kilka dni, a raczej wypadki, rzucające światło na charakter Troskena i zabiegi dworzan, nauczyły go nieznanej dotąd strony życia. Jak marę odpędzał myśli i wspomnienia, nieproszone jednak wciąż powracały i mąciły radość z ujrzenia swoich i domu.

Na noc zajechał do Strzelec. Miasto niewielkie, daleko mu do Brzegu, pomyślał, ale że już bliżej był Bytomia, więc i wszystko wydawało się milszem, tem więcej, że stanął w znanej gospodzie pod białym orłem: Była to gospoda ojca, popasał w niej zawsze, ile razy zjeżdżał do Strzelec na jarmarki. Ciepło

i zacisznie było pod dachem, lecz całej nocy nie mógł oka zmrużyć, a ciemno jeszcze było na niebie, kiedy pełen niepokoju opuszczał mury miejskie i bramę krakowską. Pędził i gnał siwka, a koń jakby rozumiał życzenie pana, strzygł uszami i rżał radośnie; w Toszku nie zatrzymywał się wcale, bo już każda chwila była drogą, i te kilka dni bólu i niepokoju nie były tak ciężkie, nie dłużyły się tak bardzo jak owe ostatnie godziny.

Aby tylko dostać się do Miechowic i Bytomia, to już mniejsza. Co powie ojciec, matka, siostry a może i brat, co się na księdza uczy w Krakowie, przyjedzie także. Serce biło mu jak młotem, gdyby tylko jeszcze był odnalazł swoich ludzi i rzeczy, dworno jak księżę zajechałby do domu, a coby to było radości, bo i piękne gościńce wioził dla wszystkich na wozie. Dla sióstr wstęgi i paciorki, jakich nigdy dotąd nie widziały jeszcze w życiu. Nawet dla służby miał małe upominki, i to wszystko przepadło, zmarniało przez złość jednego hultaja.

Na to wspomnienie ogarnęła go znów żalność i niechęć do ludzi i dworzan w Brzegu. Wśród tych rozmyślań ani spostrzegł, jak zniknęły mu z przed oczu miasta i wsie jedna za drugą, choć to i lasy miechowskie minął i wśród kępy drzew wychylił się dobrze znany kościół miechowski stary. Więc to już Miechowice — pomyślał — w kościele dzwonią na anioł Pański; trzeba przecież choć jedną zdrowaśkę zmówić, więc skręca konia w bok, lecz o dziwo! Chryste Panie! przed kościołem wóz naładowany stoi i Jakób siedzi, cóż to? Przeciera oczy, konie dwa okulbaczone jak należy stoją przy płocie. Czyżby to jego pacholanki? Zeskakuje z konia, przeciera raz jeszcze oczy, czyżby to było prawdą? Ani chybi, oni, bo już Jakób schodzi z wozu i krzyczy na całe gardło — jegomość, nasz

Jegomość! i czepia się nóg Lipińskiego, lecz tenże nie daje mu przyjść do słowa, — słyszy jak po raz drugi odzywa się znów na anioł pański dzwonek; drżąc z radości, pada na kolana przed drzwiami miechowskiego kościoła tuż obok klęczących już Janka i Kacperka, oniemiałych z podziwu i radości i wspólnie z niemi zaczyna odmawiać: Zdrowaś Maryja, łaskiś pełna.

IV.

W dworku pana rotmistrza w Lipiuach od kilku dni dużo było gwaru i niepokoju. Jednej soboty, pod wieczór, właśnie wtedy, kiedy pan rotmistrz, wielce zaradny gospodarz, opatrzywszy jak należy gumno i stajnie, powrócił do dworku na talerz grzanego piwa, jak raz odebrał pismo i wiadomość, że Olesiek zjeżdża do domu. Przywiózł ją Mikołaj Szpyra, mieszczanin z Bytomia. Szpyra jeździł do Wrocławia załatwić zatarg z jednym wrocławskim kupcem. A że bywalec z niego był wielki, przejeżdżając przez Brzeg, zatrzymał się w mieście na dłużej.

Już sama wiadomość udzielona ustnie, zaniepokoiła rotmistrza, a cóż dopiero widok listu. Od czasu, jak Olesiek wyjechał z domu, listu nie pisał nigdy. Zdarzało się, że parę razy do roku i tak miał sposobność dać znać rodzicom o swoim zdrowiu i powodzeniu i nawzajem znów od nich odbierał wiadomości. List, starannie opieczętowany, pierwszy, jaki wogóle miał od syna, wywołał wrażenie. Pewnikiem smyk przeskrobał co i wraca, pomyślał rotmistrz. Wiedział dobrze, że książę wielki zwolennik łowów, w zimie nigdy nie pozwalał dworzanom wyjeżdżać z Brzegu. Kiedy tylko czuł się zdrowym, codziennie jeździł na polowanie. Z pierwszym brzaskiem dnia, otoczony wielkim pocztem myśliwych, panów i służby, wyjeżdżał zwykle z zamku.

Na dźwięk rogów i trąbek myśliwskich ksiązę nabrał wesołości i humoru. Nieraz to i całe godziny, mimo śniegu i mrozu, jeżeli szło o grubego zwierza, stał na stanowisku. Rotmistrz znał zamilowanie księcia, zdziwiła go ogromnie wiadomość o przyjeździe syna. Jak dotąd, raz tylko w lecie, kiedy ksiązę Krystyan wyjechał do cieplic czeskich na kurację, Olesiek przyjechał do domu. Ale było to w lecie, podczas żniwa, a nie w zimie, gdy na dworze brzeskim wrzało największe życie.

Szpyra, wielce szanował i uważał pana rotmistrza, powróciwszy z drogi zaraz wybrał się z wiadomością do Lipin. Rotmistrz poprosił go do dworku, poczęstował miodem, aby przy szklance łatwiej przyjść do słowa i zapytać o syna.

— Więc mówicie, waćpan, że Olesiek chwalić Boga zdrów i w tych dniach wraca.

Nie śmiał pytać więcej, a nuż będzie zła wiadomość. Na Pańskim dworze, to jak na dworze, raz można być na wozie i raz pod wozem, a chłopak młody, krew nie woda, może i zawinił.

— Co tu gadać, odparł zapytany, popijając żółty jak złoto, a gęsty jak oliwa miodek, — co tu gadać, aniby pan rotmistrz nie poznał nawet syna, taki z niego zrobił się gładysz.

— Odetchnąwszy w gospodzie pod trzema książętami — opowiadał dalej Szpyra — idę na miasto, wielkie jak się należy, myślę sobie, przypatrzę się temu i owemu. Obejrzałem więc zamek, mury setne, żołnierstwa moc, a gęby jedna tłustiejsza od drugiej. Ludu wszędzie pełno jak na odpuszcie. Myślę, trzeba przecież wszystko spenetrować. Idę więc dalej, aż het koło kościoła św. Jadwigi. A że to ksiązę Krystyan, chociaż obcej wiary nakazał uroczyscie w brzeskiem państwie obchodzić święto wielkiej patronki, czemuż

i ja chudopacholek nie mam obejrzyć kościoła, w którym dawniej katolicy wielkiej patronce cześć oddawali. Prawda, panie Rotmistrzu? prawda, święta prawda.

Więc idę tedy i myślę, zobaczę kościół, a wiedziałem od stryja Jana, że w nim jest kazalnica, istny cud świata, wykuta z jednego kamienia, a śliczności na niej pełno takich, że ani chce się wierzyć, aby ręka ludzka je wykonała, więc... ale o czym to chciałem powiedzieć? Aha? już wiem, idę tedy koło kościoła, a tu niechcący spojrzę i widzę młodzieniaszka w konтусiku, przy karabeli, biegnie żywo, patrzę i myślę: Olesiek nie Olesiek, idę, widzę, idę i myślę sobie...

Co waćpan myślał? przerwał żywo rotmistrz, znając gadatliwość Imci pana Szpyry, wiedział dobrze, że nie tak prędko dojdzie do końca.

Po porządku, panie rotmistrzu, po porządku, idę tedy i myślę, pozna nie pozna, zaczepi, nie zaczepi a tu jak raz Olesiek jak nie przypadnie do mnie, jak nie pocznie witać i gadać, tośmy gadali, gadali.

O czym żeście gadali, pytał zniecierpliwiony rotmistrz.

A jakże, o wszystkim, potem Olesiek przyszedł do mnie, do gospody, przyniósł pismo i pozdrowienie, tak tedy, — odwilżywszy miodem gardło począł znów Szpyra — idę wieczorem i myślę sobie...

Więc mówicie, — przerwał po raz trzeci opowiadającemu rotmistrz — mówicie, że chłopak z niego gładki?

Co tu gadać, kawaler z niego grzeczny i że drugiego szukać w całym państwie bytomskim.

Rotmistrza ucieszyły ogromnie pochwały Szpyry, niepewność jednak co wyczyta z listu, psuła dobry humor. Najwięcej szło mu o żonę. Polusia się ucieszy ale i zmartwić może kobiecisko — pomyślał — Broń Chryste! jeśli co zawinił, to radość swoją drogą, a kara swoją, i, basarunek nie minie chłopaka.

Po odjeździe Szpyry, z listem w ręku poszedł do żony. Zastał ją w alkierzu, wchodząc zamknął drzwi do izby, w której siedząc przy kominku kądziel przędły Kachna i Zofka, córki państwa rotmistrzów. Rotmistrz nie chciał bowiem, aby dziewczęta poznały treść listu, jeśli niestety: zwiastuje złe wieści.

— Polusiu, w imię Boże przychodzę z nowiną, Olesiek przyjeżdża.

Rotmistrzowa zerwała się z ławki i porzuciła na bok robotę.

— Jeno nie alteruj się bardzo, Polusiu i nie imainuj sobie żadnej przygody. Przywiózł Szpyra pismo, to razem je odczytamy, ustnie kazał nas tylko pozdrowić.

Rotmistrz nic nigdy nie poczynął bez żony. W każdym wypadku zwracał się zawsze do niej, wszakże Polusia w najgorszych nawet terminach skuteczne dawała rady.

— Chwała Panu Bogu, odparła, widocznie musiał dostąpić wielkiej łaskowości, kiedy ksiązę dał przyzwolenie na wyjazd z Brzegu. Żle — pomyślał rotmistrz, ani przypuszcza nieboga, aby chłopak mógł zawinić.

Lipińska widząc, że mąż zabiera się do czytania listu, aby godnie przystąpić do tak ważnej chwili, zapaliła drugą łojową świecę i postawiła ją na stole, przysunęła mężowi ławkę, sama zaś usiadła na boku, na skrzyni, pokrytej ciemnym kilimkiem i w spokoju wielkim oczekiwała słów syna.

Ciszę panującą w alkierzu przerwało tylko mruczenie kota, morduchną zwanego, który z należytą powagą rozsiadł się obok pani.

Tymczasem rotmistrz obejrzał bardzo starannie list, odczytał kilkakrotnie adres, rozłamał pieczęć, wreszcie z wielką powagą począł czytać na głos: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, Wielce

mnie mili a kochani moi rodzeni, rodzice i ojcowie, panie ojcze i pani matko,— ani słowa, gładko pisze — pomyślał rotmistrz. „Najprzód oznajmiam ojcom razem i każdemu z osobna, że książę nasz pan, pan na Brzegu. Lignicy i Wołowie, chwalić Boga i z łaski najwyższej w lepszym jest stanie poprawy zdrowia, a że ja podnóżek Wasz najniższy, nie chcę żadnej okazji puścić mimo, abym nie miał sprezentować hołdów moich synowskich, przeto ucieszony wielce na sercu i duszy, donoszę, że miłościwie panujący książę Krystyan IV. Piast, mnie niegodnego Waszego syna, wysłał w poselstwie z listem do księżny Wiśniowieckiej, matki miłościwie panującego króla polskiego Michała. A ponieważ z Panem Szpyrą przyszliśmy do niejkiej konfidencji, przeto proszę pokornie, aby pismo moje oddał ojcom i aby moi kochani rodzeni ojcowie, pozwolili niegodnemu synowi, swemu najniższemu podnóżkowi, w przejeździe do Warszawy wstąpić do Lipin i paść do nóg Waszych, co teraz czynię listem, setne razy i ściele się wiernym podnóżkiem Waszym, Aleksander Lipiński, dworzanin księcia Piasta.“

Matce w miarę odczytywania listu pod wpływem wrażeń oczy zachodziły łzami, ojcu twarz mieniła się i bladła na przemian, wiadomość była wielką niespodzianką, a o takiej nie marzono nawet.

— Patrzcie, a to nam się udał chłopak, kto by to przypuścił, że wychowamy go na posła, no! no! taki młokos, — podziwiał rotmistrz — aśindzka nie płacz, już on teraz nie zginie, skoro wśród obcych daje sobie radę.

— Niechajże Najświętsza czuwa nad nim i chroni od wszystkich nieszczęść i przygód. Jenó wypocznie z podróży, pajadę z nim do Piekar i ofiaruję Pannie Przeczystej, — westchnęła matka — trzebaby powiedzieć

dziewczętom o naszej radości, niechaj i one ucieszą się z nami.

Kachna! Zofka! chodźcie tu do nas, wołała, uchylając drzwi.

Na rozkaz matki wbiegły do alkierza dwie wysmukłe, rumiane brunetki, tak podobne do siebie, prawie równe, że na pierwsze wejrzenie uchodzić mogły za bliźniaczki, chociaż Kachna o trzy lata starszą była od Zofki.

— Dalej dziewczęta, żywo, bierzcie się do roboty, pomagać matce, bo Olesiek przyjeżdża w tych dniach. Właśnie dzisiaj przywiózł list od niego Szpyra. Kazał was pozdrowić serdecznie. Musicie się uwijać, aby wszystko jak należy przyrządzić, przecież nielada będziemy mieli gości.

Dziewczęta w odpowiedzi ucałowały dłonie rodziców, a twarze ich pokraśniały jeszcze więcej i usta czerwone jak ogień rozchylił uśmiech radości i zadowolenia.

W domu rotmistrza miłość i przywiązanie rodzinne było wielkie, ale i karność nie mniejsza. Kłótni, swarów pomiędzy dziećmi ojciec nie przepuszczał nigdy. Gdy chłopcy byli mali, a bez powodu, z żartów, zwyczajnie jak dzieci, kłócili się lub bili, patrzył obojętnie, mówiąc, niech praktykują wojenkę, lecz jeśli by powodem sprzeczki lub bijatyki była zazdrość albo zła wola którego z nich, wówczas, zbadawszy przyczynę nieporozumienia, należytą wymierzał karę i od potężnych razów nie mogło ocalić nawet wstawienie matki, która była pomocą i ucieczką we wszystkim.

Ale i pani rotmistrzowa w tej samej karności chowała córki. W dziewczętach dużo było bojaźni Bożej, skromności i serca. Dworek rotmistrza jaśniał na całą

okolicę z cnót i moralności; a były to czasy, w których niestety! nie wszędzie gościły cnoty i spotkać się z przewrotnością ludzką, z brakiem poszanowania przykazań kaścioła i rodziców, nie było rzeczą tak trudną. Kiedy kto z sąsiadów lub z daleka przybyłych gości podziwiał porządek i zgodę, panującą w rodzinie rotmistrza, nawet w trudnych i ciężkich chwilach życia, odpowiadał zawsze:

— Pod naszym dachem stara wiara w Boga, stara mowa ojców i stare zwyczaje, tego trzymamy się wszyscy i to nas trzyma w kupie, Panie broń, gdybyśmy jednej z tych trzech prawd wyrzekli się, jużby nas szatan oplątał w swoje sidła i kazałby nam tańcować podług swojej muzyki.

Wieść o przyjeździe Oleśka ucieszyła wszystkich. Służba i domownicy odczuwali radość państwa, w całym dworku pełno było gwaru, śmiechu i pracy, uprzątno komnaty i szykowano, jak na wesele. Matka kazała zabić na rosół kilka kapłonów z kojca i gęś tłustą na pieczeń. Ojciec zabił kilka zajęcy i ptaków nałapał w sidła. Napieczono chleba i ciastek dobrych, słodkich, przygotowano świeże krupy perłowe, słowem wszystkie ulubione potrawy Oleszka. Kachnie—bo to był jej wydział—zaleciła matka, aby na śniadanie do piwa wkrajała dużo kostek świeżego sera. Oleszek lubi to bardzo — dodała—a kto wie, czy w Brzegu umieją tak przyrządzać.

Spizarnia pani rotmistrzowej była dobrze zaopatrzoną. W słoikach stały przygotowane w lecie zapasy jako to: skórki cytrynowe i pomarańczowe smażone w cukrze, wiśnie i gruszki w miodzie; nie brakło i wódek własnego wyrobu, stały więc na półkach flaszki cynamonowej i anyżowej. Wszystko to wyciągano i szykowano na przyjazd Oleśka.

Gdy się dowiedzą, że jest w domu, przez samą ciekawość ten i ów przyjedzie, musimy być przygotowani na przyjazd gości — napominała matka.

— Żeby tylko Oleśkowi smakowało jedzenie, przyzwyczajony do wszelakiej dobroci na zamku, może nie spojrzy nawet na nasze potrawy — zauważyła Kachna.

— Może i gadać nie będzie z nami — dodała Zofka — po niemiecku nie umiemy słowa, może on zapomniał mówić po naszymu.

— Niechże Bóg broni, toć przecie i matusia nie znają uemieckiej mowy. Jezus! Marja! coby to było! ani myśleć nie chcę nawet o tem.

Uwagi córek niemile dotknęły rotmistrza, więc ofuknął je żywo:

— Cicho tam dziewczęta, cicho, nie bajcie głupstw, przecież to wasz brat powraca, a że poseł, że u księcia na służbie, zawsze jest dzieckiem jednych rodziców, jedną karmiony piersią a nie odszczepieniec jaki.

Tymczasem Olesiek, mimo swoich zapowiedzi i poczynionych na jego przyjazd przygotowań, nie zjawiał się w Lipinach.

Upłynęły dni wskazane i oznaczone przez Szpyrę i niepokojono się nie na żarty. Nawet jednego dnia rotmistrz kazał założyć konia do wasążka i pojechał do Bytomia, aby od Szpyry raz jeszcze zasięgnąć wiadomości. Wypytywał znajomych, czy nie słyszeli o jakich napadach, bo w owe czasy po drogach i gościńcach, podróżni doznawali różnych przygód i nieszczęść.

— Czy tylko w drodze nie spotkał go jakiś wypadek, a może wyjazd odłożony — martwił się w duszy, przed żoną jednak nie zdradzał niepokoju.

— Już dzisiaj przyjedzie, jak amen w pacierzu, od samego rana swędzi mnie prawa ręka, będę się z moim witać, upewniała Kachna.

— I morduchna myje się ciągle, dorzuciła swoją uwagę Zofka.

Tymczasem najpewniejsze przepowiednie zawiodły, niepokój i smutek ogarniał już wszystkich, tydzień upłynął w nadaremnych i gorączkowych oczekiwaniach.

Dopiero w sobotę mroźną, pogodną i jasną przed wieczorem, kiedy to jeszcze między szarą godziną a dniem roztacza się na ziemi półświatło i po niebie przesuwają blade chmurki, jakby zapowiedź półsnu natury i ludzi, w owej chwili wpadł do komnaty czeladnik z okrzykiem:

— Jegomość jedzie na koniu i dwóch pacholków za nim i wóz ładowany a uprząż lśni się i błyszczy cała.

— Gdzie? Kto?—zapytały razem Zofka i Kachna.

Jeszcze chłopiec nie zdążył odpowiedzieć, a cała rodzina wybiegła na ganek, właśnie w samą porę, bo już Olesiek zeskakiwał z konia i z wielką radością przypadł do rodzicielskich kolan. Było tak dużo radości i wesela owego wieczora w Lipinach że stary dworek, o którego ściany już wiele odbijało się ech szczerego śmiechu, takiej jeszcze nie pamiętał chwili.

Pytania padały jak z procy, Olesiek nie mógł nastarczyć odpowiedzi. Rodzice kolejno brali go w ramiona i przytulali do serca. Matka zauważyła, że bardzo zmizerniał i zeschuplał. Olesiek opowiadaniem o przyczynach opóźnienia nie chciał zamącić pierwszych chwil ogólnej radości. Dopiero po wieczery, gdy nakarmiony przez matkę siadł w kole rodzinnem, opowiedział co mu się stało.

Rotmistrz zapalał cały gniewem, który skrupił się przedewszystkiem na towarzyszach Olesia.

— Chwalić Boga, polityczny z ciebie kawaler, ale wy basałyki, opoje, próżniaki. wydmikufle—dodał zwracając się do Janka i Kacperka. Chłopaki jako towarzysze podróży, przywołani przez rotmistrza z czeladnej izby, stali w progu i przysłuchiwali się z zajęciem opowiadaniom pana. To wy łotry, niegodziarsze, nie mogliście ratować, do pioruna kandego, sprawię ja wam łaźnię!

Niech jeno wielmożny pan rotmistrz pozwoła, bronił się Janek, który nigdy nie tracił do gadania fantazji, a miał przytem tak zabawną i frantowską minę, że patrzący nie mogli powstrzymać śmiechu. Niech jeno wielmożny jegomość pozwoła.

— Tylko nie łyj, bo ty to umiesz i opowiadaj jak należy — wtrącił milczący dotąd Kacperek.

— Jegomość nasz wiedzą dobrze, rozpoczął Janek, że jak na nas napadli, tośmy bili nie chwalcąc się, jak żołnierze, nie przymierzając jak wielmożny pan rotmistrz z Turkami pod Cecorą albo ze Szwedami pod Trzcianą, — dodał schylając się do nóg rotmistrza.

— A to frant, wisielec jakiś, gdzie to zajechał, jak to wie, jak zaczynać — śmiał się rotmistrz.

— A tak, biliśmy wroga jako lwy, po hetmańsku, Bóg świadkiem.

— Przecież ja zasiekłem jednego z nich na krupę — chwalił się Kacperek.

— Cicho, nie łyj, nie zasiekłeś, zaprzeczał Janek.

— Jako żywo, usiekłem.

— Nie usiekłeś, jeno zraniłeś, ale się wylize, bo rana niewielka, mówiła stara, matka leśniczego, — rozstrzygnął spór Olesiek.

— Niech i tak będzie, kiedy jegomość mówi, niech ja już nic nie znaczę, zaczął znów opowiadanie Janek. Aleśmy nacierali na lewo i prawo, w dłuż

i w szerz, aż tu w jednej chwili zrobiła się kurzawa na gościńcu, jakby od mocy piekielnych i bęc! wtedy porwali i uwieźli jegomością, chłopci jak dęby, było ich sześciu, a nas tylko trzech.

— Nie mogliście to gonić, łapać napastników?

— Tośmy gonili i gonili, lecieli i lecieli, ale co my jeden krok, oni dwa, co my dwa, to oni cztery.

— Co prawda, to trudna była sprawa, bo łotry miały świeże, wypoczęte konie, a nasze zmęczone były całodzienną podróżą — zauważył Olesiek.

— Oj! co prawda, to prawda—wtrącił Kacperek.

— Nie wtykaj się, kiedy ja gadam, ofuknął go Janek.

— Tobie zasie do mnie — mruczał pod nosem Kacperek.

— Kochają się jak bracia, a wciąż się kłócą i kłócą z sobą. Cicho bądź i gadaj porządnie — komenderował Olesiek.

— A to niech wielmożny jegomość zamknie mu wrota, bo gada a gada, a ja przy tym wilku do słowa przyjść nie mogę. Ale o czym to miałem mówić. Aha! już wiem, tak tedy goniliśmy, gonili, ale jak oni nam zginęli w lesie, tak myślę sobie w mojej głowie i kalkuluję, bo na tego barana, tu wskazał ręką na Kacperka—rachować nic nie mogę.—Myślę sobie, trudna rada, jegomości nie dogonimy, a wóz i czeladnika djabli wezmą, myślę sobie, trzeba inaczej poczynić, tedy nawracamy z miejsca. Na szczęście wozu nie zabrali nam, więc spłakani, zmarnowani na śmierć, ruszyliśmy dalej i wciąż jedziemy i jedziemy przed siebie, fort naprzód, aż dojechaliśmy do karczmy starego Millera w lesie, co to na rozstajnych drogach stoi, a przy niej wielka kuźnia i stajnie.

— Toście wy do tego grubasa trafili, zapytał rotmistrz?

— Jakżeby nie, kiedy gospoda okazała, że i w mieście takowej nie znajdzie.

Tu Janek powtórzył swoją rozmowę z Millerem i zapoznanie się z przejezdnymi kupcami. Nie omieszkał naturalnie dodać, jak wszyscy podziwiali zachowanie się i pocziwość, z jaką strzegli wozu i sepetów pańskich. Właśnie Miller—opowiadał dalej Janek—odradził puszczać się w las; do Brzegu nie było poco wracać, więc tak w imię Boże wciąż jechaliśmy i jechali. A żalność to już taka nas wezbrała, że wszystkie odeszły siły i dechu nawet nie mogliśmy puścić. Jedziemy więc i jedziemy, aż w końcu Pan Bóg zlitował się nad nami i dał nam jęgomościa.

Wymowa opuściła Janka, rozrzewniony wspomnieniami począł płakać, w czym naturalnie nie zapomniał wtórować mu Kacperek. Po chwili wynieśli się obaj do czeladnej izby, aby tam opowiedzieć zebranej służbie z najrozmaitszemi odmianami przygody swej podróży.

Tymczasem dokoła Oleśka zgromadziła się znów rodzina, siostry spoglądały mu w oczy, podziwiały jego odwagę, strój i gładkość, zachwycaly się opisem uroczystości dworskich oraz bogactwem polskich pań i panów.

Krzyżowały się pytania i odpowiedzi, oglądano podarunki, przywiezione rodzinie, podziwiano dobry gust i umiejętny wybór, śmiano się i żartowano serdecznie.

— Szkoda tylko, że Pawełka niema—ubolewała matka, ucieszyłby się książeczek z nami.

— Post święty nadchodzi, księża teraz najwięcej mają roboty, ani myśleć, żeby chłopca puścili — odparł rotmistrz.

Do późnej nocy gawędzili ochoczo, pod wpływem wrażeń zapomniano zupełnie o spoczynku, sen odbiegł wszystkich!

W alkierzu, matka klęcząc modliła się jeszcze długo bardzo na intencję syna. Dziewczęta, upojone opowieściami brata, nie mogły zmruzzyć oka.

— Żebym ja choć raz jeden w życiu widziała te wszystkie śliczności, choć raz jeden, dwór, pięknych rycerzy i panie. Żeby ojcowie pozwolili, zaraz z Oleśkiem pojechałabym do Brzegu, szeptała rozmarzona Zofka.

— A to po co? jeszcze czego? strofowała ją Kachna. — Choćby mnie prosili, nie pojechałabym za nic, zginęłabym wśród obcych ludzi, albo to u nas niema grzecznych kawalerów? albo to w Bytomiu lub w Piekarach na odpuszcie mało jest różnych śliczności? Przeżegnaj się i odpędź grzeszne myśli, radziła starsza siostra.

— Szczęśliwy Olesiek, szepnęła jeszcze ciszej Zofka, tuląc głowę w objęcia Kachny, jakby tym ruchem zasłonić chciała oczy przed szeregiem niebezpiecznych widziadeł.

W izbie, zajmowanej przez Oleśka długo bardzo siedział i rozmawiał z synem rotmistrz. Napaść Troskena rzuciła nowe światło na stosunki, wśród których obracał się Olesiek. Postanowił więc zbadać je dokładnie. Wypytywał się o księcia, księżnę, dworzan, urzędników, słowem wszystkich. Syn przed ojcem nie miał i nie robił tajemnicy. Odpowiedzi i uwagi Oleśka były trafne, przebijało z nich zniechęcenie do ludzi, otaczających księcia lecz i wielka cześć i wdzięczność dla niego.

Była nawet chwila, w której rotmistrz postanowił odebrać syna z Brzegu. — Bo to nie może u którego z panów w bytomskiej lub raciborskiej ziemi dobrać się znaczenia — pomyślał — alboż to niema Rzeczypospolitej Polskiej, Ślązak znajdzie w niej przytułek, rycerskie rzemiosło, czyż to nie najlepsza służba dla młodego?

Z drugiej strony rozważył także, że odbierając syna z Brzegu, dogodziłby jego nieprzyjaciółom, wyglądałoby to na tchórzostwo. Zmienił więc plan.

— Książę pan, jak widzę jest sprawiedliwy, ale i dobry dla ludzi — z opowiadań syna i różnych własnych domysłów przyszedł w końcu do przekonania rotmistrz — powinien wszystkich swoich nieprzyjaciół rozpędzić na cztery wiatry, porządek z nimi zrobić, i miałby raz na zawsze spokój.

— Kiedy to nie są źli ludzie, ino inaczej myślą jak książę i stąd częste niezgody w brzeskiej kamerze.

— A księżna pani, zapytał dalej rotmistrz.

— Swoim sprzyja okrutnie i nieraz gniewa się i fuka, zwyczajnie jak kobieta, że książę synka ubiera w kontusik i żupanik, ale dobra pani i miłosierna dla biednych.

— A synek?

— A to cała pociecha księcia. Małe to jeszcze chłopię, a takie mądre i polityczne, jak młodzian jaki. Księżciu panu zachodzą oczy łzami, gdy patrzy na niego. Mówi, że nie dożyje tej pociechy, aby mógł mu zapewnić władzę, mądre to i bardzo dobre chłopię.

Aleksander opowiadał jeszcze o zdrowiu księcia, któremu medycy niezbyt długie przepowiadają życie. Opisywał zwyczaje, codzienny tryb życia, nieporozumienia i kłótnie na dworze brzeskim.

— Olesiek! wyznaj ojcu szczerze, nie masz ty czasem w Brzegu jakiego kochania, bo to lichy nie śpi, o nieszczęście nie trudno, może ci wpadła w oko która z panien dworskich, różne przecie na świecie bywają zdarzenia, — zapytywał i badał rotmistrz syna.

Oleśkowi stanęła w myśli Dorotka Lingenau, wprawdzie nie tak ładna jak słodka Basia Bojanowska, od której dobroci i piękności, aż łuny biły, ale zawsze

panna jak łania, bałamutna, młoda, jak to mówią, do Boga i do ludzi.

Pytanie ojca rzucone nagle, niespodzianie, wywołało rumieniec na bladej twarzy syna.

— Coś waćpana ugryzło? he! prawda?—zauważył rotmistrz — żali godziwie, niechby tak było. Miarkuj jeno młokosie, aby była swoja, rodaczka, a nie żadna obca i cudza. Z takich afektów mieszanych pies nawet porządnej budy mieć nie może. Zawczasie ci jeszcze, smyku, na sentyment, zawczasie.

Olesiek zmieszany począł się usprawiedliwiać, tłumaczyć, lecz rotmistrz nie zważając na odpowiedzi syna, rozwodził się dalej.

— Powiadam ci, że z obcą nie trafisz nigdy do końca, dzień, dwa, w najgorszym razie rok cały będzie dobrze, aż tu nagle ni z tego ni z owego strzeli coś potem do łba i wszystko się skończy. Żebyś ją w miodzie kąpał, żebyś samemi maszkietkami obkładał, żebyś nawet wszelkiemi małmazjami i peppermentem polewał, zawsze będzie i zostanie obcą. Wielcy panowie to tak robią, że żony jak towary zwożą sobie z obcych, zamorskich krajów. Ale takie żeniaczki djabła warte. Trafi się wprawdzie i tam, gładka i godna niewiasta, ale to, widzisz Olesiek, zupełnie jakbyś chciał zamknąć srokę do jednej klatki z orłem, albo ze skowronkiem. Wierz mi, nawet naszemu kruczkowi porządnych butów nie możnaby wykroić z takiego gospodarstwa. Pamiętam ja dobrze, jak z nieboszczykiem panem Andrzejem, panie świeć nad jego duszą, byliśmy w Gdańsku, poznałem tam córkę złotnika, Mariechen było jej na imię, dziewczyna ładna, gębę miała rumianną, tłustą jak księżyc w pełni. Wzdychaliśmy do siebie, jak miechy kowalskie, patrzyli w siebie, jak w tuzy, żeby to jeno na patrzeniu się skończyło. No! to byłoby pół biedy, ale gdy przyszło z nią roz-

mawiać, to ani w ząb, ja na lewo, ona na prawo, jak ja na prawo, to ona znów na lewo.

Choć to mnie do gadania jednak nigdy nie brak było animuszu, a jej znów język latał jak w pantoflu, jak przyszło do jakiej z Mariechen, rozmowy, musiałem język łamać i wykoszlawiać, naplułem i nawykrzywałem się. Raz mnie też złość ostatnia porwała na te amory, myślę sobie, niechże cię tam ogniste kule biją, znać niechęć nawet cudzej i obcej, żeby nawet w oczach gwiazdy jak cebule duże miała, żeby zamiast włosów, na głowie srebrne i złote nitki jej wyrastały, niechęć znać żadnej, odsapnął ciężko pan rotmistrz.

Zapraszali mnie tam okrutnie, wydziwiali na mnie niestworzone rzeczy, noga jednak moja tam nie pozostała już więcej. I nie żałowałem tego nigdy, całe życie Bogu dziękowałem i dziękuję, że mnie uchronił od prawdziwego nieszczęścia. Długo jeszcze opowiadał i badał syna rotmistrz, dotąd, póki nie uspokoił się zupełnie, iż przebywając wśród obcych, syn nie zmienił jednak i nie zapomniał wyniesionych z ojczystego domu zasad.

Oleśkowi czas szybko schodził w Lipinach, z żalem myślał o wyjeździe. Obchodził z ojcem gospodarstwo, jednego dnia poszedł na staw łapać ryby. W Lipinach duży był staw, pełen karasi i okoni. Rybołóstwem, jak to było w zwyczaju, zajmował się sam pan rotmistrz; lipińskie ryby sprzedawano daleko, nawet do Polski wynosili je kupcy. Przyłączył się także do wyprawy na grubego zwierza, urządzonej w bytomskich lasach przez nadleśniczego, a przyjaciela ojca; chodził prawie codziennie do Bytomia, do pana Szpyry, a gdy przyszedł wieczór, to przegawędzili go z matką i siostrami, albo słuchał, gdy przędąc pilnie, że aż wrzeciona warczały, śpiewały ulubioną piosnkę: „U mojej matuchny rodzonej, stoi jawór zielony, zielony“.

I nie myliła się pani rotmistrzowa, przepowiadając gości. Prawie codziennie przyjeżdżał ktoś do Lipin. Pierwszy zjawił się ksiądz Stanisław Dąbrowski, wikariusz z Piekar, przyjaciel Pawełka. Wraz z nimi chodził do akademji krakowskiej. Ponieważ ziemia bytomska od dawnych czasów należała do djecezji krakowskiej, przeto wszyscy księża uczyli się w Krakowie. Ksiądz Dąbrowski opowiadał o księdzu Pawle, jak go lubili i szanowali księża od panny Marji, gdzie wkrótce miał zostać wikariuszem. Opowiadał również, jak wielu ślązaków dorobiło się znaczenia w Krakowie. Opowieściami o ludziach, kościołach, zamku na Wawelu i rzece Wiśle, tak zaciekał Oleśka, że aż dusza rwała się w nim, aby wszystko mógł jaknajprędzej widzieć i podziwiać.

Przyjechali także w odwiedzinę do Lipin dobrzy znajomi rotmistrza panowie Kotulińscy i Zaremba z pod Pyskowic, a nawet pan Rudzik, posesor jednego z kluczków należących do Promnitzów na Pszczynie.

Pan Rudzik, bywalec nielada, co to wiedział, jak trawa rośnie, przyniósł nowinę posłyszaną od ludzi dworskich z Pszczyny. Mówił, jakoby młody Promnitz z krewniakiem Haugwitzem wybierali się także do Warszawy.

— Nie mają co robić, więc kręcą się po świecie, a że teraz nowy król w Warszawie i jak powiadają będzie koronacja księżniczki austriackiej, to i dużo zjedzie się Niemców, nasi panowie ze Śląska z ciekawości także pojedą — opowiadał Rudzik.

— Pewnie który z krewniaków Fritza — pomyślał Olesiek, wiedział bowiem, że rodzina Haugwitzów była liczną i nawet w Pszczyńskim mieli swoje majątki.

Zapomniał jednak wkrótce o tem, pod dachem rodzinnego domu zginęły z przed oczu wszystkie,

intrygi i kłótnie dworskie, czuł się szczęśliwym i swobodnym. Całą piersią oddychał powietrzem wioski rodzinnej, zapomniał o ranie zadanej przez nasłańców Troskena. Ten najmiłszy, najbliższy kąt Śląskiej ziemi zasłonił mu nawet złość i przewrotność ludzką.

V.

Nad Warszawą jasne świeciło słońce. Gdyby nie drzewa огоłocone z liści, nie roztopy i błota po drogach, można było sądzić, iż maj zawitał w całej swojej krasie. Tak ogrzewały słoneczne promienie i taką zielenią mieniły się pod miastem okoliczne pola. Rozśpiewało się nawet ptastwo i rozbrzęczały owady polne.

To nagle przebudzenie natury, po długim i męczącym śnie zimowym, szło w parze z życiem i gwałtownym ruchem, panującym pod miastem i w samych murach stolicy.

Wszystkiemi bramami, a było ich pięć, zjeżdżały do Warszawy tłumy wszelakiego ludu. Poszóstne karety pańskie, z pajukami i hajdukami na przodzie kolaski, tkaną lamą wykładane, proste wasągi, skarbniczki, karabony i wozy naładowane sepetami, toczyły się po drogach. Konno, z pacholikami i samotrzcę, dążyła szlachta i rycerze. Z dalekich województw, z kresów zjeżdżali się do stolicy. Nie brakło i pań, towarzyszących mężom i pięknych dziewic wraz z rodzicami, spieszących do stolicy. Jednych, a przede wszystkim kobiety, nęciła ciekawość ujrzenia żony wybranego z woli narodu i z pośród narodu, króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Po ślubie, odbytym z wielką okazałością w końcu lutego w Częstochowie, królewska para świeżo powróciła do Warszawy.

O mającej się odbyć w najbliższym czasie koronacji królowej, rozprowadano cuda, wzbudzając niemi ciekawość ogółu.

Posłów, a tych wśród przyjezdnych było najwięcej, ciągnął do Warszawy zbliżający się sejm. Ważne na nim miano roztrzygać sprawy. Byli i tacy, których do opuszczenia na dłuższy czas domu zachęcała nadzieja otrzymania nowych urzędów i godności. Pod murami miasta pędzili wszyscy cwałem, wyprzedzano się wzajemnie aby co prędzej stanąć na miejscu i odnaleźć dach nad głową. Wszystkie najprzedniejsze, na Długiej ulicy wzniesione gospody od dawna były zajęte lub pozamawiane. Wzdłuż krakowskiego przedmieścia i na dalszych ulicach, na Rybakach i na Łazarzowej powynajmowano mieszkania i stajnie. Nawet za miastem, w domach tworzących podmiejskie osady, w tak zwanych jurydykach, pełno było przyjezdnych. Gdzie kto mógł, lokował się, byle tylko nie być zmuszonym prześpać nocy w stajni na własnym wasagu lub wozie. Nie brakło też i zagranicznych gości, zaroїła się Warszawa różnobarwnym tłumem. W piękny słoneczny dzień ulice były zapchane ludem, co żywo biegł zaczerpnąć świeżego powietrza i świeżych wiadomości. W stronę zamku zwracano przedewszystkiem oczy. Od samego rana rozeszła się po mieście wieść, iż król z żoną mają jechać do kościoła Bernardynów na Pragę, aby wysłuchać Mszy św. w kaplicy Loretańskiej.

Królowa od przyjazdu do Warszawy rzadko kiedy opuszczała zamek. Mało kto miał sposobność ją widzieć, budziła przeto zajęcie wszystkich.

Gdy błyszcząca szczerozłotem karetą zaprzężona w ośm koni wyruszyła w stronę Łazarzowej ulicy i mostu na Wiśle, tłum ciekawych zalegający plac przed zamkiem, skrzył gwałtownie w stronę Pivnej ulicy.

Jak zwykle w takich razach popychano się, krzyczano i wymyślano wzajemnie. Każdy chciał być pierwszym, widzieć jaknajlepiej a jedno drugiemu nie myślało nawet na jeden cał ustąpić miejsca. Nietylko

koło zamku, lecz i dalej, przed pałacem Kazanowskich trudno było przecisnąć się, chwilami wprost przejście było zatamowane.

W bramie krakowskiej, tuż przy samym wejściu na rynek przedmiejski, wprost kolumny króla Zygmunta, stał w kontuszu i niebieskim żupanie młody człowiek. Stojący przy nim dwaj pachółkowie pięściami stosownie do potrzeby torowali mu drogę i usuwali zbyt gwałtownie cisnących się ludzi.

Aleksander Lipiński, bo on to był, wraz z Jankiem Robotą i Kacperkiem Rybokiem, jak oczarowany zapatrzył się w ten kipiący gwar i życie. Falowały jak łany zboża w miarowym ruchu głowy tłumu, a on stał, patrzył i nie słyszał nawet, jak Janek powtórnie już trącał go, mówiąc:

— Niech jeno jegomość puszcza w ruch język, bo do nocy tak stać możemy i żadnej nie damy sobie rady.

— Jak zobaczę odpowiednią gębę, to i zapytam się o drogę, z pierwszym lepszym warchołem nie będę wchodził w komitywę — odparł Lipiński.

Lipiński obejrzał się, aby zobaczyć, kto go wychwala, lecz w tejże chwili tłum gwałtownym ruchem pchnął ich wszystkich trzech wraz z nieznanym poza mury pałacu. Nie opatrzyli się aż ponad brzegiem Wisły, tam właśnie, gdzie kończyła się słynna i wspaniała siedziba Kazanowskich. Wówczas z tego punktu przedstawił się Lipińskiemu w całej okazałości zamek królewski. Spojrzał na piętrzące się, poczynawszy od brzegów Wisły coraz wyżej a wyżej, jakby na wzgórzu wyrosłe domy starego miasta.

— Matko Boża! jakże tu pięknie — wyrwał się z piersi Lipińskiego okrzyk podziwu.

— A to kawaler widzę [obcy? — zapytał nieznajomy — pierwszy raz w Warszawie?

— A jakże, odparł Lipiński.

— Widzę, iż z grzecznej waćpan przybywasz krainy, skoro imieniem Panny Najświętszej objawiłeś swój zachwyt i jak widzę, znasz się waćpan lepiej od kozy na pieprzu, kiedy ci się tak udał nasz zamek i nasze miasto. Piękny to zamek i piękne miasto, ani słowa. A skąd to waćpan przybywa, jeśli wolno zapytać?

Lipiński zawahał się z odpowiedzią.

— Nie bój się Waćpan, nie jestem warchołem, ani kpem nawet nie jestem, możesz wejść zemną w komitywę, a nawet radą służyć mogę, boś mi kawalerze udał się z gęby.

— A i mnie także waćpan przypadł do gustu — odparł Lipiński.

W samej rzeczy otwartość i serdeczność, z jaką przemawiał do niego nieznajomy, podobała mu się bardzo i natchnęła zaufaniem. Fizjonomia przytem zdradzała szczerłość. Był to ciemny blondyn, lat około czterdziestu, a może i więcej, ale młodo jeszcze bardzo wyglądający mężczyzna.

— Skoroś ty młodszy i obcy tutaj, to rzeknij jak się nazywasz.

— Rzeknę, a jakże, wymieniając już bez wahania swoje nazwisko.

— Jestem — mówił dalej — dworzanin księcia Krystyana II. Piasta.

— Dworzanin księcia Piasta — powtórzył zdziwiony i jakby nie rozumiejąc słów Lipińskiego ów nieznajomy.

— Jak się patrzy, dworzanin księcia Piasta Śląskiego, pana na Brzegu, Lignicy i Wołowie.

— Prawdziwego Piasta? — pytał, niedowierzając własnym uszom po raz drugi.

— Naprawdziwszego potomka królów polskich.

— Chryste Panie! dworzanin Piasta! potomka

królów! — wykrzyknął nieznajomy. Toć to prawdziwi Piastowie jeszcze żyją! a dawajże gęby — a niechże cię uściskam, toć nie było i nie będzie grzeczniejszych nad Piastów królów — wołał ściskając i obracając na wszystkie boki Lipińskiego. Czołem! przed waćpanem, czołem! Patrzajcie go, toi waćpan z nieba mi spadłeś, jak mi Bóg miły! Toć ja simplex servus dei, myślałem, że już niema na świecie Piastów, a oni jeszcze żyją. A dużo ich? dużo? — musisz mi wszystko bratku opowiedzieć i wyłożyć, jak łopatą w głowie. Chwała ci panie! a niechże cię uściskam — wołał — wprowadzając w czyn gorące wylewy i oznaki swej radości.

Kacperek patrząc na pocałunki, któremi nieznajomy obdarzał Lipińskiego, szepnął z cicha Jankowi:

— Pewnikiem i nas będzie tak całował, przyszykuj się godnie, bo i my przecież pachółkowie dworscy.

— A jakże, ale jabym tam wołał, żeby mnie nieprzymierzając na ten przykład, całowały dziewczęta — brzmiała odpowiedź Janka.

Tymczasem Lipiński, wyrwawszy się nareszcie z objęć nieznajomego zapytał.

— A waćpan co za jeden?

— A niechże się, z wielkiej uciechy zapomniałem wyjawić swoje nazwisko. Bądź waćpan spokojny, znają mnie tu wszyscy na Starem mieście. Jestem Juljusz Ginter, mieszczanin, kupiec i rajca miasta Warszawy, do usług waszmości. W niejednem mogę dopomódz, bo znam wszystkich i miasto całe na wylot. Kiep ten, co nie zna dobrze swego kraju.

Lipińskiemu aż oczy zajaśniały radością na wiadomość. Obcy w obcym mieście, jak raz takiej potrzebował znajomości. Pan Bóg zesłał mi tego rajcę — pomyślał w duszy.

— Teraz ja wam, mości panie rajco, powiem, żeście mi z nieba zesłany, jestem obcy, żywej duszy

nie mam znajomej, a ważne sprawy do załatwienia. Nie wiem nawet, gdzie się ruszyć. Od samego rana, z temi dwoma łotrzykami, dodał, wskazując ręką pachołków — błąkamy się po mieście i wybrnąć nie możemy.

— Nie możemy, — powtórzył, jak echo, Kacperek.

— A niema to waćpan wozu, albo jakich sepetów? — zapytał Ginter.

— Mam wóz ładowany i trzy konie pod wierzch, ale to wszystko zostawiłem pod opieką czeladnika daleko, bo aż w Jazdowie. Wczoraj późnym wieczorem wjechaliśmy do miasta, pomieścić się nie można było nigdzie, zaledwie w jakiejś podrzędnej gospodzie odszukano nam stancijkę.

— Szczęście to waćpana, żeś i tam znalazł dach nad głową, bo jak widzisz, siła obcego ludu zjeżdża do naszego miasta. Ale kiedy waćpan przypadł do mojego serca, jak mucha do jądła, to już wezmę cię w moją opiekę i przystojniejsze dla was, no! i dla waszych pachołków znajdę miejsce. — mówił i pilnie począł przypatrywać się obydwom Ginter — A jakże się oni nazywają?

— Ja, to niby jestem Janek Robota.

— A ja Kacperek Rybok — dodał drugi.

— Robota i Rybok.

— A to wy tam siarczyste macie nazwiska. To mi się podoba! Aż miło!

— Tym czasem Janek swoim cienkim dyszkantem pisał do ucha Lipińskiemu:

— Niech jegomość wołają teraz na nas po nazwisku. Godne miasto ta Warszawa. Z kopyta poznali, że ze Śląska, a nie z jakiej obcej przybywamy krainy i od razu uszanowali człowieka. Niech pamiętają o tem, i dla jegomości większa chwała, kiedy mają takich zacnych pachołków, — mówił Janek.

Lipiński nie zwracał uwagi na jego gadanie. Tonął w zachwycie i w podziwianiu potężnych, wysokich na kilka pięter murów pałacu Kazanowskich. Ponad dachem, całym z miedzi, który oblany promieniami słońca gorzał i płonął jakby w ogniu, strzelały w górę wyniosłe pałacowe wieże.

— Przypatrz się waszmość dobrze, przypatrz tym murom, zamknięci w nich podczas oblężenia Warszawy Szwedzi łykać musieli kule naszych dzielnych Mazurów, prażyli ich też, bo prażyli. Pamiętam dobrze, jak nasi strzelali bez tchu i spoczynku, pod samym zamkiem, nawet w kościele Bernardynów, krew płynęła. Ciężkie to były czasy, przynajmniej dobrze się skończyły.

Czego bo ta biedna Warszawa nie pamięta! — rozrzewnił się pan rajca, prawdziwie synowskiem uczuciem kochał on rodzinne miasto. Aby odwrócić smutne myśli, które jak ptaki zleciały się i okoliły pełną wspomnień pamięć, Ginter rzucił pytanie:

— Więc z Brzegu waćpan do nas przyjechał? pewnie i z Brzegu rodem jesteście mości dworzaninie?

— Z Brzegu przyjechałem, ale rodem jestem z pod Bytomia.

— Z pod Bytomia? Może od Piekar? — no, no! z tak daleka — kiwał głową mieszczanin.

— Brzeg jeszcze dalej — zauważył Lipiński. Zkąd wiecie panie rajco o Bytomiu i Piekarach? Czyście tam byli w naszych stronach?

Ginter spojrzał zdziwiony na Lipińskiego. Cień niezadowolenia przemknął po wesołej twarzy mieszczanina.

— Zkąd wiem, pytacie. To mnie mości kawalerze dziwno, że się o to właśnie pytacie. Zkąd ja wiem o Piekarach, albow to nie Mazur, nie katolik i wiem dobrze, że Panna Najświętsza, Królowa nasza, obrała sobie miejsce w Piekarach, aby i tam modlić się za swoich synów.

Stanęli właśnie koło kolumny, wzniesionej na placu przedmiejskim, wprost zamku.

— Widzicie oto tę kolumnę, to pomnik króla Zygmunta III., a w zniósł go ojcu syn, król Władysław IV. Panie, świeć nad jego duszą, godny to był król i dobry dla naszego miasta. Wiem dobrze, że za jego rządów ziemia bytomska i opolska należały zastawem do nas, a w opolskiej to i król Jan Kazimierz mieszkał, wiem to wszystko, wiem. A wasz Brzeg srogie, ludne miasto? — pytał Ginter — przydreptując z nogi na nogę, zmieniając co chwila miejsce, bo znowu znaleźli się w otoczeniu tłumu, który wyparował ich aż na sam koniec placu. Mając ruch zatamowany i nie mogąc posuwać się swobodnie, stanęli i gawędzili dalej.

Lipiński rad, że może pochwalić się swemi wiadomościami, począł opisywać wspaniałość Brzegu, Odry, a przede wszystkim piękność prastarej piastowskiej siedziby,

— O tych Piastach to z waćpanem pogadamy obszerniej, tylko dostaniemy się do mego domu, a ztąd już, chwała Bogu, niedaleko.

Przy lampce miodu niejedno stanie w pamięci. Tutaj ciżba robi się coraz większa i niedługo pięty nam poobrywają.

— Mości panie rajco, wielką dla was w sercu wdzięczność zachowam, żeście mnie zabłąkaną owcę przyjęli do swojej gromady. Czołem! wam panie rajco! czołem!

I poczęli się na nowo ścisnąć, całować a potem wśród tłumu wspólnie torowali sobie drogę. Ginter szedł naprzód, kierując się w stronę zamku.

Lecz trudna to była przeprawa, w pochodzie wstrzymywały ich przejeżdżające przez plac kołasy.

Lipiński wpatrywał w nie pilnie, przypuszczając, że w której z nich dojrzy płowe warkocze Basi

Bojanowskiej. Tymczasem oczekiwane zjawisko nie okazywało się, natomiast nadjechała karetą, otoczona hajdukami, zaprzężona w cztery rosłe, ogniste rumaki. Wspaniałością zwróciła uwagę Lipińskiego.

— Czyja to kolasa i czyje takie rwące się gniadosze, o mało co nie rozbiją pudła?

— Mój kawalerze, prędzej głowę będziecie mieć tam, gdzie nogi, aniżeli znajdziesz człowieka, któryby lepiej odemnie znał wszystkie przedniejsze kolebki i konie.

Otóż ta, co teraz minęła zamek i wjeżdża w ś-to Jańską ulicę, to kolebka wielkiego hetmana i marszałka Sobieskiego, a ten wysoki chudy Niemiec, co obok niego siedzi, to hrabia Schafgotsch, poseł austriacki.

— Hrabia Schafgotsch, — wykrzyknął Lipiński.

— A cóż to tak dziwnego. Wielki dla niego zaszczyt, że obok Sobieskiego siedzi. Wprawdzie, podobno krzywem okiem na siebie patrzą, ale to nic, przystojnie obok siebie mogą jednak jechać.

Bo to widzicie, żona naszego króla, niebardzo przypadła do serca wszystkim, przeto i posła jej nie wszyscy uważają.

Słyszeliście co o tych Schafgotschach?

— U nas na Śląsku mają ogromne majątki, siła wsi należy do nich. Może to który z tych hrabiów.

— A ja widzę, że wam mucha usiadła na nosie i brzęczy w ucho, boście się okrutnie zafrasowali na tę wiadomość — zauważył Ginter.

Wyraziste, ruchliwea pełne szlachetności rysy Lipińskiego zdradzały niepokój. Nazwisko Schafgotscha przypomniało mu Troskena. — Wszakże Rudzik opowiadał w Lipinach, iż młody Promnitz z krewnym swoim jedzie także do Warszawy. — Można pan, poseł cesarski mógł przecież różnych dworzan zabrać ze sobą. Dlaczegożby

koniecznie którym z nich miał być Haugwitz albo Trosken? Gdyby nawet i Haugwitz, krewniak Promnitzów przyjechał. Cóżby on tutaj robił? Zawadżaka z niego ognisty, ale nie warchoł. Nikt, tylko Trosken może się zjawić, taki to umyślnie mąci wodę, aby w jej mętach łowić ryby. — Te i tym podobne przypuszczenia trapiły Lipińskiego, popsuły mu humor i duszę całą napęłniły smutkiem. O ile mógł, panował jednak nad sobą, aby nie zdradzić Ginterowi tajemnicy. Co taki obcy człowiek pomyśli o mnie, a sprytny widać nielada. —

Dobili się na koniec do zamku.

— To mieszkanie naszych królów a zaraz obok kościół św. Jana, — wskazywał ręką Ginter.

Lipińskiego ogarnęło rozrzewnienie na myśl, iż stanął pod murami kościoła i zamku, o których ojciec opowiadał takie śliczne historie. Łzy zabłyśły w oczach młodzieńca, z pokorą ukorzył się przed ciemnym, w ulicę wsuniętym portykiem kościoła.

— Piękne to łzy, kawalerze — zauważył mieszczanin. Coraz więcej przypadał do serca Ginterowi Lipiński. Dali Pan! szkoda, że moja dziewczyna mała, zarazbym ją zeswatał, setny to chłopak z tego dworzanina, — pomyślał rajca.

— Więc to z tego kościoła prowadzą do zamku ganki, które królowie chodzą do kościoła — pytał Lipiński.

— A jakże, a jakże — tutaj to na tym zamku przebywali Zygmunt August, wielki i mądry wojownik król Stefan Batory, Anna Jagiellonka, Zygmunt III., dzielny Władysław IV. i nieszczęśliwy król Jan Kazimierz.

— Miasto, żeby do rany przyłożyć, wszystko chwyta za serce.

— Powiadam wści kawalerze, że jak poznasz

naszą Warszawę, to serce z radości rozplynie się jako tłuszcz wieprzowy na gorącym ogniu — odparł Ginter.

Dumny i szczęśliwy, iż może opowiadać o dobrze znanych sobie dziejach, zwracał na wszystko Lipińskiemu uwagę.

— A jak zobaczysz zamek od strony Wisły, to mówię wam, że piękności takie, iż weneckie w kącie przed niemi mogą się schować. Takie to kochane miasto, iż w obronie jego królowa Marja Ludwika, żona Jana Kazimierza sama nastawała na Szwedów. Patrzcie na lewo, koło zbrojowni, to jest tam miejsce, na którem ona, słaba niewiasta szykowała działa i walić kazała na Szwedów, co razem z kurfirstem brandenburskim stali po drugiej stronie rzeki, za Wisłą na Pradze. Siła ich wtedy zginęła, jak muchy padaliłbami o ziemię.

— A tu znów dalej—mówił wskazując na lewo—patrzcie na dom Gdański, mury jego rozwalił w części Stefan Czarniecki i tym sposobem szczęśliwie wraz z całym wojskiem dostał się do wnętrza miasta i naszą kochaną Warszawę, nasze stare miasto ocaliła Panna Najświętsza—zapalał się coraz więcej rajca warszawski, Twarz mu się czerwieniła, oczy błyszczały ogniem i ściskając za rękę Lipińskiego, powtarzał z uniesieniem:

— Pamiętam dobrze jakby dziś, wojsko dziękczynne i radosne śpiewało pieśni, po kościołach modliły się niewiasty i dzieci. Mazur rzucał się na szyję i ścisnął Litwina, a wróg pobity, zwyciężony uciekał z naszych murów pełen wstydu i hańby.

Zapalając się coraz więcej, Ginter opowiadał następnie o elekcji króla Michała Wiśniowieckiego. W jasnych barwach malował wytrwałość i energję szlachty i rycerstwa polskiego, które wbrew intrygom obcych dworów wybrało na króla syna zasłużonego wielkiego wojownika.

— Korona polska, smaczny to, łakomy kąsek — zauważył Lipiński.

— I to nieraz tak bywało. Niech jeno który z naszych królów zamknął oczy, ba! jeszcze za żywota, nie uszanowali majestatu i zjeżdżała się z wszelakich stron moc cudzoziemców, i dalejże! jak szare gęsi rozpościerali się w naszym kraju. Francuzi, Niemcy zasypywać chcieli szlachtę pieniędzmi, kłócili jednych z drugimi, buntowali na siebie braci, lecz nie udało się obcym i wybrano swego, Piastą, bo tak nazywają króla Michała, na pamiątkę, że jak ów pierwszy Piast, tak i dzisiejszy król z pośród braci i z woli narodu wybrany został — tłumaczył Lipińskiemu Ginter.

Byłby jeszcze długo wywnętrzał się rajca, bo go wzruszyły świeże wspomnienia, lecz że stali przed kościołem św. Jana, a był otwarty, więc Lipiński rzucił myśl, aby zwiedzić prastarą świątynię Warszawy.

— Wejdzmy do wnętrza, a tymczasem reszta tłumu rozejdzie się i my łatwiej dojdziemy do jakowej gospody, taki tu ścisk, że niczem u nas odpust na św. Jadwigę, albo i na św. Annę na górze Chełmskiej.

Kiedy weszli do katedry, Ginter poprowadził Lipińskiego przed wielki ołtarz. Cisza i powaga kościoła, w którym w chwilach trwogi i nieszczęść od kilku wieków modliły się nie tylko ukoronowane głowy, ale i serca wszystkich, ludu całego, miała w sobie wielki, przejmujący majestat.

Lipińskiego ogarnęło dziwne, niewytłumaczone przeczucie, iż w murach miasta, do którego przybył poraz pierwszy, rozegrają się ważne w jego życiu chwile. Zapatrzony w obraz, arcydzieło słynnego Palmy, modlił się szczerze i gorąco.

— Waćpan, panie dworzaninie, przerwał milczenie Ginter, wskazując na wykute po lewej stronie ołtarza dwie, naturalnej wielkości postacie rycerzy w pełnych zbrojach. Patrzcie jeno, mówię wam, oto są pomniki ostatnich naszych Piastów, Stanisława i Janusza, książąt Mazowieckich, grzeczni, godni to byli książęta, my mieszczenie siła im zawdzięczamy przywilejów.

— A dawno pomarli — zapytał Lipiński.

— Ho! ho! już 145 lat, ostatnia to gałązka królewskiego rodu. Żali to nie będzie z waszą urazą, panie dworzaninie, to wam powiem, że ci wasi Piastowie, o których opowiadacie, wydali mi się być fałszowani, pomyślałem sobie, żali mnie nie obełguje i mówi prawdę ten dworzanin? Człowiek o waszych nic nie słyszał, więc zkąd ma co wiedzieć, a tu jak za karę, uczciwszy uszy, plugastwo wszelkiego rodzaju zjeżdża się, Bóg wie zkąd, jacyś dworzanie duków, hrabiów i kurfirstów. Zatrzęsienie paskudztwa z obcych stron i krajów. Bez urazy, co was tu do Warszawy sprowadziło, wdzięczny kawalerze? — rzucił pytanie Ginter, — któremu od pierwszej chwili znajomości leżało ono kamieniem na sercu.

— Nazywam się Aleksander Lipiński. Od mego księcia i pana przywiozłem list gratulacyjny do księżnej Gryzeldy Wiśniowieckiej z okazji zaślubin jej syna z księżniczką Eleonorą austriacką.

— Czołem! panie pośle, czołem! — wołał uradowany Ginter. Nie gniewacie się na mnie?

Lipiński w odpowiedzi podał rękę rajcy. Szczery, serdeczny uścisk złączył dłoń mieszczanina warszawskiego z dłonią ślązaka. A na ten uścisk bratni, spoglądały kamienne postacie książąt i w górze ponad niemi na srebrnym krzyżu rozpięty Zbawiciel.

Gdy po chwili wyszli z kościoła, ulica była już pustą, przed portykiem stali pacholętkowie Lipińskiego.

Tłum, jak zwykle, nasycony wrażeniami, rozpraszał się zwolna. Jedni powracali do domów swoich, do zajęć, inni do gospód czasowo zajmowanych. Gawiedź uliczna, pusta, bezmyślna, której nigdy i nigdzie nie brak, szła znowu naprzód, aby w innym, dogodniejszym kącie obrać odpowiednie dla swoich celów miejsce. Ci, co widzieli karocę króla i spieszące za nią do kaplicy loretańskiej kolebki, rozchodzili się zadowoleni. Gwaru, hałasu było dużo, ścisłu jeszcze więcej, więc cel tłoczenia się w zupełności był osiągnięty.

W samo południe, Ginter wraz z Lipińskim stanęli na Długiej ulicy, przed jedną z najwspanialszych gospód. Zaraz na wstępie opowiadał wszystkim, iż Ginter przyprowadził posła księcia śląskiego.

Wiadomość zaciekała wielu i chociaż gospoda była pełną, znalazło się jednak godne i odpowiednie pomieszczenie dla Lipińskiego, jego koni i dworzan, jak nazywał Robotę i Ryboka Ginter.

Przy rozstaniu żegnali się serdecznie.

— Miodu czystego, patoki co najprzedniejszej wlaście dzisiaj do mego serca, mówił rajca. — A nie zapominajcie o mnie, trafić snadno, Gintera znają wszyscy na starem mieście.

— A wiecie gdzie mieszka Księżna Wiśniowiecka?

— Wiem, u zięcia, pana starosty spiskiego — odparł Lipiński.

— A wy, zkąd to wszystko wiecie? dziwił się Ginter.

— Na dworze starosty spiskiego, krewniak mój ze Śląska jest dworzaninem. Zresztą niemało panów polskich a między niemi i Lubomirscy odwiedzili już naszego księcia.

No! no! co za dziwy! co za dziwy!—rozmyślał—wracając do domu Ginter. Całą drogę rozważał nad tą spójnią dotąd sobie nieznaną, która ludzi na dalekich od siebie mieszkających krańcach łączyła w jeden braterski łańcuch pokrewieństwa.

VI.

Wśród wielu domów i pałaców, które począwszy od krakowskiej bramy prawie aż do Jazdowa, ciągnęły się wzdłuż krakowskiego przedmieścia, nie bogactwem i nie stylem, lecz dziwną jakąś żalobną powagą i smutkiem odznaczał się pałac starosty spiskiego. Trudno go było nawet nazywać pałacem. Dom to raczej był obszerny, wygodny, zbudowany na to, aby mieszkaniem jego było w nim cicho i spokojnie. Nie zdobiły go na zewnątrz ani wieże i baszty, ani wewnątrz nie było w nim marmurów, rzeźb kosztownych, ani obrazów pędzla mistrzów włoskich, jakimi już ówcześni panowie zdobili swoje pałace. Dom ten z obszernym ogrodem, przybywszy na mieszkanie z synem do Warszawy, księżna Wiśniowiecka nabyła przed laty i urządziła go skromnie. Wiecznie zboląła po stracie wielkiego bohatera a męża swego, nie szukała zabaw. Gdy losy jedynaka postawiły na tronie, księżna dom swój oddała zięciowi, staroście spiskiemu, w którym pan ten, możny i bogaty, tylko w czasie sejmów przebywał. Sama powróciła na mieszkanie do brata swego do Zamościa, do prastarej siedziby Zamojskich. Ślub syna i przypadające z tego powodu uroczystości i sejmy ściągnęły księżnę Gryzeldę do Warszawy. Spokojny i cichy przedtem dom księżny Wiśniowieckiej, bo tak go zawsze nazywano, wrzał niezwykłym życiem. Zajeżdżano i wyjeżdżano wciąż przez wrota. Kręcili się po dziedzińcu pacholkiwie, a w komnatach

przybranych w stare makaty i gobeliny słyszano gwar i wrzawę coraz nowych gości.

W części domu, zajmowanej przez księżnę Gryzeldę, cicho było jak w klasztornej celi. W otoczeniu swego małego dworu, dostojna pani spędzała czas na modlitwie. W dzień, w którym Lipiński przybył do Warszawy, matka króla, powróciwszy z zamku, siedziała w swojej komnacie, otoczona ulubionymi książkami do nabożeństwa, gdy z lekka uchyliły się drzwi i stanęła w progu jedna z panien dworskich pani starościny.

— Przybył posel księcia Piasta śląskiego, i pragnie oddać hołd księżnej, czy może być wprowadzonym?

Dziewczę mówiąc te słowa dziwnie było blade i wystraszone, tak że zmieniona twarzyczka nie uszła uwagi księżnej Gryzeldy. Bystrem spojrzeniem objęła wchodzącą.

— Posel księcia pragnie widzieć się zemną? do mnie przyjechał? chyba to pomyłka—wyrzekła księżna.

Pełna skromności, całym życiem swoim, zasługująca na najwyższą cześć i uznanie, unikała i nie oczekiwała żadnych hołdów. Przybycie więc posła przejęło ją zdziwieniem.

— Prosi o posłuchanie, przywiózł gratulacyjny list—powtórzyło dziewczę.

— Dobrze, powiedz Basiu córce mojej, że przyjdę do sali i tam przyjmę posła księcia śląskiego.

Szanuję majestat króla, syna i pamięć bohatera ojca—pomyślała przechodząc po chwili do komnaty córki, po drugiej stronie domu położonych.

W chwili, gdy księżna weszła do sali, Lipiński rozmawiał z Basią Bojanowską, bo ona to była właśnie. Na widok księżnej podbiegł żywo i pochylił się jej do kolan. Dostojna postawa pani, na czole której wypisane były ślady przeżytych wielkich cierpień

i ofiar, mimo wieku, zmarszczek i siwizny, pełną była tajemniczego, pociągającego uroku. Na jej widok bezwiednie chyliły się czoła. Zawsze we wdowi czepek i zawsze w najskromniejszą była przybrana szaty, jak żadna z pań jej rodu i stanowiska.

Z całą słodyczą, właściwą jej dobremu i szlachetnemu sercu, podając rękę, przemówiła na powitanie.

— Waszmość przywozisz mi listy i pozdrowienie z dalekiej krainy... Nie mnie to biednej niewieście przynależy odbierać hołdy, przyjmuję je przez pamięć męża, pana mego i dla majestatu syna i króla Michała.

Lipiński przyklęknął podając list, na którym wielkimi literami wypisany widniał polski napis: „Gryzelda Konstancja Korybutowa Wiśniowiecka“.

— Wielki to zaszczyt dla mnie chudego pacholka, że przez moje niegodne usta, pan mój i księżę wyraża swoje uniżone i gorące afekta dla was i waszego króla i syna, miłościwa księżno i pani moja. Mój pan i księżę, pan na Brzegu, Lignicy i Wołowie, zawsze wielkim afektem pała dla polskiego, bratniego króla i narodu.

Podczas gdy księżna Wiśniowiecka odczytywała list Piasta, Lipiński rozmawiał z Basią. Wyraz twarzy obojga przy powitaniu zdradzał, iż spotkanie to było bardzo miłym i pożądanym. Od krewniaka swego Zaręby, który był dworzaninem pana starosty spiskiego, szwagra króla, wiedział już Lipiński, iż Basia jest w Warszawie. Z Zarębą spotkał się zaraz po rozstaniu z Ginterem, i dobrze się stało, inaczej nie byłby tak łatwo dotarł do pana starosty. Od Zaręby dowiedział się również, iż pan wojewoda z żoną zaraz po ślubie króla wyjechał do domu, dokąd wzywały go ważne a niespodziewane sprawy województwa. Basię zaś zabrał z sobą wuj jej cześnik sieradzki, pan Franciszek Wodzieradzki. Jako gorący zwolennik

Wiśniowieckich, jeździł on również na wesele króla do Częstochowy.

Pan cześnik, nie myślał widocznie tak prędko opuszczać stolicy, bo przybył z żoną i całą służbą. Nawet matkę staruszkę zabrał z sobą do Warszawy. A że nie mieli dzieci, więc z wielką radością podejmowali u siebie pannę Bojanowską, jedynej, nieżyjącej siostry córkę.

Podczas elekcji, cześnik należał do najgorętszych zwolenników króla Michała. Dawniejszy żołnierz księcia Jeremiego, synowi oddany był całą duszą.

Aby być bliżej pana starosty, a więc na każde zawołanie królewskiej rodziny, cześnik, wynajął sobie w bliskości dworek i tamże na czas pobytu w Warszawie zamieszkiwał. Basia prawie całe dnie spędzała u pani starościny. Pokochali ją wszyscy szczerze, a księżna Wiśniowiecka wyróżniała z grona respektowych panien córki.

Basia nie spodziewając się ujrzeć Lipińskiego, kiedy wszedł na salę, zdziwiła się bardzo. W pierwszej chwili nie dowierzała nawet oczom ażali jest to sam Lipiński, ów wdzięczny tancerz z Brzegu.

Kiedy po złożeniu hołdu księżnej począł się z nią witać i rozmawiać, nie umiała ukryć wrażenia, jakie na niej zrobiło to niespodziewane a sercu miłe spotkanie. Wdzięczną była Lipińskiemu, gdy przerywając milczenie, przemówił pierwszy.

— Wielka to dla mnie pociecha, że Waćpannę widzę tutaj. Zacnie to ze strony pani wojewodziny, iż zezwoliła na jej przyjazd.

— Bardzo już dawno nie byłam wśród swoich, a babusia stara i słaba pewnie już teraz nie puści mnie od siebie, tak rada pragnęła mnie zobaczyć.

— A któżby to Waćpanny nie chciał widzieć! Czyż jest na świecie taki człowiek, któryby nie doznał

radości na widok Waćpanny oblicza!—przerwał żywo Lipiński.

Basia zapłoniła się jak mak polny.

Zmieszana słowami i żywością, z jaką odezwał się Lipiński, nie umiała zdobyć się na odpowiedź.

— A może Waćpanna nierada mnie widzi?

— I owszem... — szepnęła z cicha.

— Jeśli tak, to wdzięczność dla Waćpanny do grobowej deski będzie przenikać moje serce.

— To ja raczej Waćpanowi wdzięcznie dziękuję za to, że do biednej sieroty przemawia godnie.

— Uwierz Waćpanna, że miłszej nad pannę Barbarę niema dla mnie istoty, gwiazdy błedną wobec niej.

— A może Waćpan przywykły do dworowania i mnie dworuje tylko? spytała Basia, podnosząc na Lipińskiego błyszczące od łez oczy.

— Jeśli to, co mówię, jest nieprawdą, to wiśielcem, katem, poganinem jestem.

Waćpanna musisz wierzyć na słowo, bom prawy katolik i przysięgać na wszelakie świętości jest niegodną i nieprzystojną sprawą.

Głos Lipińskiego, drżący, gdy mówił te słowa, przenikał Basię do głębi. Szczera prawdę wyczytała w jego spojrzeniu. Poczęła żałować wyrzeczonej poprzednio niewiary i zwątpienia. Byłaby chętnie złągodziła je cieplejszem słowem, lecz ponieważ księżna skończyła odczytywanie listu i powstała z miejsca, młodzi przerwać musieli rozmowę.

Księżna podeszła do Lipińskiego.

— Lubomirscy, przemówiła — podejmują dzisiaj u siebie ucztą licznych swoich gości, przeto i poseł wielce nam drogiego księcia Krystyana, w domu mego zięcia mile będzie widzianym. A ja, chociaż rzadko kiedy przestaję z obcymi, dzisiaj, rada kilka

chwil przepędzić z wami, boście zwiastunem miłej i drogiej sercu wieści.

Lipiński schylił głowę przed księżną i z czcią wielką ucałował podaną sobie rękę.

— Taki to honor i taka wielka bez miary łaska spada na mnie biednego pachółka, że nie umiem nawet dziękować waszej dostojności, odparł gładko Lipiński.

— Waszmość pewnie dłużej zabawi w Warszawie, miasto duże i dużo w niem do widzenia, szczególnież też teraz, a młodemu o przyjaciół i zabawę nie trudno. Przed wyjazdem pamiętajcie o mnie, panie pośle, tymwięcej, że jak widzę, w pannie Bojanowskiej odzyskaliście dawną znajomość. Chciałabym miłościwie panującemu na Śląsku księciu przesłać list, a ja z moich komnat wychodzę rzadko, zakończyła księżna, opuszczając po chwili wraz z Basią salę przyjęć.

— Wszystkie żony różnych duków, i kurfirstów, które widziałem w Brzegu, nie miały tej dobroci na twarzy, opowiadał Lipiński, gdy po wyjściu księżny przeszedł do komnaty, w której zabrali się dworzanie pana starosty i młodzi w gościnę przybyli wojskowi. — Drugiej takowej pani nie znajdzie chyba, — unosił się coraz więcej, słodka jak anioł, prosta w mowie jak dziecko, a dostojność bije od niej królewska.

— Bo też Wiśniowieccy z rodu Jagiellonów pochodzą, z ojców jest wnuczką wielkiego Zamojskiego. Nie znajdziesz drugiego rodu, któryby tak wielce czynił dla ojczyzny — tłumaczył Lipińskiemu Zaręba.

— Książ Jeremij — bo tak nazywano ojca króla Michała, cały swój majątek poświęcił Ojczyźnie, a można było za te pieniądze kupić kilku niemieckich duków — dorzucił znów inny.

— I dlatego też przez wdzięczność okrzyknięto syna królem — odezwało się naraz kilka głosów.

Lipińskiemu, słysząc pochwały oddawane pamięci nieżyjącego bohatera, przyszedł na myśl ksiązę Krystyan i jego otoczenie. I nasz ksiązę—pomyślał—jest dobrym dla swoich a jednak zapomną o jego ukończanym synu.

Długo, długo jeszcze rozprawiała przy miodzie młodzież. Lipiński opowiadał o swojej podróży i świeżo zawartej z Ginterem znajomości.

— Toście poznali co najgodniejszego z naszych mieszczan — odezwał się ktoś z obecnych — wielce to grzeczny dla miasta człowiek, bogaty i rozumny jak mało.

Pytaniami o Śląsk zarzucano Lipińskiego. Ponieważ wśród zebranych było kilku, którzy poza granicami Rzeczypospolitej nie byli nigdy i nie wiedzieli, co się dzieje poza jej ziemią, przeto opowiadanie Lipińskiego budziło ogromne zajęcie. Niektórzy brali się za głowę, gdy im poseł Piasta opowiedział, że het! aż pod murami Wrocławia, można rozmówić się po polsku.

— Patrzajcie, wołał ten i ów, to siła ludu jednej mowy i jednej wiary.

— W kozi róg możemy z taką naszą bracią zapędzić drugich — wołali inni.

Tymczasem zapowiedziani przez księżnę goście poczęli się zjeżdżać. Młodzież i dworzanie podążyli na salę, gdzie z każdą chwilą przybywało życia i gwaru.

Pierwszy, w otoczeniu księży i panów świeckich przybył biskup chełmiński ksiądz Olszowski. Dalej, Pacowie, Lubomirscy, bracia pana starosty, Denhofowie, krewni wojewody, wreszcie wiele innych zacnych rodzin i rycerstwa. Niektórzy panowie przyjechali z żonami i córkami.

Na sali oczekiwała już przybycia gości gospodyni domu, pani starościna wraz z matką i orszakiem pa-

nien. Nie brakło urodziwych i młodych twarzy, lecz wejrzenia wszystkich spoczęły na Bojanowskiej. Urodą i wdziękiem zaćmiła inne, nawet piękną i urodziwą Denhoffową, której dotąd, oddawano zawsze pierwszeństwo.

Lipińskiemu serce zabiło żywiej na myśl, że jest znów blisko Basi. Pochlebiało mu zainteresowanie, jakie budził wśród panów, dopytywano się o księcia, aż tu nagle, w jednej chwili stracił cały dobry humor i wielki smutek spadł mu kamieniem na serce.

Na salę, urzędowo bardzo przez obecnych powitany, wszedł hrabia Schafgotsch, a za nim w roli dworzanina Trosken.

Lipiński skamieniał, oburzenie jego nie miało granic, mimowolnie dłonią poszukał miecza. Stojący obok Zaręba dostrzegł ruch i przerażenie krewniaka.

— A tobie co?—zapytał—czyś wroga lub zbója zobaczył?

I jedno i drugie — bo ten mocny brunet, który wszedł z Schafgotschem, to ów Trosken, który na mnie urządził napad.

— Dawaj go! — krzyknął Zaręba tak głośno, że aż zwrócił uwagę obok stojących panów. Lecz wnet opamiętał się.

— Olesiek, miarkuj się jeno na Boga, bo to poselstwo. Sprawa gardłowa, jeżelibyśmy go usiekli albo zaczepili, chociaż coprawda ręka strasznie mnie świerzbi. Psubrat, skąd on się wziął tutaj?

— Chcesz wiedzieć skąd on się wziął tutaj, zaraz wytłomaczę. Do Brzegu nie miał poco wracać, księżę po tym napadzie nie byłby go przyjął, więc przez Promnitzów wkręcił się do Schafgotscha.

— A to łotr, gałgan! Co on też powie, gdy ciebie tutaj zobaczy. Patrz! patrz! zwracał uwagę Oleśkowi Zaręba — spostrzegł cię, patrz! jak mu

oczy wyłażą na wierzch. Wyjdą ci jeszcze lepiej kochanku, jak w dwóch wyzwiemy cię na rękę.

Spotkanie z Lipińskim było dla Troskena wielką niespodzianką. Nieprzypuszczał zastać go jeszcze w Warszawie. Zgłupiał po prostu, nie umiał nawet pokryć zdziwienia i przerażenia.

Odetchnął dopiero, gdy na jego pociechę, ruch w sali zrobił się większy, rycerstwo i szlachta zbliżała się do księdza biskupa, zaznajamiano się wzajemnie, niektórzy przedstawiali się paniom. A że wkrótce marszałek dworu zaprosił wszystkich na ucztę, więc powszechnym zwyczajem, panowie wedle gustu i upodobania wybierali sobie towarzyszek. Do księżny Gryzeldy zbliżył się hrabia Schaffgotsch.

To było hasłem przejścia do komnat, w których z wielkim przepychem porostawiane były stoły.

Formowały się pary, jedna za drugą i w należytym ordynku, przy dźwiękach muzyki, zwolna poczęły przechodzić, tworząc piękny i wspaniały szereg.

Trosken od pierwszego spojrzenia spostrzegł i poznał Basię. Przypomnił sobie zaraz wrażenie, jakie na Lipińskim wywarła w Brzegu piękna panna Bojanowska.

Djabli go tutaj nadali — pomyślał — mógłbym zabawić się dobrze i niejedną zrobić znajomość, ludzi różnego kalibru huk! a tu jak na złość zjawił się nie w porę! Poczekaj! uszyję ja ci buty, popamiętasz ty mnie jeszcze! odgrażał się Lipińskiemu.

Gdy pierwsze pary przeszły do jadalnej komnaty, Trosken korzystając z sposobności, podbiegł żywo do Basi i przypomniał jej znajomość uczynioną w Brzegu.

Dziewczę podniósłszy na niego zdziwione oczy, odpowiedziało z prostotą.

— Twarzy Waćpana nie przypominam sobie wcale, tak wielu było Waszmościów, że nazwisk zupełnie nie pamiętam.

Wyznanie panny Bojanowskiej dotknęło Troskena; zarozumialec sądził, iż wszystkich zwracał uwagę.

— Jest tu także pan Lipiński — dodał po chwili.

— Pana Lipińskiego od razu poznałam, odparła panna z całą szczerością, rumieniąc się na samo wspomnienie miłego sercu nazwiska.

— Mam cię! — pomyślał Trosken, patrząc na zaróżowioną twarzyczkę Basi. Trafiłem w sedno! wywdzięczę się za Dorchen, głupia koza wzdychała do ciebie i odwracała się odemnie, choć tyś ani na nią nie patrzył. Teraz ty do tej śmiejesz się a ja ci ją odbiję — myślał, przyrzekając w duszy zemstę Lipińskiemu.

Jak wszystkie niskie charaktery, tak i Trosken nie przyznawał się do winy względem Lipińskiego. Przeciwnie, jego miał za sprawcę wszystkich nieporozumień i przykrości.

Oleśka niepokoiła rozmowa Troskena z Basią, byłby chętnie przerwał ją, lecz jednocześnie zbliżył się do niego młody Lubomirski, więc rad nierad, musiał mu dotrzymywać towarzystwa.

Trosken skorzystał z tego, podał Basi ramię i z tryumfem poprowadził do stołu.

— Wielkie to dla pana Lipińskiego szczęście — mówił do niej — iż Waćpanna zachowała sobie w pamięci jego obraz. Godny to i układowy młodzian, na dworze brzeskim słynie z piękności i dworowania, panny wszystkie tracą dla niego głowy, a on bałamut pierwszy, o żadnej stale nie myśli.

Basia zbladła jak ściana. Naturalnie, że jej zmieszanie nie uszło uwagi Troskena, więc w dalszym ciągu, siedząc przez cały czas ucztę przy niej, opowiadał o zabawach i przyjemnościach dworskich,

podziwiał fraucymer księżny Ludwiki, to znów na przemiany chwalił siebie i podnosił swoje znaczenie i stosunki w przemożnej rodzinie Schafgotschów. Lecz Basia nie zwracała uwagi na jego opowiadanie. W uszach brzmiały jej tylko słowa Troskena: „Bałamut to pierwszy“. A tu jak na złość, ten bałamut, tak miły i taki rycerski, siedział podczas uczyty naprzeciwno, i chociaż miał za towarzyszkę piękną i rezolutną pannę, Jadwisię Krzycką, nie rozmawiał z nią wcale, lecz patrzył w Basię, jak w tęczę.

Muzyka grała, więc Lipiński nie mógł słyszeć opowiadań Troskena. Znając go, przeczuwał, iż nie zapomni o nim. Trosken widział niepokój Lipińskiego, cieszyło go to, lecz i to wiedział także, iż mimo wszystkich wysiłków, aby zająć opowiadaniem Basię, nie udawały mu się zabiegi.

Panna Bojanowska przez cały czas uczyty siedziała smutna i zamyślona.

Trosken rozmawiał z Basią po polsku, chociaż kilkakrotnie dawał jej do zrozumienia, jakoby tylko wypadkiem nauczył się tego języka. Zaręba, który siedział z drugiej strony panny Krzyckiej i dosłyszał wypieranie się Troskena, przyciął mu na głos dość ostro.

— Waćpan nie potrzebujesz tak się sumitować skąd jesteś rodem, a przynajmniej nie przy mnie, boć i ja znam Waćpana i wiem dobrze, jakie to wichry zagnały cię na dwór pana pośła.

Ruch zrobił się w sali, poczęto wstawać od stołu, więc w gwarze i zamieszaniu ogólnem utonęła odpowiedź Troskena. Nie musiała być jednak miłą i grzeczną dla Zaręby, gdyż Basia z oburzeniem spojrzała na swego sąsiada.

Skończyła się nakoniec uczta, na której hrabia Schafgotsch kilkakrotnie pił za zdrowie króla, księdza biskupa i rycerstwa polskiego. I znowu wszyscy

przeszli do wielkiej, prawie połowę domu zajmującej sali. Ściany jej pokrywały starożytne makaty i gobeliny, oraz obrazy w stal i żelazo zakutych rycerzy. Wśród nich byli i królowie z rodu Jagiellonów i przodkowie Zamojskich, Wiśniowieckich i Lubomirskich.

Byli to przeważnie bohaterowie z pod Warny, Grunwaldu, Cecory i Częstochowy. Rycerze, którzy krew przelewali w obronie wiary świętej i ojczyzny.

Hrabia Schafgotsch, nie z każdym mógł się rozmówić bo nie mówił po polsku; widoczną było jednak rzeczą że każdemu z panów pragnął się przypodobać i starał się zjednać sobie wszystkich.

Pan starosta spiski oprowadzał gościa, zatrzymywali się przed obrazami, starosta tłumaczył i opowiadał głównejsze rysy z życia członków swojej i żony rodziny.

— Wielcy, sławni bohaterowie — podziwiał hrabia Schafgotsch — bo i wielkim i sławnym jest wasz cały naród.

Cześnik Wodzieradzki, który stał niedaleko i słyszał zaloty Schafgotscha, w odpowiedzi na nie, mówił do stojącego obok Lipińskiego.

— Taki wielki i taki wspaniały dla obcych, że najeżdżają go nam ze wszech stron i gospodarują jak u siebie. — A wam panie pośle? — dodał, zapytując Oleśka — jak się u nas widzi, chociaż czasy niezbyt wesołe, stolica w całej swojej krasie nie może wam się ukazać, godziło by się, abyście dłużej u nas zabawili i dobrze poznali gniazda waszych ojców, naszej Rzeczypospolitej ziemię.

Panie nadchodziły właśnie do sali, więc Olesiek jednym tylko uchem słuchał pana cześnika.

Hej! — śmiał się tenże, waści widzę oczy wyłażą z głowy, a wolno spytać, którą okrzyknęlibyście najpiękniejszą?

Lipiński nie tracąc fantazji odpowiedział śmiało.

— Kto by śmiał powiedzieć, że nie jest najpiękniejszą panną Barbara Bojanowska, tego, jak mi Bóg miły, na śmierć usiekłbym.

— A to z Waści zuch — zaśmiał się cześnik — to wy tam w bytomskiej ziemi prawych rycerzy macie! Wiesz Waści, że to moja siostrzenica, dziewczyna jak róża, lecz coprawda, od róży piękniejsze jeszcze ma serce. Siostry to mojej rodzonej jedynaczka — dodał cześnik.

— Czołem! wam zacny panie, czołem! mówił Lipiński, a spostrzegłszy, że Basia stoi na uboczu sama, więc spiesźnie pożegnał cześnika i zbliżył się do zmieszanej na jego widok dziewczyny.

— Nie będę Waćpannie moją rozmowę przeskadzał — przemówił Olesiek, chciałem tylko Waćpannę przestrzedz, aby nie wierzyła Troskenowi. Wielki to kłamca a wróg mój jeszcze większy, nie godzi się mówić, lecz on nawet na cześć moją nastawał, o mało nie zginęłem z ręki jego knechtów. Niechaj Waćpanna nie daje wiary jego słowom.

Basi w tej chwili przyszły na myśl zarzuty Troskena „wielki to bałamut“. Miała właśnie zamiar zapytać się, czy rzeczywiście jest takim, jak go opisywał Trosken, lecz zapytanie uwięzło jej w gardle. Półgłosem zdołała zaledwie odpowiedzieć:

— Wierzę słowom Waćpana.

Serce Oleśka zabiło żywiej, byłby jak długi padł do nóg i dziękował Basi. Wstrzymywał go tłum osób. Jak błyszcząca, różnobarwna srebrem i złotem przytłaczana wstęga, wił się po sali i zataczał koła.

W wir ten porwana Basia, zginęła mu z przed oczu. Za chwilę potem, na swoje umartwienie, widział ją przechadzającą się po sali z panną Krzycką, a obok nich dojrzał utrapieńca Troskena.

— Waćpanowi podobało się jak widzę u nas — pytała Troskena panna Krzycka, kiedy tak zachwalasz nasze miasto i naszych ludzi.

— Bo u nas niema tak godnych i grzecznych panien, dworno odpowiedział Trosken.

— Dobrzy i grzeczni ludzie są wszędzie — dodała zcicha Basia. Mnie na Śląsku podobało się bardzo, piękna kraina.

— Pan Lipiński mówi, że niema nad nią piękniejszej — wtrąciła Jadwiga Krzycka.

— Jeżeli waćpanny będą wierzyć temu heretykowi, to niedaleko zajadą, odparł z gniewem Trosken, którego do złości doprowadzało uznanie, jakie wyrobił sobie wśród panien Lipiński.

— Alboż to pan Lipiński jest heretykiem? — spytała Krzycka — taki godny i grzeczny kawaler?

— A jakże, heretyk, odszczepieniec — odparł z całą pewnością Trosken — inaczej nie mógłby być na dworze brzeskim. Właśnie z tej przyczyny porzuciłem dwór w Brzegu — dodał z dumą.

Heretyk! odszczepieniec! te dwa słowa ostrzem wpiły się w serce Basi i zasłoniły wszystko, o czym opowiadał jej przy uczcie Trosken. Zbladł zarzut bałamuta, wszystko zginęło, widziała tylko wielki, ciężki ból i smutek, który kamieniem padł na jej młode, niewinne serce.

Bawiono się jeszcze długo i ochoczo w komnatach królewskiego szwagra. Goście rozjeżdżali się zadowoleni, nawet hrabia Schafgotsch pewnym był, że zjednał sobie życzliwość panów polskich. Olesiek jak upojony wracał do swojej gospody na Długą ulicę.

Jadący za nim Robota i Rybok podziwiali wesołość pana, całą drogę śpiewał, co mu się rzadko zdarzało.

— „Kiedych ja szedł od mojej dziewczyny,

świecił miesiąc wysoko“ płynęła czystą nutą melodia śląska z rozradowanej piersi piastowskiego dworzanina.

W dworku pana Wodzieradzkiego, Basia Bojanowska klęcząc przed obrazem Matki Częstochowskiej, powtarzała ze łzami: Panno Najświętsza! przebacz! zlituj się, odszczepieniec! heretyk! przebacz i zlituj się!

VII.

Wszystko to, co Lipiński słyszał od ojca o Warszawie i o czem marzył jadąc, w rzeczywistości przeszło wszelkie oczekiwania.

Zachwycały go nie tylko prastare mury, nie tylko wnętrza świątyń i pałaców, lecz i ludzie, tak bardzo odmienni od tych, których widywał w Brzegu.

Po powrocie od pana starosty, w myślach młodego Ślązaka, tęczową smugą przesuwaly się i lśniły widziane obrazy. Przed oczyma stały wciąż twarze panów i rycerstwa.

Jakże oni różni od Lingenanów i Hohenhausów, tam rody wspaniałe ale i nieprzystępne, tutaj, również potężne domy, lecz mimo złota i tytułów, nic łączności wiąże je z najniższymi. Obracałem się wśród tamtych całe lata i gdyby nie książę Krystyan, mocny Boże! uciekać możnaby od takich specjałów, aż gdzie pieprz rośnie — myślał Olesiek.

Stała mu przed oczyma Basia Bojanowska, taka, jaką widział w chwili gdy prawie szeptem odpowiadała „wierzę waćpana słowom“.

Kąseczek mój, maszkietka najśłodsza — pieścił się jej wspomnieniem i porównywał z Dorchen. — Tamta, gdy spojrzy na człeka, spali, na proch zetrze. Przytulna z niej coprawda bestyjka, ale przytem taka szybka i zwinna w spojrzeniach, wszystkich wokoło obdarzy niemi, a przysięgłbyś jeszcze, że tylko na ciebie jednego patrzy. — Ta znów, cicha, potulna

łasiczka, ale gdy powie jedno słowo, to zapisz je sobie na wieki w sercu, a kiedy spojrzy to wejrzeniem tem, uleczysz rany, choćby je niejeden ale dziesięciu zadało Troskenów — rozważał Lipiński.

Wszystkie te uwagi i porównania, opłatywały mu duszę i taką przejmowały radością, iż w myślach wciąż dziękował księciu za możność poznania świata i ludzi.

Obecność Troskena przy Schafgotschu, upewniła go również i uspokoiła, iż chyba w Brzegu nie spotka się z nimi więcej.—Za przykładem Lipińskiego i pachołkowie upodobali sobie miasto.

— Żeby na ten przykład jegomość wiedział, jak nas przyjmowali u pana starosty, to powiadam, napitku i jedzenia wszelakiego było w bród, jak na weselu, do pioruna każdego, człowiek dla nich tutaj dałby się w puch posiekać, — twierdził Kacperek Rybok.

— Niech jeno skalkulują czemu wszyscy rządzą się tutaj jako i my. Gdzie obrócisz głowę, powitają cię w imię Boże i już z tobą za panbrat. Siła tam wczoraj było z różnych stron sług i pachołków, a wszystko prawie jedna wiara i mowa, ażali to jedno i to samo—zapytał znów Janek Robota.

Lipiński spojrzał na zaciekawione, wesołe twarze pachołków.

— Jedno i to samo jest, było i będzie. Przecież jeśli matka ma kilkoro dzieci a rozstrzela się po świecie i nie w jednej mieszkają kupie, nie przestaną jednak być jej dziećmi i zawsze do niej ciągną, boć ona najlepiej je zrozumie, nigdy nie opuści i chyba urwis najpierwszy zapomni o niej — tłumaczył pachołkom Lipiński.

Robota zrozumiał dobrze odpowiedź pana i przypadła mu ona do serca. Sam był jednym z licznych

synów, zawsze na wspomnienie matki i domu milej robiło mu się w duszy.

— Warszawa niby matka, a Bytom, Kraków, Częstochowa, Piekary i wszystkie inne miasta to synowie i córki — powtarzał sobie i tłumaczył dobitniej słowa jegomości Kacper Rybok.

Lipińskiemu śmiały się oczy, gdy nazajutrz po uczcie, wyprawionej w domu szwagra królewskiego na cześć posła Schafgotscha, zaproszony przez pana cześnika, znalazł się w jego skromnym dworku.

Basię Bojanowską widział znów w innej krasie i blasku.

W tym skromnym dworku, podobnym do dworku Lipińskiego, milszą się jeszcze wydawała.

Widział ją jednak krótko, po przekąsce wraz z panią Wodzieradzką wyszła prędko.

W komnacie zostali sami mężczyźni.

Był pan rotmistrz Piotrowski, rycerz znamienity z pod Zbaraża, księcia Jeremiego niegdyś ulubieniec, ranny, Bóg wie, ile razy w bitwach z Kozakami, był i Prusimski z przestrzeloną od tureckich strzałów twarzą i Krzycki, miecznik sieradzki, wreszcie kustosz warszawski, ksiądz Fantoni, staruszek, wielki przyjaciel królewskiej rodziny.

Rozmawiano o wczorajszej uczcie w domu pana starosty.

Lipiński podziwiał serdeczność księcia Lubomirskiego, z jaką ten szwagier królewski podejmował licznych swoich gości.

— Nawet zawsze milczący hrabia Schafgotsch godnie się rozweselił — zauważył pan Wodzieradzki.

— Ba! toć on wszystkim nadszakał i widocznem było, iż chciał zjednać ich sobie — dodał Krzycki.

— I królowej będzie miło, jeśli poseł jej pozy-

ska miłość wszystkich, dotąd nie udawało mu się to bardzo — wtrącił znów Prusimski.

W dalszym ciągu opowiadano o zbliżającym się sejmie i koronacji królowej.

Lipiński podnosił gotowość, z jaką na ten akt spieszano z najdalszych nawet stron.

— Młody Waćpan jesteś i pierwszy raz wśród nas, więc nie wiesz jeszcze, jak to ludzi zapala i budzi nowość. Trzeba ci było, mości panie, być tutaj podczas ostatniej elekcji, a poznałbyś dopiero, jak to serca były ludziom i co wyprawiano, aby postawić na swoim. Wrzawy i tumultu było nad miarę i nad siły ludzkie — opowiadał ksiądz Fantoni.

— Gdzież jej niema w takiej chwili — odparł Krzycki — a my przecież nie lepsi i nie gorsi od innych.

— Może niejeden z naszych, nawet i znacznych i politycznych panów źle robił, głosując za innym, niż cały naród, królem, źle robił, nie trzymając się kupy, lecz jeśli to robił, to często nie z nienawiści ku Rzeczypospolitej, przeciwnie, pragnął jej dobra, a w tym właśnie a nie innym wyborze, widział jej siłę i obronę przed grożącą nam potęgą turecką — dowodził pan cześnik.

— Dużo prawdy w waszych słowach, mości panie cześniku — odparł ksiądz Fantoni. Wszakże ja obcy, z innego kraju przybyłem do was i muszę przyznać, iż najwięcej ukochałem was wszystkich właśnie za tę miłość i cześć dla wiary świętej i ziemi rodzinnej.

— Dużo coprawda wśród nas jest krzykaczy, warchołów, niejeden rad na swoim postawić i być górą, lecz niech jeno spadnie jaka trwoga, niechaj nad Rzeczpospolitą zajdzie chmura, niechaj grozi napadem wróg, Tatar lub Turek, aliści wszyscy, kto żyw, prę-

dziej czy później, ocknie się, zbudzi, chwyci za broń, zapomni osobistych krzywd, zapomni o domu, rodzinie, całej chudobie i bez pamięci leci krew przelewać w ofierze. Tak było za wojen kozackich, szwedzkich i tak było dawniej — mówił rozrzuwiony staruszek.

— I tak będzie zawsze, dokończył Lipiński.

— Amen — powiedzieli za nim z cicha obaj panowie Krzycki i Wodzieradzki.

Tyle było powagi, siły i proroczego natchnienia w słowach starca, iż bezwiednym ruchem Lipiński pochylił się do jego kolan i ze czcią ucałował księdza kustosza dłonie.

I taka cisza zaległa komnatę, iż każdy, jakby przed nadejściem ważnej chwili, czuł uderzenia własnego serca i w duszy każdy z obecnych przysięgał sobie zachować niczem i nigdy nie słabnącą cześć dla wiary i ziemi ojców.

Wśród nowych ludzi i nowych wrażeń, czas szybko schodził Lipińskiemu. Dopiero trzeciego dnia w południe pojechał w odwiedzin do Gintera.

Dopytał się łatwo. Któż bowiem nie znał rajcy starej Warszawy, bogatego i przesławnego kupca Gintera. Dom jego w rynku starego miasta położony, tak samo jak i cała rodzina Ginterów, nie od dziś dopiero zasłynął w Warszawie.

Pradziad rajcy, Juljusz Ginter, pochodził z ziemi chełmińskiej z miasta Chełmna. Za czasów ostatnich książąt mazowieckich, Stanisława i Janusza, przybył w interesach handlowych do Warszawy. Rozpatrzywszy się w mieście, osiadł w niem na stałe.

Interesa, które prowadził, uczciwość w handlu, dostawy dla najbogatszych panów i rycerzy zwiększały jego fortunę.

Ginter podobnie jak i liczne mieszczaństwo owej epoki, pochodził z niemieckiej rodziny. Przybywszy

do Warszawy, źle jeszcze mówił po polsku. Lecz z czasem przywykł do języka i ludzi, z którymi wiązały go interesa.

W końcu nie tylko zżył się z miastem, lecz i pokochał je. Syn jego już dobrze mówił i pisał po polsku. Jeden z wnuków Juljusza a ojciec rajcy, Marcin Ginter, za króla Zygmunta III. ulubieńcem był księdza Skargi. Przy zakładaniu Bractwa Miłosierdzia w Warszawie pomagał słynnemu kaznodzieji i duże usługi oddał miastu i jego mieszkańcom. W czasie wielkiej powodzi w roku 1593 Marcin Ginter kosztem własnego zdrowia ratował i wspomagał ludność podmiejską.

Kiedy w pierwszych dziesiątkach XVII wieku zaraza trapiła mieszkańców Warszawy, dom Ginterów zasłynął znów z miłosierdzia. Z czasem wzrastali w znaczenie i dobrobyt. Z ojca na syna przechodziło uznanie. Rady, pieniędzy nie szczydzili nigdy potrzebującym.

Juljusz Ginter, rajca miejski poszedł w ślady swoich przodków. W czasie oblężenia Warszawy przez Szwedów, nie szczydził ofiar pieniężnych i krwi własnej.

Należał do tej garstki mieszczaństwa, co to chociaż nie było w zwyczaju, aby mieszczenie walczyli orężem, biła się jednak w obronie miasta z Szwedami. Wyjazdy w interesach handlowych do dalekich krajów wyrobiły w nim umysł otwarty, znajomość świata i ludzi. Prawość i szlachetność zjednały mu przyjaźń i uznanie. Lipiński dziwił się nie mało, że znali go wszyscy, nawet dzieciom nie obce było nazwisko Ginterów.

Z przyjemnością więc podążył na stare miasto.

Lecz wychodząc właśnie z gospody z zamiarem odwiedzenia Gintera, około kościoła Panien Brygidek spostrzegł Troskena.

— Zamówienie jakie, czy co u licha — przeżegnał się w myśli, Lipiński — tego draba knechta spotykam wszędzie, jak ćma wchodzi mi wciąż w oczy.

Przyszła mu ochota gonić go i wyzwąć na rękę. Podążał więc szybko lecz na zakręcie ulicy Trosken zginął za kolumnami Daniłowicza pałacu; powrócił więc do gospody, kazał osiodłać pachołkom konie i wraz z nimi puścił się na poszukiwania.

— Jeśli go teraz spotkam gdzie — myślał — wsiadając na konia, to jak amen w pacierzu wyzwę na rękę. Niechaj już raz będzie z nami koniec.

Lecz chociaż przejechał wzdłuż i wszerz całe stare i nowe miasto, gdzie właśnie mieszkał hrabia Schafgotsch, choć dotarł do Jazdowa, nigdzie nie spotkał Troskena.

Zniecierpliwiony, po kilkugodzinnem daremnie błędzeniu po mieście przyszedł w końcu do przekonania:

— Niech mu tam rajskie jasności świecą. Tfu! — plunął — oszalałem czy co takiego, żeby się jednym obrzydliwym gnatem zajmować i czas w obcym mieście tracić. Cóż to? Rzepę mi na polu zapali, czy co u licha?

Dzwonili właśnie na nieszpory, kiedy przejeżdżał koło kościoła św. Jana. Zatrzymał konia, oddał go Jankowi a sam wszedł do kościoła.

Mazury, pobożny naród, więc cała świątynia była pełną rozmodlonego tłumu. Prezbyterjum, nawet ławy, wprost nabite. Jak różnobarwna mozaika mieszały się czarne i szare szaty niewiast, jaskrawe dzieci i malownicze stroje panów, rycerzy i mieszczan warszawskich.

Organy na chórze grały Magnificat a z tą melodią płynęły pieśni, dymy kadzideł i ciche szepty rozmodlonych przed cudownym krzyżem kobiet. Ten wspaniały, wspólny wszystkim hymn uwielbienia,

pelen harmonji i siły, potęgą swoją przedzierał prastare mury świątyni i wybiegał aż pod błękitny, ponad Warszawą jaśniejący strop nieba.

A kiedy po skończonych modłach fale głów pochyliły się w pokorze, a na nie, jakby łyzy, spadły rozrzucone dłonią kapłana perliste krople święconej wody, Lipiński spokojniejszy i weselszy opuścił świątynię, zmierzając wprost na stare miasto.

Ta część Warszawy, poprzecinana wieżycami kościołów, zamknięta czworobokiem wyniosłych kamienic, podobała mu się najwięcej.

Domy rynku, równe jak bliźnięta, stały przy sobie, ściśle związane, zbratane wspólnością cech i życia, które biło w ich wnętrzu.

Świeże jeszcze, świeżością tą strojne, miały już jednak swoją historję. O niej mówiły wyryte godła i figury, zdobiące niektóre frontony.

Kamienica Ginterów świeciła zdala. Stroili ją złocenia i rzeźby tak delikatne, jakby dłonią niewiasty zrobione misterne hafty i koronki.

Widocznie oczekiwano gościa, załedwie bowiem stanął przed kamienicą i uderzył w oddrzwi żelazną sztabą, a już w progu ukazał się pan rajca.

— Pięknie dotrzymujecie słowa, mości panie Lipiński — powitał gościa — toć dwa dni czekamy na was. Ofka moja dwa razy kazała zastawiać stoły i napróżno.

— Wielka to dla mnie chwała i cześć, że progi waszego przesławnego domu stoją dla mnie otworem. Chciałem przyjść zaraz, lecz całe dwa dni obowiązki mego poselstwa trzymały mnie przy dworze pana starosty spiskiego, odparł Lipiński.

Po kamiennych, w murze wykutych schodach Ginter wprowadził gościa na górę.

Na powitanie weszła do komnaty żona rajcy, kobieta dość jeszcze młoda i przystojna. Baryczkówna z domu, należała również do przesławnego i zacnego rodu mieszczan starej Warszawy.

Ubrana w ciemną szatę, jak ówczesmy zwyczaj męzatkom stroić się nakazywał, na głowie miała czepeczek czarny, złotem obszywany. Złote, kosztowne manele zdobiły jej ręce.

Z matką weszły trzy dziewczynki, najstarsza jasna blondynka mogła mieć lat czternaście.

— To Ofka, a to dziewczęta moje — przedstawiał Ginter gościowi żonę i córki — najstarsza z nich już przyrzeczona przyjacielowi memu — a to syn — dodał — wskazując na stojącego przy nim młodziana.

Młodzian był przystojny i bardzo do matki podobny.

Jędrak — jedynek, kupcem bławatnikiem będzie — opowiadał rajca — na jesień pojedę z nim na Śląsk, bośmy dotąd w tamtych stronach zakupów nie robili żadnych.

— Dużo radości będzie miał mój rodzic, jeśli waszmość panie zawadzicie o Bytom i chatę naszą — zapraszał Gintera Lipiński.

Oleškowi przypadła do serca rodzina rajcy, zrobiła na nim wrażenie nie obcych, lecz dawnych, zażyłych przyjaciół. Był to ród serdeczny a przytem i możny.

Bogactwo biło aż w oczy. W komnatkach jasnych, dużych, z widokiem na rynek i ratusz, stały kosztowne sprzęty, dębowe, rzeźbione szafy, stoły i ławy wschodniemi tkaninami pokryte.

Na ścianach wisiały obrazy i sztychy świętych pańskich, pędzla ojców Franciszkanów, którzy w owe czasy zasłynęli już z prac swoich.

Nowakowskiego i Węgrzynowicza sztychy zwróciły przedewszystkiem uwagę Oleśka.

Ginter oprowadzał gościa po całym domu, pokazywał składy i zapasy wszelkich tkanin i bławatów, sprowadzonych z dalekich, cudzoziemskich krajów.

Wieczorem na ucztę zeszli się sąsiedzi i przyjaciele rajcy.

Był ksiądz Aleksander Giza, kanonik warszawski i sekretarz zarazem króla, właściciel starej, sąsiedniej kamienicy, był i Andrzej Bajer, pisarz skarbu koronnego, którego rajca przedstawił jako przyszłego męża starszej córki, wreszcie dwaj ławnicy miejscy, sławetny Długosz i kupiec, włoskimi owocami handlujący Bartosz Czamer i inni.

Przepych, dostatek w podziw wprowadziły Oleśka. Porównywał go z domem księcia pana starosty.

— Tu i tam, te same wspaniałości i dziwy, — myślał — patrząc na suto zastawione stoły. Uginały się one pod ciężarem szczerozłotych i srebrnych naczyń. Rzędami stały rznięte kryształły i przednie gatunki mis i talerzy. Między tą farfurczaną, białą jak śnieg zastawą z jednej a szklannym szeregiem z drugiej strony, widniały jak drogowskazy złociste i srebrzyste dzbany, puhary, w kosztowne kamienie oprawne rogi do picia i roztruchany.

Płynęły z nich co najprzedniejsze małmazje, petercymenty, węgierskie tokaje i miody, własnej słynnej roboty. Mięsiwa i ryby suto korzeniami zaprawne, malinowe i wiśniowe soki, ciasta lekkie jak puch, wonne różami i szafranem nęciły podniebienie. Pito i jedzono w miarę, gdyż zebranych więcej, aniżeli stoły pełne wszelkiego jadła i napoju, zajmowały prowadzone rozmowy.

— Więc mówicie mości dworzaninie, że zacny i polityczny z niego książę, ani chybi rycerska ta sama co i w naszych Piastach płynie w nim krew — odezwał się po niejakiem milczeniu pan Długosz.

— Siła przyszyłoby mówić o dobroci i przystojności księcia i aby ocenić wspaniałomyślne serce, trzeba żyć obok niego i patrzeć na trudy i prace, — odparł Lipiński.

— Piast, prawdziwy rodzeniuteński Piast — wykrzyknął młody, obok Długosza siedzący Fukier, trochę zawadżaka, wielki znawca i wielbiciel piękności, — tyle razy człek do Wrocławia z rodzicem jeździł i nigdy na tę myśl nie wpadł, żeby wstąpić do Brzegu.

— Boś tyle wiedział co i my, że nie wymarł do szczętu ród nasz ukochany. Panie Boże błogosław im i daj wszelkie dobra — wtrącił swoje życzenie Ginter — zupełnie jak gdyby mi ktoś do serca nalał dzban mleka z miodem, takową słodkość czuję, gdy rozmawiam o tych drogich potomkach królów.

— Bylibyście się dopiero kumotrze rozplywali z radości, gdyby go byli wybrali na króla, jak to chcieli niektórzy, zauważył Długosz.

— A skąd wy to wiecie o tem? kto wam to powiedział? — zapytał z największą ciekawością Ginter.

— Ksiądz kanonik — była odpowiedź.

— Ale go nie wybrali, bo wybrać nie mogli, gdyż między nim a naszym narodem stała przepaść nieprzybyta — zabrzmiał głos księdza kanonika.

Siwowłósy, wiekiem pochylony staruszek, dziecię starego miasta, wśród jego murów wychowany i na kapłana wyświęcony, wyrocznią był dla całego staromiejskiego patrycjatu.

Słowa jego czar rzucały na obecnych, ze skupieniem ducha wsłuchiowano się zwykle w to, co mówił, bo mówił mało a dobrze.

— Przepaść, mówicie książe kanoniku? — pochwycili razem Ginter i Długosz — jaka przepaść?

— Przodkowie jego odpadli od pnia głównego,

odpisali się od mowy i wiary ojców, a on, wychowany w tej wierze, poszedł ich śladami. A nam potrzeba takiego pana i ojca, któryby jeden z nami odmawiał pacierz, bo w nas jest siła grzechów i tylko praca i modlitwa zbawić nas i ocalić może — posłyszano odpowiedź księdza. Cisza zapanowała w komnacie, więc słowa kanonika brzmiały donośnie i wpijały się w pamięć i serca obecnych.

— Musimy wierzyć i pracować, — powtórzył zcicha Andrzej Bajer.

— I modlić się o zdrowie króla Michała, aby Bóg Najwyższy dozwolił mu bić niewiernych Turków i odszczepieńców—dodał Ginter,—lecz wasz książę—zwrócił się po chwili z zapytaniem do Lipińskiego — jak mówicie, sprawiedliwym jest dla wszystkich i nie zadziera z synami kościoła.

— Broń Boże — odparł Lipiński — ojcem jest dla wszystkich.

— W tem ojcostwie i w tej sprawiedliwości leży jego siła, a chociaż on zgaśnie i ród jego zgaśnie, bo błędy ich były wielkie, sprawiedliwość jego odżyje w innych, małych i z tych małych wyjdzie i zajaśniej chwała—brzmiały znów słowa księdza kanonika.

Wkrótce potem podniósł się z ławy i poszedł do domu, bo już na wieczorne pacierze wzywały go świętojańskie dzwony. A po wyjściu księdza głęboka zapanowała cisza, nikt nie śmiał przerwać milczenia.

Żeby człowiek był zimny jak lód na Odrze, to musi odtajać z nimi — myślał Lipiński przy pożegnaniu z księdzem Gizą. Pochylając się do jego kolan, prosił o błogosławieństwo.

— Sługą jestem Piasta, siła smutków czeka mnie jeszcze, a coś na głębi duszy ściska i mówi, że z niejedną niecnotą będę musiał walczyć.

— Ufajcie tylko tak, jak i my ufamy, że z

wszelakich terminów Najświętsza ocali, bo nie ma takowej konfuzji i takiego frasunku, któregoby prawdziwa żarliwość chrześcijańska i miłość prawdy nie zwyciężyły i wbrew złym duchom nie obróciły na dobre, — brzmiała odpowiedź kanonika Gizy.

A po odejściu jego długo jeszcze w ciszy rozmyślano nad słowami dostojnika kościoła.

Ginter pierwszy przerwał milczenie.

— Co prawda, to nad tego naszego księdza trudno znaleźć lepsze i godniejsze serce. Człowiekowi aż rażniej robi się w duszy, bo to przecież nasz, syn naszego miasta.

— Z miasta wyszedł, z murów miejskich, a nie zapomina o swoich, przy boku króla siedzi, a takowa w nim prostota, jakoby w dziecku, a polityczny i wszystkiego świadom człowiek — wychwalał księdza kanonika Andrzej Bajer. — Z urzędu swego z niejednymi prestatę, więc łatwiej mogę wiedzieć w kim czyste i grzechne złote serce. Ksiądz Giza, najczystsze, zanim poszedłbym w ogień.

— I ja — i ja! — odezwało się za Bajerem kilka głosów.

— U was mało takich ludzi, prawda? — pytał Lipińskiego Ginter.

— U nas są tacy, którzy krew wylaliby do ostatniej kropli, aby bronić i chronić przed tymi, co jak Ezaw brata, sprzedaliby nas za misę soczewicy — odparł wzruszonym głosem Olesiek.

Dziwne ogarniało go uczucie, ilekroć przed drugimi opowiadał o Śląsku.

W najjaśniejszych kolorach chciał malować jego piękność, bo w duszy czuł, że milszej i droższej dla niego niema krainy.

— Na przyszłe gody z Jędrkiem do Wrocławia

wyberzemy się po towary, a może i ty pojedziesz z nami — zagadnął Fukiera Ginter.

Młody Fukier, w zastępstwie starego i chorego ojca, dalekie odbywał zawsze podróże.

— I Ja bym też poprosił rodzica, ażeby mnie z wami panie rajco wysłał, muszę jeno też wpierw wiedzieć, czy tam u was na Śląsku są ładne dziewczęta, bo to grunt.

— Patrzcie go! ślepy Mazur co mu się to zachciewa — śmiał się młody Bonar, Krakowianin, krewniak Długosza i do niego w odwiedziny przybyły — ślepy Mazur — powtarzał, czyniąc przymówkę do znanej przypowieści, jakoby Mazurowie na świat przychodzili ciemni.

Mazurowie naszy,
Po jaglanej kaszy,
Słone wąsy mają,
W piwie je maczają.

Śpiewał rozweselony Bonar.

Znaj Polaku pany,
Śmiałe Mazowszany,
Gotowi do boju
W zwadzie i pokoju —

odpowiedział również śpiewem młody Ginter.

Dobry Mazowszanin
Lepszy Krakowianin —

odparł Bonar, spróbuj, a zobaczysz kto z nas lepszy.

— Tobycie waćpan panie Bonarze, musieli bić się i zemną, bo i ja za Mazowszem ginę — wmieszał się Olesiek.

— Górą Mazury, górą nas! odezwało się naraz kilka głosów.

— Górą Krakowiacy! — wołał ławnik Długosz a za nim Bonar.

— Górą Ślązacy! Wiwat! niech żyją! Wiwat Piast! wrzasnął na cały głos Bajer. Wiwat! król Michał!

— Wiwat! niechaj wszyscy żyją na całej naszej ziemi. Wiwat król, wiwat Rzeczpospolita! — wołał Lipiński.

Trafił widocznie tym wiwatem do serca wszystkich, bo go otoczyli kołem i jeden za drugim ścisnął go i całował, a on opowiadał zebranym o ludziach i Śląskich ziemiach, przerżniętych lustraną, jasną wodą Odry.

— Więc i dziewczęta na Śląsku godne i przystojne? — powrócił do pierwszego pytania Fukier.

— Ba! ba! i jak jeszcze, łanie, kwiaty!

— Co tam łanie i kwiaty, furda wszystko! łanie przed niemi ze wstydu uciekają w konopie a kwiaty w chwast się zamieniają. Co prawda, nie byłem ja na Śląsku, ale wiem, że człek patrząc na Ślązaczki, głowę skręci jak nic, co tam łanie i kwiaty, tam są, powiadam wam, niewiasty śliczne, rozsochate jak dynie i cienkie jako osy, co kto lubi, a co jedna to piękniejsza od drugiej — dowodził Ginter.

Długo, długo jeszcze rozmawiano, przerywając opowiadania wiwatami, które po wyjściu księdza kanonika szły częstą koleją. Późno już było bardzo, gdy Lipiński opuścił dom „pod Murzynkiem“, tak bowiem nazywano kamienicę Ginterów.

Towarzyszył mu Bonar, Kacperek i Janek jechali za nimi wolno.

Noc była ciepła i widna. Mleczna droga rysowała się jasno na niebie, smugę swoją znaczyła ponad farą, zamkiem królewskim i dopiero za Wisłą ginęła i roztopiała się w mirjadach gwiazd. A od ich migotliwych blasków i promieni gorzało i pałało niebo.

Tylko księżyc blady i smutny jak zwykle, na

mury miejskie spoglądał ciekawie jak gdyby badał dzieje albo zastanawiał się nad ich przyszłością.

Olesiek jechał milczący i rozmarzony. Wszystkimi tonami pieśni, grały mu w duszy przeżyte w Warszawie wrażenia.

Patrzył na księżyc, bo mu się zdawało, że w tejże samej chwili na drugim końcu miasta, w dworku pana Wodzieradzkiego dwoje szafirowych ocząt patrzy również w jasne, lśniące księżycowe blaski. Olesiek marzył, a Bonar śpiewał czystym i donośnym głosem pieśń o Mazurach.

Szarszun zardzewiały,
Z poszew opadały,
Kijec granowity,
Harkabus nabity,
Tak idą na roki
Podeprą swe boki.

Na Freta ulicy zatrzymał się Bonar. Mieszkał tu bowiem w jednej z gospód, a Olesiek skręcił w Długą ulicę.

Cisza nocy i blaski księżycy upajały go coraz więcej, w coraz jaśniejszych barwach stawiała mu przed oczyma uroczą postać Basi.

Nagle, od strony Daniłowicza pałacu, wjechało w Długą ulicę dwóch jeźdźców. Lipiński tak był zamysłony, że nie uważał nawet kto jedzie. Dopiero gdy na bliski tętent kopyt końskich podniósł głowę, w świetle księżycy poznał twarz Troskena. Lipińskiemu krew zakipiała w żyłach. Mam cię — pomyślał, jedno tylko słowo piśniesz a zgniotę cię.

— A pójdziesz ty mi z drogi — krzyknął pierwszy Trosken, czy to nie widzisz kto jedzie?

— Z drogi! — krzyknął również Olesiek, nie ruszając się nawet z miejsca.

— To ty nie widzisz kto jedzie? — rzucił znów pytanie Trosken.

— A ty także nie widzisz, brzmiała odpowiedź Oleśka.

— Ruszaj zaraz z miejsca! — wołał Trosken, szykując muszkiet.

— Święci Pańscy ratujcie! zażgają jegomościa, biadał Kacperek i trząsł się przytem jak w febrze.

— Precz! — krzyknął Olesiek, dobywając miecza. — Dam ja ci tu teraz za wszystkie twoje łotrstwa.

— Na widok miecza, Trosken strzelił, mierząc wprost w piersi Lipińskiego. Lecz tenże ściągnął ostro konia, rzucił się naprzód i zajął tył Troskenowi, unikając tym sposobom strzału.

— Łotrze! Zbóju! wołał — ustąp z drogi albo cię trupem położę, poraz drugi godzisz na moje życie.

— A ty na moje — bronił się Trosken, mierząc znów z muszkietu.

Trosken, jak to zwykle czynią tchórze, gdy poznał, iż miecz Oleśka nie napróżno błyszczy ponad jego głową, począł wołać na gwałt!

— Psy! szatany! cesarskich mordujecie ludzi, posła napadacie!

— Tatarski psie! turecki kundlu! jurgieltniku! zaprzedańcze, odszczepieńcze! — wołał w najwyższym gniewie Olesiek.

Wrzawa, wywołana w cichej i pustej ulicy wywabiała strażę nocne. Halabardnicy, stojący obok Daniłowicza pałacu, nadbiegli zaciekawieni. Na ich widok Trosken począł krzyczeć na cały głos:

— Gwałt! rozbój! cesarskich mordują ludzi! Dworzanina hrabi Schafgotscha napadają! Mord i gwałt na ulicy! w bliskości pałacu posła! — Darł się ze złości, rad, że nadciągająca straż mogła usłyszeć jego krzyki.

Mówił po niemiecku, na przemiany polskich używał wyrazów.

Lipiński spokojnie czekał końca. Gdy Trosken przewiesił przez ramię muszkiet, Olesiek spuścił miecz nadół.

Widok zbliżającej się straży nie przeraził go wcale. Co ma być, niech będzie, Panno Najświętsza, spraw—pomyślał—abym bez wstydu i hańby wyszedł z takiego terminu.

Nie ruszył się z miejsca aż wówczas dopiero, gdy posłyszał wymówione tuż ponad uchem słowa:

— W imieniu Jegomości Marszałka wielkiego koronnego biorę w hareszt waćpana.

VIII.

Matka cześnika, pani miecznikowa Sieradzka, choć w późnym wieku staruszka, żywo zajmowała się bieżącymi sprawami. Szczególniej obchodziło ją wszystko to, co tyczyło się dobra Rzeczypospolitej i króla Michała.

Wdowa po żołnierzu, miecznik zginał bowiem w bitwie przy Żółtych Wodach, wielką cześć żywiła dla żony i syna jednego z największych bohaterów.

Codzień, około południa cześnik wchodził do pokoju staruszki na pogawędkę z wiadomościami, co słysząc na zamku, co mówią o sejmie, zdrowiu króla, królowej, słowem o wszystkim, co się odnosiło do panującej rodziny.

Pani miecznikowa kochała gorąco wnuczkę, nikt też nad nią nie umiał tak dogodzić i uprzyjemnić chwil staruszki. Basia wtajemniczała się w gusta i upodobania babki. Lubiła słyszeć jej opowiadań o dawnych czasach i ludziach. Rozkołysana wspomnieniami, z pałającą twarzą słuchała chciwie zwierzeń, a serce biło jej tak mocno, jakby patrzyła na tę chwilę, w któ-

rej przy boku Stefana Potockiego ranny kozacką strzałą umierał miecznik.

— Babusiu! — pytała dziewczyna wówczas, zaśluchana w opowieść staruszki — babusia nie płakała wtedy, gdy dziadzio wychodził na wojnę?

— Moje dziecko — brzmiała odpowiedź miecznikowej — Broń Boże! — miałam płakać, gdy Najwyższy dozwolił spełnić najświętszy i najdroższy obowiązek? Zanotuj to sobie dziewczyno w pamięci i w sercu, że wiara święta i Rzeczpospolita są droższe nad wszystko w świecie. Nie płakałam ja, nie, jeno modliłam się i Bogu polecałam całe moje szczęście.

Basia siadywała zawsze na ławeczce u stóp babki i haftowała komżę dla księdza Gizy, który był spowiednikiem całej rodziny.

Pani miecznikowa zwróciła uwagę, iż wnuczka od kilku dni straciła swój zwykły, wesoły humor i swobodę.

— Młoda, to nudzi się u nas, przynajmniej dobrze, że u pani starościny znajdzie zabawę i wesołość.

Gdy tak rozmyślała miecznikowa, wszedł do komnaty cześnik, niezwykle zaalterowany. Pochwalił na powitanie Pana Boga, a potem ze czią wielką pochylił się do kolan matki.

— Już też chyba koniec świata bliski — przemówił, stojąc przed miecznikową — dzisiaj nikomu wierzyć nie można, niech sobie Pani matka wymiaruje, że ten niby poseł Piasta, Ślązak co to był u nas i tak wszystkich ugładził, to pierwszy urwisz.

Wczoraj późnym wieczorem, napadł na dworzannina hrabiego Schafgotscha, jeszcze, broń Boże, burza z takiej imprezy wypadnie, bo już królowa pani, ujęła się za swoim sługą, podobno mu jeszcze dopomagały jakieś zbiry w maszkarach, okrutna to znie-

waga, łotr jakiś! siedzi już podobno w wieży marszałkowskiej.

Pani miecznikowa z wielkiej alteracji złożyła książkę do nabożeństwa, którą trzymała w ręku. Basia słuchając opowiadania cześnika bladła i rumieniała się, a gdy posłyszała ostatnie słowa, zerwała się z ławki tak nagle, że aż robota spadła na ziemię i o mało nie przewróciła stolika, na którym leżała książka miecznikowej.

— Pan Lipiński nie jest żaden warchoł ani łotr — odezwiała się żywo, cała sploniona.

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, a tobie dziewczyno co się stało? zawołała przerażona babka, nigdy bowiem dotąd w takim rozdrażnieniu nie widziała wnuczki.

— W ciebie co strzeliło, dziewczyno! zawołał cześnik. — Skądże go ty tak znasz i bronisz? Widzę, że i ciebie ujął gładkością swoją, bo w rozmowie polityczny z niego kawaler. Despekt to okrutny dla ciebie, bo już w wieży siedzi, a co gorsza, sprawa oprze się o króla, słyszę, iż okrutnie napadł tego młodego kawalera, który wraz z hrabią Schafgotschem był na uczcie u pana starosty.

Basia narazie zapomniała zupełnie o niedowiarstwie Lipińskiego i o bólu, jaki z tej przyczyny sprawiły jej opowiadania Troskena. Widziała tylko niebezpieczeństwo, na które był narażony Olesiek, postanowiła więc bądź co bądź stanąć w jego obronie.

— Pan Lipiński, mówił mi, iż dworzanin posła Schafgotscha, to największy jego wróg i nieprzyjaciół, wszystko co powie o panu Lipińskim, to kłamstwo największe, a wujo i babusia powinni go bronić, bo on nieszczęśliwy i sam tutaj wśród obcych — zapalała się coraz więcej własnymi słowami Basia, niepomna, że odezwanie się jej, w osłupienie wprawilo

obecnych. Wyczerpana wrażeniami, na cały głos poczęła płakać.

Staruszka zerwała się z miejsca pomieszana.

— Święci pańscy, ratujcie mnie! miarkujże się dziewczyno, bo nie wiesz i nie znasz co to za człowiek, który śmiał porwać się na dworzanina posła królowej, a zauważ tylko, co to znaczy majestat króla i królowej? Toć jeśli miłościwa pani zechce, ogromna z tego wypadnie krętanina. A skądże też na ciebie taki termin przypadł? Matko Boża! ratuj nas wszystkich! składała jak do modlitwy miecznikowa dłoń.

Cześnika również dotknęło zachowanie się siostrzenicy. Skaranie Boże — pomyślał — tego mi tylko było potrzeba. Że też te dziewczęta zawsze o kochaniu myślą, najlepsza zgłupieje, gdy gładysza zobaczy. Tu sejm, tu koronacja królowej, tu szlachty wali się zewsząd huk, a ta głupia sroka sentymentami chce mi zawracać głowę, warchoł jakiś wlażł jej do serca i masz babo kaftan! Muszę ją się zabrać ostro, a odrazu amory w łeb wezmą. Moja wasanno—zwrócił się do Basi — jeśliś tam ukochała czy co podobnego, tego jak się tam nazywa dworzanina — cześnikowi płatał się trochę język, bo w gruncie rzeczy żal mu było trochę siostrzenicy, to mówię ci, jakoby rodzony rodzic, wybij go sobie z pamięci, jakem twój wuj, z tej mąki chleba nawet dla psa nie upieczesz. Wiedz o tem, że ten, ten tego, jak się tam zowie dworzanin, to pierwszy heretyk, odszczepieniec od wiary świętej, żeby nawet nie ten napad, na psa poszłyby takowe miłości. Tfu! splunął — wstydź się dziewczyno, wejdź w siebie i proś Boga, aby ci grzech odpuszcił, żeś umiowała heretyka.

Słowa cześnika jak krople gorącego ołowiu spadały na rozrзанione serce Basi i przepalały je do głębi. Zapewnieniom Troskena nie wierzyła w zupełności,

tym więcej gdy przed oczyma duszy stanął Olesiek taki, jakiego poznała na dworze księcia Krystyana w Brzegu, grzeczny, polityczny i piękny kawaler.

Dopiero uwagi cześnika przeraziły ją i wywołały zamęt w sercu i umyśle.

Jemu wierzyła święcie, czuła, iż grom uderza w ciche dotąd i spokojne życie. Olesiek, którego postanowiła bronić i ratować, jest na nieszczęście nieprzyjacielem wiary świętej, a więc wrogiem Rzeczypospolitej i króla. Takiego zawodu nie mogło znieść serce Basi i z myślą o odszczepieństwie Oleśka, padła u stóp babki.

Basia wiedziała dobrze, iż miłość jej do Lipińskiego, nietylko nie znajdzie poparcia w rodzinie, przeciwnie za złe poczytaną będzie. Wiedziała o tem dobrze i sama przeraziła się stanem swego serca, bo dopiero wówczas, gdy dowiedziała się o grożącym niebezpieczeństwie, poznała, jak drogim był jej Olesiek. Był drogim, a jednak postanowiła zapomnieć o nim.

— Przecież to najcięższy i największy grzech, widocznie Bóg karę zesłał na mnie. Panno Najświętsza, ocal mnie i jego ratuj w nieszczęściu. Niechby tylko zastanowił się, a Bóg go nie opuści — myślała biedna — a może to wszystko kłamstwo i wujowi nagadali na niego. Niechajby już poszedł w świat daleki, byleby uniknął kary i był zbawiony — modliła się Basia.

Wiadomość o napadzie na Troskena szybko rozeszła się po mieście. Powtarzano ją, jak to zwykle w takich razach bywa, z najrozmaitszymi odmianami. Jedni mówili, iż Trosken był tak ranny, iż żyć nie może, inni znów, że Schafgotsch jest raniony, a byli i tacy, którzy utrzymywali, że to nie Lipiński, ale Trosken napadł na posła Piasta.

Powtarzano sobie tę wiadomość z ust do ust, a na zamku przeraziła ona wszystkich, wiedzieli bowiem, iż

królowa, już i tak niezbyt życzliwa swemu otoczeniu, będzie bardzo dotknięta i posądzi wszystkich o niechęć i nienawiść.

Starosta spiski pierwszy przywiózł tę wiadomość na zamek. Posłyszał ją z ust Schafgotscha, z którym spotkał się przed samym zamkiem. Hrabia rozgoryczony, rozgniewany, dopominał się sprawiedliwości.

— A to pięknie i gościnnie przyjmujecie posła, kiedy jego pierwszego dworzanina napadają po nocy w bliskości zamku.

— Przedewszystkiem mości hrabio — tłumaczył Lubomirski — ów Lipiński, który miał, jak powiadacie, dokonać napadu, jest również obcy a nawet poseł księcia Piasta na Brzegu, jakoś nie widzi mi się to, co opowiada wasz dworzanin, pytanie, kto go napadł, bo ów dworzanin księcia Piasta na warchoła nie wygląda wcale.

— U was tak zawsze bywa, sprawiedliwości niema żadnej, odparł żywo hrabia Schafgotsch, na szczęście królowa pani wstawi się za nami.

Króla, gdy go zawiadomiono o tem, mocno zdziwiło całe zajście. O pobycie Lipińskiego w Warszawie wiedział od matki. Księżna Gryzelda, wychwalając układność i polityczne zachowanie się dworzanina ostatniego Piasta, opowiadała synowi.

— Takowego rozumu i grzeczności w tak młodym kawalerze dawno nie widziałam, a przytem do pana swego mocno przywiązany. Wielkie to szczęście mieć przy boku swoim takie pocziwe i przywiązane serce.

Wieść o napadzie na Troskeną, wobec tego co słyszał od matki, królowi wydała się wręcz niemożliwą, pilnie więc badał i dopytywał się Lubomirskiego.

— Musieli mieć jakąś złość do siebie, z dobrej woli jeden drugiegoby nie napadał. To dworzanin

posła, a ten znów sam jest przecież posłem księcia, dla którego nie mało żywie w sercu miłości.

— Nie mogę pozwolić, aby pod moim bokiem spotykał despekt człowieka, który przywiózł gratulacje dostojnej, a mnie wielce ukochanej pani matce — oburzał się król Michał, chodząc po komnacie — mój Lubomirski, proszę cię bardzo, zbadaj należycie wszystko, zanim pójdzie przed sądy marszałkowskie. Podobno siedzi już w wieży, niechaj nie zbywa mu na niczem i niech pamiętają, że jest posłem pokrewnego nam rodu.

— Miłościwy królu i bracie mój — odparł szwagier królewski — był ci on i u nas, ten poseł Piasta i ujął nas wszystkich, a tu teraz Schafgotsch posponuje i gardłuje przeciw niemu, powiada, że to zatwardziały heretyk, już i królowa pani podobno uprzedziła Prymasa, aby wdał się w tę sprawę i ukarać kazał, mnie się jednak widzi, że siła w tem fałszu.

— Mój drogi, prosił raz jeszcze szwagra Król Michał — oddaję ci chłopca w opiekę.

— Królu i panie mój, wola twoja jest świętą — odparł starosta spiski.

Zaledwie Lubomirski wypowiedział te słowa, a już do komnaty wszedł rękodajny króla młody Grudziński z zawiadomieniem, iż poseł austriacki Schafgotsch wraz z kurfirsztowskim posłem Howerbeckiem proszą o posłuchanie.

Na wiadomość tę twarz króla zazwyczaj spokojną, choć smutną bardzo, pokrył wyraz niezadowolenia i zniechęcenia.

Kazał jednak przywołać obydwóch, a do Lubomirskiego zwrócił się ze słowami:

— A co? czy nie mówiłem, czy nie miałem racji przewidywać, iż prywatnie dwóch młodych, krewkich

kawalerów będzie przyczyną skarg i wymówek. Jako też nie omyliłem się.

Posłowie wszedłszy, pochylili się do kolan królewskich, Schafgotsch przemówił pierwszy.

— Miłościwy królu i panie, przychodzę do ciebie szukać sprawiedliwości i opieki. Dworzanina mego, szlachetnie urodzonego von Troskena, napadł wczoraj w bliskości Daniłowicza domu, tuż pod bokiem hetmana, ów poseł księcia Śląskiego, przysłany z atencjami do dostojnej matki wielce miłościwego króla i pana.

Król Michał uśmiechnął się smutno.

— Chyba nie przypuszczacie, że matka moja urządziła ten napad, wiecie aż nadto dobrze, jak bliską jest sercu memu przyjaźń z wami i dworem austriackim już przez to samo, żeście posłem kraju, którego dostojna córka jest moją małżonką.

Ów młodzian posądzony o napad, pono bardzo zacny i polityczny kawaler.

— Miłościwy królu, przemówił znów Schafgotsch — tu nie ów poseł zawinił, ale liczni jego przyjaciele, z którymi miał nieszczęście, przybywszy tutaj wejść w komitywę.

— Stronników francuskich to sprawa, przeciwników Austrii i waszego panowania, najmiłościwszy królu, ukróć samowolę szlachty, boć oni niepokoją nas, posłów zagranicznych władców, i tak w swem rozpasaniu prowadzą wszystko, aby na swoją przeciągnąć stronę i francuskim perukom utorować drogę do polskiego tronu — wtrącił się do rozmowy Howerbeck.

O ile Schafgotsch mówił cicho i spokojnie, nie podnosząc nawet głosu, o tyle znów Howerbeck unosił się i co chwila jakoby hamował wewnętrzne wzruszenie, to znów wybuchał płaczącym głosem.

Łamał ręce komedjancko i widocznem było, że pragnie wzruszyć i przekonać o swojej przyjaźni i wierności.

— Miłościwy królu, przemówił znów po chwilowem milczeniu, widząc, że Michał obojętnie przysłuchiwał się jego wywnętrzaniom — miłościwy królu i paniel życie nasze, życie posłów mocarstw postronnych, niepewne wobec tego, pomocy twej żądamy.

W czasie całej przemowy kurfirstowskiego posła, wszedł do komnaty ksiądz biskup Olszowski podkanclerzy koronny wraz z księdzem kanonikiem Gizą. Obaj do komnat królewskich wchodzili bez zawiadamiania króla. Ci dwaj wierni, prawdziwi przyjaciele pomazańca boskiego mieli wstęp na zamek każdej chwili. Wiśniowiecki znał ich aż nadto dobrze i wiedział, że całą duszą sprzyjali jemu i całej jego rodzinie. Siedząc tyłem odwrócony do drzwi, nie widział, gdy ksiądz biskup wchodził do komnaty, rozjaśniła się jednak twarz królewska, kiedy po długiej męczącej przemowie Howerbecka, usłyszał przyjazny głos księdza Olszowskiego.

— Pięknie bardzo przemawiacie panie pośle, ładnie to z waszej strony, że tak politycznych słów dobieracie, iście, jak na posła kurfirsta przystało, boć przecie pan wasz, koronie polskiej to jest Rzeczpospolitej zawdzięcza wszystko, więc ładnieby było, gdyby jego sługa umiał wdzięczność przechować, tylko że w tej całej waszej przemowie są trzy nieprawdy, które jako od duchownego człowieka musicie przyjąć. Po pierwsze nie jesteście wy posłem mocarstwa, lecz księstwa, powtóre: nagadujecie na partyzantów francuskich, którzy nas mają niepokoić za to, że Francuzowi z pod nosa sprzątnięto koronę, a przecież, wy sami panie pośle należycie do nich i wy sami za naszymi plecami siejecie niezgodę.

Gdyby piorun był uderzył w posła, nie byłby go

tak zmieszał, jak te słowa wymówione z całym spokojem.

Zdziwiły one nietylko króla i Lubomirskiego, lecz nawet Schafgotsch pytające spojrzenie utkwił w twarzy Howerbecka.

Król patrzył na Lubomirskiego, Lubomirski znów przenosił wzrok to na księdza biskupa, to na księdza Gizę, słowem tajemnica, którą wyjawiał podkanclerzy, poruszyła wszystkich.

Howerbeck spieszył się już z odpowiedzią, lecz biskup w dalszym ciągu począł mówić.

— Musicie panie pośle być cierpliwym, niechaj wypowiem wszystko, dopiero dwa punkta przytoczyłem z waszej rozmowy, niezgodne z prawdą, a muszę wyjawić trzeci. Oto, mówiliście, że poseł księcia Śląskiego napadł dworzanina hrabiego Schafgotscha, tymczasem to on właśnie napadł posła. Wszystko to zeznała straż nocna i halabardnicy pana hetmana, rzecz wyjaśni się wkrótce, sądy na ratuszu rozstrzygną, kto tu zawinił, a teraz panie pośle mówcie swoje, ja już skończyłem — dodał biskup — zbliżając się do króla i dając tym sposobem do zrozumienia Howerbeckowi, że nie pragnie mówić z nim dłużej.

— Najmiłościwszy królu, tak nie jest, ja o niczem nie wiem, nieprzyjacielem nasi to rozgadują, chcą odebrać nam waszą miłość, królu i panie, w imieniu kurfirsta błagam, zachowajcie nam życzliwość — mieszał się coraz więcej i tłumaczył Howerbeck.

Król, którego zeznanie podkanclerzego dotknęło bardzo a więc i wyprowadziło z granic zwykłego spokoju i cierpliwości, przemówił dość ostro.

— Nie wasza to zeszta sprawa, panie Howerbeck, nie wasz dworzanin napadnięty, ale posła austriackiego, więc nie mieszajcie się w nieswoje sprawy, chyba że

przy pieczeniu hrabiego Schaſgotscha, własną, a zadarmo chcecie upiec.

Dość ostre i dość ostrym głosem wymówione słowa zmęszwały Howerbecka, tłumaczył się, usprawiedliwiał, posądzał znów o nowe intrygi szlachtę polską, w końcu, widząc, że obecni pod wpływem wieści usłyszanej od księdza biskupa, niedowierającym patrzyli na niego wzrokiem, pokłoniwszy się do kolan królewskich, wzburzony do żywego, opuścił progi zamkowe.

Po odejściu kurfirstowskiego posła, cisza zaległa komnatę. Król podniósł się z krzesła i podszedł do okna. Wychodziło ono na Wisłę, poza którą ciągnęły się lasy, pola i ogrody. Królowi, widok tych obszarów ziemi przypomniał dziecinne lata, te czasy, gdy w Łubniach i Wiśniowcu przy boku rodziców, przeżył najszcześniejsze chwile życia. Zamigotała mu przed oczyma wielkość i sława ojca, przesunęły się jak żywe, postacie wodzów i żołnierzy, którzy w szeregach ojca krew przelewali za Ojczyznę. Był wtedy dzieckiem ukochanem i wolnem jak te obszary na Zadnieprzu, po których za wrogiem uwijał się ojciec. Dziś, jest królem — pomyślał — wybranym przez naród, lecz ta korona wkłada zarazem na jego głowę ciężary, pod których potęgą chwieją się jego siły.

Podkanclerzy znał dobrze króla i czytał w jego twarzy jak w otwartej księdze, widział walkę, którą staczał w tej chwili z sobą syn wielkiego bohatera.

Jak troskliwy opiekun i przyjaciel zbliżył się z słowami otuchy i pociechy.

— Dla nas, miłośnicy królu, lepiej, że wcześniej odkryły się zamiary naszych przeciwników. Howerbeck w imieniu swego pana intryguje, aby wam królu i panie odebrać koronę, nagadywał na francuskich stronników, a sam dla francuskiego kandydata pracuje.

Dobrze przynajmniej, że taka podła oliwa na wierzech wyszła i że wiemy, czego się trzymać. Myślę że i hrabia Schafgotsch dowie się o tem, bo już Mayerbergowi nie tajne są intrygi i spiski Howerbecka, — poczem zwrócił się do Schafgotscha, który stał na uboczu i rozmawiał z Lubomirskim.

— I wam, panie hrabio, sędzę, że bielmo z oczu spadnie i poznacie w należytem świetle Howerbecka.

— Muszę wyznać — odparł zaczepiony, — że on więcej aniżeli rozmazywać pragnie ów napad, przewidując w nim udział stronnictwa francuskiego i niechęć zarazem względem króla i królowej.

— I nas jeszcze chce burzyć i kłócić wzajemnie, rzucił słów kilka mocno rozbolały biskup.

— Wprawdzie jest to mój dworzanin, więc bronić go muszę, ale w służbie mojej jest niedawno i nie wiem nawet, skąd zaprzyjaźnił się tak z Howerbeckiem, bo tenże gardłuje za nim, jak za bratem, odparł Schafgotsch.

— Trafił swój do swego — zauważył Lubomirski.

— Żeby tylko Howerbeckowi nie wyszła kością w gardle cała ta sprawa, przemówił milczący dotąd kanonik Giza. Byłem dziś rano u cześnika Wodzieradzkiego i tam dowiedziałem się, że owi dwaj kawalerowie oddawna mieli do siebie jakoweś urazy. Jeno tutaj w naszym kraju dojrzały one i na nasze nieszczęście z lada głupstwa nieprzyjaciele nasi chcą korzystać, a tu przecież ważniejsze mamy sprawę na głowie.

Król słysząc to odszedł od okna i zbliżył się do rozmawiających.

— Święte wasze słowa, księże kanoniku, nie nam o prywatach myśleć, mamy sejm, odebranie Kamieńca i walkę z Turczyńcem, z wrogiem wiary świętej i Ojczyzny! — żywo przemówił król Michał — podając

na pożegnanie rękę hrabiemu Schafgotschowi, który chwilę później zbliżył się do króla i opuścił progi królewskiej komnaty.

Po odejściu posła, rozmowa stała się poufniejszą, rozbiegano najbliższe gorąco Rzeczpospolitą i wszystkich kochających ją synów obchodzące sprawy.

IX.

Tymczasem Lipiński, o którym tak radzono na zamku, siedział w wieży marszałkowskiej.

Na razie spotkanie z Troskenem ogłuszyło go zupełnie. Wywołane w chwili, w której myśli jego dalekie od wszelkich kłótni i zwady tonęły w słodkich wspomnieniach o Basi, znieczuliło go tak dalece, że nie znalazł nawet słowa jednego na swoją obronę. Nie tłumaczył się przed dowódcą straży, gdy go pytał o przyczynę napadu, nawet wówczas, kiedy rygle żelazne zamykały za nim drzwi więzienia.

Rzuciwszy się na stojący w kącie tapczan, czas jakiś przepędził w odrętwieniu.

Potrzebował ciszy i spokoju takiego, który pogrąża człowieka w otchłań nieświadomości i pozwala zapomnieć o wszystkim, a w pierwszej linji o tem, że żyje, myśli i czuje.

Po dość długiej beczynności ducha, Lipiński począł rozważać.

— Tak wiele od wyjazdu z Brzegu spotkało mnie niespodziewanych terminów, że i ten przestał mnie już dziwić. Nie zginąłem w Chrościckim lesie, nie zginę z Bożą pomocą i teraz. Niechaj tylko wiem, poco mnie ów łotr, zaprzędaniec prześladowe, co on chce dzisiaj odemnie? Do Schafgotscha za dworzanina nie pójdę, do Brzegu on niema poco wracać, więc nie wchodzimy sobie w drogę — musi mieć jednak jakieś przyczyny, zaprzaniec jeden, których ja odgadnąć nie mogę.

— Stało się! Bóg wie, jak długo przyjdzie mi tu odsiadywać karę, ale za jakie grzechy?

— Chyba za to, że zamiast naprzód pomodlić się przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, przejechałem mimo cudowne miejsce, spiesząc na gwałt do Warszawy.

Ogarniała go żalność na myśl, że Trosken będąc na wolności, użyje jej na oczernienie go tak, iż naj-niewinniejszy paść jednak może ofiarą. O siebie nie lękał się już wcale. Co tam znaczy życie takiego pachółka! — myślał rozgoryczony — raz się wszystko skończy, lecz co pomyślą ojcowie, gdy dojdzie ich wiadomość, że syn ze zbójnikami uwięziony siedzi? Co pomyśli ksiązę, gdy dowie się, że dworzanin wysłany w poselstwie, odsiaduje w więzieniu karę? Te obawy odbierały mu spokój. Najwięcej trwożyła go jednak myśl o Basi. Rodziciele kochają go tak bardzo, i tak wierzą w jego uczciwość, że wybaczą wszystko, a szczególnie też matka, ta nie przypuści nawet, że mógł być winnym, — pocieszał się Olesiek.

Książe Krystyan znów, zajęty sprawami kamery, chorobą, nie będzie nawet miał czasu pomyśleć o tem, co się dzieje z dworzaninem, chociaż ten jest nawet jego ulubieńcem. Zapomni zresztą o nim, wobec osobistych kłopotów.

Lecz nie wątpił, że Trosken postara się zawiadomić rodzinę cześnika i w najczarniejszym świetle przedstawi jej postępowanie i los Oleśka.

Ta myśl truła go najwięcej i przyprowadzała do takiej niecierpliwości, iż chwilami chwycił za rygle i próbował mocować się z nimi, aby wybić drzwi i uciec z więzienia. Po każdym takim żywszym objawie zniecierpliwienia, w małym, w drzwiach zrobionym otworze ukazywała się głowa pachółka wię-

ziennego, widok którego jeszcze większe wywoływał oburzenie Oleśka.

Gniewał się, wymyślał i złorzeczył przeciwnikowi głośno, biegał po izbie, w końcu zmęczony tą wewnętrzną walką, niepokojem i szamotaniem się, powtórnie padł na tapczan i zasnął snem kamiennym. Spał tak mocno i silnie, że nie obudziły go blaski słoneczne, wdzierające się przez małe okienko do wnętrza. Nie zbudził go nawet odgłos kroków pacholka więziennego.

Z dzbankiem świeżej wody wszedł do izby, obejrzał starannie Lipińskiego i patrząc na jego dorodną postawę i ubiór, szeptał półgłosem: „Fiu! fiu! Takiego już tu dawno nie było, chociaż niejedni wpadli już na moje korytko, widocznie nie byle kto, młody i silny, myślałem, iż drzwi wywali. Nie wygląda jednak na zabijaka ani na napastnika. A ten kusielęc, co go kazał zaharesztować, radby go na całe życie pograć w naszej wieży. Nie musi to jednak być bylejaki warchoł, kiedy rajca Ginter dopytuje się o niego, czyste ma widać sumienie, skoro śpi jak zarznięty, południe za pasem, a ten ani piśnie — dokończył swoich rozmyślań, opuszczając celę więzienną.

Skrzyp drzwi, dość silnie przez pacholka zamykanych, zbudził dopiero Lipińskiego.

Przetarł oczy, zdziwiony, zapomniał zupełnie gdzie jest, zatrząsł się cały z gniewu, przypomniawszy sobie, w jakim znajduje się położeniu. Zerwał się z tapczana jak oparzony.

— To nie ja — pomyślał — powinienem siedzieć lecz on, wróg mój prawdziwy, to ja mam prawo domagać się sprawiedliwości, jestem posłem, nietykalną osobą, pakując mnie do więzienia, znieważyli księcia i pana mego. Żeby miał poruszyć niebo i ziemię, żebym miał do samego króla udać się z prośbą, żeby

nawet życiem przypłacić, to sprawiedliwość musi wyjść na wierzch. Panie Boże! nie opuszczaj mnie i wybaw z tej toni — począł modlić się, klękając w okienku, z którego widok na dalekie zamiejskie ciągnął się okolice.

Zatopiony w modlitwie nie słyszał, że drzwi otworzyły się z lekka i w progu stanął ksiądz kanonik Giza. Z poza siwej głowy staruszka wychylała się jowialna, wesoła twarz Gintera.

Ujrzawszy rozmodlonego Oleśka, spojrzeli na siebie wzajem i w tem niemem pytaniu wzajemną dali sobie odpowiedź, widocznie — korzystną dla więźnia, gdyż ksiądz kanonik znak krzyża świętego uczynił ponad głową pochylonego i zadumanego młodzieńca.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — posłyszał Olesiek wymówione nad sobą słowa.

Zerwał się co żywo, oczekiwał straży, tymczasem zamiast uzbrojonych halabardników, zobaczył jasną aureolą siwych włosów otoczoną głowę kanonika. Sen czy jawa — pomyślał — chyba że nie sen, najwyraźniej stoi przy nim ksiądz Giza i rajca Ginter, więc bez namysłu, do głębi wzruszony rzuca się w ramiona księdza.

— Możecie księżę kanoniku skalkulować najlepiej, czy prawdę mówi ów niemczak Trosken, żeby ten młodzieniec był takim zaprzańcem, za jakiego go uważają, inaczej by on śpiewał teraz — brzmiały donośne słowa rajcy miejskiego.

— Wpadłeś w ciężkie terminy chłopcze, przemówił ksiądz Giza, lecz i z nich wyjdiesz, jeśli tylko kłamstwem nie splamisz ust i serca swego.

— Mości dworzaninie, macie przyjaciół, którzy was nie opuszczają i przez kraty i rygle dotarli do was, — wtrącił znów swoją uwagę Ginter.

Olesiek stał zdziwiony, słowa nie mogąc przemówić, zrozumiał, że czuwa nad nim Opatrzność, dzięki której nie zginie i wyjdzie nieskalany, i czysty znów powróci na Śląsk do swoich ojców chaty.

— Oskarżyli cię mój chłopcze, żeś umyślnie napadł dworzanina posła królowej, bo z dawnych czasów jeszcze z Brzegu gniewacie się z sobą, że go prześladujesz jako wiernego swojej wierze, a tutaj złączyłeś się z przeciwnikami partji króla i królowej i umyślnie uczyniłeś napad, przypuszczając że poseł Schafgotsch jedzie, a to był tylko jego dworzanin. Zważ wszystko dobrze i wyznaj szczerze, obcy jesteś, nieświadom wszystkiego, wpadłeś może w jakie sidła, jeśli przyznasz się i wyjawisz prawdę, będę wiedział jak za tobą przemawiać. Jutro twoja sprawa stanie przed sądem rajców miejskich, boś napad uczynił w mieście, więc mieszczanie sądzić cię będą, a masz tu takich przyjaciół, że nie pozwolą cię krzywdzić, a chociażbyś nie miał nikogo, to będziesz miał Boga i sprawiedliwość za sobą, która przecież mimo burz, gwałtów i wszelkich bezprawii, musi w końcu czystem i jasnym zapłonąć światłem, mówił zwolna, dobitnie ksiądz Giza.

Pod wpływem słów kanonika, radość, wzruszenie i ból targały naprzemian sercem Lipińskiego. Cieszył się wiadomością, że w dalekiem mieście znalazł przyjaciół, to znów smucił się z powodu posądzenia o odszczępieństwo i złe zamiary. Przypadł do kolan księdza i jak małe dziecko przed matką, tak i on ukrywając twarz w dłoniach, rozrzewniony do głębi, począł opowiadać dzieje swojego młodego życia.

Roztoczył najprzód przed oczyma staruszka obraz rodzicielskiego domu, potem mówił o wyjeździe do Brzegu i przyczynach, które skłoniły ojca do pozostawienia go na dworze księcia Piasta. Opowiadał, jak wyróżniony przez księcia, zjednał sobie przez to

niechęć niemieckich panków i dworzan, którzy nie mogli księciu darować miłości jego dla polskiego na Śląsku ludu. Mówił o zazdrości Troskena, wywołanej życzliwością Dorchen Lingenau, bo dziewczyna łaskawszem na niego niż na Troskena patrzyła okiem. Nie zapomniał zaznaczyć niechęci dworzan spowodowanej poselstwem do Warszawy, wspominał o napadzie w Chrościckim lesie, a w końcu mówił o Basi Bojanowskiej i o szczerym afekcie, jaki powziął ku niej.

— Na Matkę Boską, której obraz wisi w Piekarach, klęę się, żem nie heretyk i nie odszczepieniec, raczej nim jest Trosken, nie przystoi i nie godzi mi się mówić na niego, lecz ojciec duchowny, toć on przecież z Trzoski przewzał się Troskenem i dziś przebiera się kuso, aby tylko przypodobać się panom — kończył swoje opowiadanie Lipiński, — nie napadałem, lecz napadnięty bronić musiałem się przed wrogiem. Odszczepieńcem nie jestem i nie będę, bo za skarby całej ziemi nie zmienię wiary świętej i ojców mowy, dokończył z mocą.

Tyle prawdy i tyle serca wlał w tę serdeczną swoją spowiedź, że prostotą i szczerością ujął księdza Gizę i stojącego przy nim Gintera.

Ksiądz Giza wysłuchawszy zwierzeń Oleśka, podniósł się z ławki, popatrzył na niego, a potem wyjąwszy z zanadrza mały drewniany krzyżyk, podał go Lipińskiemu, mówiąc:

— Jest to drzewo z krzyża świętego, weź je na pamiątkę i noś zawsze przy sobie, młodzieńcze. Jakkolwiek byłoby lepiej, gdybyś na dworze innowiercy nie przebywał, bo tam różnie może się przygodzić, to jednak z tego cò mówisz miarkuję, że masz czystą duszę i szlachetną i z wszelkich terminów, da Bóg, wyjdiesz również nieskalany.

— Mości dworzaninie, nie frasujcie się tylko,

wśród nas siła dobrotliwych ludzi. Jakem rajca starego miasta Warszawy, tak nie pozwolę wam zginać, boście mi od pierwszej chwili przypadli do serca, jako mucha do miodu. Wiem ja wszystko, wiem, buty wam szyją, kawalerze ale nie wy w nich będziecie chodzić, tylko ten zły duch Trosken.

— Nie tyle zły, ile głupi i zarozumiały — dodał ksiądz Giza.

— A czymże ja, chudy pacholek, wywdzięczę się wam, księżu kanoniku i wam panie rajco, za tyle dobroci?

— Ksiądz kanonik nie potrzebuje waszej wdzięczności, oczekiwanie na nią od ludzi, to głupia robota a nasz ksiądz kanonik rozumu ma dużo.

Jeśliś jednak taki bogacz i mnie chcesz obdarzyć, to zaproś mnie na swoje wesele z panną Barbarą, pojedę na Śląsk z bławatami i z chłopcami, niechaj śląskie dziewczęta wiedzą, jaka to grzeczna i polityczna mieszka w naszym mieście młodzież.

Gdy tak Lipiński słuchał dowodzeń Gintera, ksiądz Giza odmawiał z cicha pacierze. Sygnowały właśnie u św. Jana dzwony kościoła, ogłaszały wiernym południe i wzywały ich na Anioł Pański.

Ksiądz Giza, — po skończonej modlitwie — wraz z Ginterem opuścili izbę więzienną, zostawiając w niej Oleśka spokojnego, pełnego otuchy w pomoc i opiekę Boską.

Gdy wyszli za progi wieży, ksiądz kanonik skierował się w stronę rynku starego miasta. Spieszył do domu, do licznych zajęć, przywiązanych do urzędów jakie piastował.

Ginter kilkakrotnie prosił kanonika i namawiał, aby szli na Nowe Miasto, do sklepu kupca Fierka, handlującego pieprzem i innemi korzeniami.

— A ja tam poco pójde, mój sąsiedzie? — tak Gintera nazywał zwykle ksiądz Giza — czasu nie mam.

— Kiedy to ważna sprawa, powinniście i wy ją poznać należycie. To co tam wczoraj widziałem i słyszałem na moje własne, duże coprawda uszy — zaniepokoiło mnie tak bardzo, że z tem wprost poleciałem do księdza biskupa i wypowiedziałem mu wszystko.

Ksiądz Giza podniósł zdziwione oczy na Gintera, który zwalniając kroki, począł opowiadać księdzu.

— Poszedłem wczoraj do Fierka, bośmy się mieli umówić co do naszej wspólnej podróży do Gdańska, ale że był zajęty w składzie, więc wszedłem do gościnnej izby którą ma przy sklepie i kazałem sobie podać kubek wonnego tokaju, co prawda, szelma Fierek ma najlepsze wino na całym Nowem Mieście, siedziało tam już w kącie kilku waspanów, usiadłem w drugim miejscu i siedzę, aż tu panie zaczęły z sobą po niemiecku gadać, oczywiście, myślę sobie, niechcąc, abym ich rozumiał. Tymczasem mnie nie w ciemę bili, nietylko Francuzowi, ale i Niemcowi nie dam się sprzedać. Słucham, a oni wciąż gadają takie słowa jak król, królowa, ksiądz biskup, Rzeczpospolita, przysłuchuję się pilnie, bo mówią coraz głośniejsze, we łbach zaczyna im się kurzyć, aż tu włosy mi na głowie stanęły dębem, choć coprawda krótkie jako meszek, bo te szelmy psubraty, poczęły zmawiać się, że trzeba polskie rycerstwo ze sobą kłócić, jednych na drugich szczuć i podburzać, to prędzej dojdą do celu i króla zrzucą. Chryste Panie! myślę sobie, koniec świata, ręce zaczynają mnie swędzić, chciałem ich porwać za czupryny i drzeć co się dało, lecz opamiętałem się na szczęście. Fierek powiedział mi, że tam do niego schodzą się już od kilku dni i zawsze radzą po niemiecku, a on na to głupi jak sak. Zaraz tedy wczoraj poleciałem do księdza biskupa a że to dobrotliwy pan

i przyjaciel króla, więc opowiedziałem mu wszystko to, co słyszałem i kto tam był.

— A kto był? — zapytał ksiądz Giza, domyślając się, z jakiego źródła czerpał wiadomości swoje ksiądz Olszowski o działaniach Howerbecka.

— Co prawda, w izbie było ciemno, dobrze było ciemno, dobrze rozeznąć nie mogłem wszystkich, widziałem tylko tego dworzanina hrabi Schafigotscha, a jeden to mi wyglądał na posła kurfirsta. Lecz niech jenó ksiądz kanonik teraz zemną pójdzie, to ich znów wszystkich zejdziemy, bo oni tam u Fierka obrali sobie stanowisko i codzień schodzą się na naradę. Utwierdźcie jeszcze księżę kanoniku w tem biskupa, bo może mnie nie wierzy, a tu trzeba na to rozumu pewnego i stałego.

— Jakkolwiek nie do mnie jako księdza należą takie sprawy, jednakże są czasy, że i ksiądz nie byłby dobrym pasterzem, gdyby się nie ujął za swojemi owieczkami, jeśli nieprzyjaciel godzi na ich życie i duszne zbawienie. I ksiądz musi się ująć i bronić wiernych przed wrogiem. Z wami do Fierka nie pójdę, bo nie mam czasu, lecz to, com od was, bracie, słyszał, powtórzę staroście spiskiemu, niechaj i on wie, że wróg czycha na nas i że trzeba być przygotowanym na wszystko.

Mijali właśnie kościół farny, którego portyk na ciemnem tle ulicy i staromiejskich kamienic, jaśniał od bijących weń promieni słonecznych, jak lama złota, gdy Ginter spostrzegł dążącego naprzeciwko pana cześnika Wodzieradzkiego.

— Witajcie — przemówił na powitanie ksiądz Giza.

— Czołem wam! czołem! dodał rajca, podnosząc w górę czapkę.

Cześnik niezwykle był zakłopotany i zgnębiony,

wyraz jego twarzy zwrócił zaraz uwagę księdza. Wywijał rękami już z daleka, targał wąsy, widocznem było, że w ciężkich tonął myślach.

Cześnik z Cinterem poznali się u księdza Gizy i wspólnie przy lampce miodu niejeden spędzili już wieczór.

— W samą porę spotykam was, panie cześniku, — przemówił kanonik — chociaż jak widzę, ciężkość spadła wam do duszy, musicie jednak mnie zastąpić i iść z rajcą na gawędę, możecie być pewni, że cokolwiek z ust waszych wyjdzie, a zgodne będzie z prawdą, powtórzę księdzu biskupowi, jako wiernemu obrońcy naszej wiary, naszego króla i naszego narodu, dokończył staruszek, żegnając obu.

Cześnik odurzony był słowami kanonika, nie rozumiał w pierwszych chwilach o co rzecz idzie, lecz że to był dzień samych niespodzianek, bo już od rana spadła na niego miłość Basi i aresztowanie Lipińskiego, więc znowu nowych z tego powodu oczekiwał nieprzyjemności.

— Nic nie rozumiem, gdzie i co mam mówić — wyznał cześnik — taką mam już przybitą głowę kłopotami z tym utrapieńcem dworzaninem, że włosy spuchły mi jak badyle, nie wiem nawet, co mówię z całej alteracji.

— Musimy wprawdzie pokrzepić marne ciało tokajem, bo powiadam wam szczerze panie cześniku, że siły trzeba okrutnej, aby bez szwanku na zdrowiu być świadkiem tego co zobaczymy. A pójdziemy do Fierka.

— Nie neguję wam mości rajco, że tokaj pokrzepia, a już całkiem z sił opadłem.

— Poganin Fierek dobre ma tokaje, najlepsze nawet na całym Nowem Mieście. Nie wiem nawet, skąd w takim drewnianem domostwie jak u niego

mieszczą się takie grzeczne wina. U innych dają szpetne, że koza beczeć będzie, gdy jej przemocą wleją.

— A o czym my tam będziemy rozprawiali, pytał po chwili cześnik — nie wiecie, czy ksiądz Giza zajął się tym utrapieńcem?

— Właśnie wracamy z wieży.

— Zacności dusza! złoto nie człowiek! zawołał słysząc te słowa cześnik. — Kiedy już ksiądz kanonik bierze wszystko w swoją opiekę, to cały ciężar spada z moich piersi. Dusza człowiek! złoto! powtarzał.

Tymczasem rajca, którego myśli jednym tylko, podobnie jak i cześnika zajęte były przedmiotem, z właściwą sobie żywością począł opowiadać szczegóły z bytności w wieży, zeznania Lipińskiego, swoje poglądy na całą tę sprawę, w końcu wyjawiał przyczyny, dla których bez straty czasu pójść muszą zaraz na Nowe Miasto.

— Wy na zamku znacie wszystkich i wam panie cześniku, dokumentniej jeszcze uwierzy Lubomirski, któremu wszystko musicie powtórzyć. Przy tym akcie wyjdzie na jaw niewinność dworzanina. Pojutrze sądy i pojutrze też będzie wolny wraz z swemi pacholikami, ku ucieście mnie wielce miłej panny Barbary. Płonie on ku niej takim afektem, że na wspomnienie jej imienia serce w nim młóci, jak cepy w klepisku.

— Żeby tylko był wolny, mości panie rajco! Kiedy, jak się tam nazywa, siostrzenica moja upodobała go sobie, zezwoliłbym już na wszystko, bo na kochanie przeciwności niema i jak się taka dziewczyna uweźmie, to jak żyd na taniec, nie wybijesz jej miłości niczem z głowy. Ale zważcie, mości rajco, że mnie głównie idzie o to, czy z grzecznej jest on rodziny, a nie szołder jakiś, kudłaj, a co jeszcze ważniejsze, czy naszej wiary człowiek? Bo jeśli jest heretyk, to żeby on był nietylko dworzaninem Piasta, lecz

samym księciem, nie dla niego dziecko mojej rodowitej siostry. Nie dla obcego nasza krew, byłby to wstyd, grzech i hańba nie do odpuszczenia! burzył się cześnik.

— Taka to prawda, że on heretyk, jaką prawdą jest to, że można się we własną gębę czy w coś podobnego pocałować.

— Okrutnie trzymacie jego stronę.

— Prawda, trzymam i trzymać będę zawsze. Po pierwsze sprawiedliwość nakazuje, jako rajca, często ze sprawiedliwością mam do czynienia. Przyznaję wam, panie cześniku, że gdyby starsza moja dziewczyna nie była przyrzeczona Bajerowi, a młodsza nie za małą, zarazbym ją zeswatał z Lipińskim. Powtóre to przecież dworzanin i ulubieniec Piasta. Myślałem, że z tego przystojnego rodu niemasz już książąt na świecie, a tu na moją pociechę zjawia się jeszcze jeden. Przecież to krewniak naszych mazowieckich książąt, którym my, mieszczenie zawdzięczamy wszystko! Grzeczny ród! królewski ród!

— Jakem katolik, tak przysięgam wam, panie cześniku, że wszystko co na niego ten kusy faryzeusz Trosken powiedział, jest łgarstwem. Czy to można przypuścić, aby taki młokos przybył tu umyślnie robić alianse z wrogami króla i królowej, przemówił znów po chwilowem milczeniu Ginter.

— Wracam prosto z zamku i powiem wam, otwarcie, a wiem to z pewnych ust, że Howerbeck podburzać chciał strasznie posła austryjackiego na nasze rycerstwo, kłął się na wszystkie świętości i oświadczał z przyjaźnią dla króla i królowej, ale mu tam przysolił książdz biskup.

— A my teraz przypieprzemy i wszystko się wyjawi, dodał Ginter.

Tak rozmawiając minęli Świętojańską ulicę i rynek

Starego Miasta. Szli prędko, nie zatrzymując się nigdzie. Dopiero na Nowem Mieście poza kościołem Najświętszej Marji Panny zwolnili kroków. Minawszy dom, należący do bractwa św. Benona, w którym mieścił się szpital i szkoła, stanęli przed niewielkim drewnianym dworkiem. Wsunięty w głąb podwórza, otoczony krzewami, z poza wysokiego parkanu, mało był widziany na zewnątrz ulicy.

Stara Warszawa, z całym szeregiem wysmukłych kamienic i wieżyc kościelnych, z całym przepychem bogactw mieszczańskich się w jej wnętrzach, z dumą patrzyła na małe, zaledwie od ziemi odrastające domki nowej dzielnicy.

Pokaźniejsze ozdoby ganeczki, wzniesione na słupach. Przed niektórymi posadzone drzewa, latem grządki kwiatów, nadawały im miłszy, ponętniejszy wygląd.

Oddalenie od zamku, a więc i od wszystkich głównych tętnic życia, nadawało tej stronie Warszawy charakter więcej wsi, aniżeli miasta. Po ulicach nie wiele kręciło się ludzi. Niedostrzeżonym można było wchodzić i wychodzić z dworków. Z ludzi wpływowych, znanych całemu miastu, rzadko kto się tu pokazywał. Echa ważniejszych wypadków dochodziły tu później.

Z kipiącego gwarem Starego Miasta, jeśli kto zjawiał się, to sprowadzały go zazwyczaj interesy handlowe. Mieszkańcy, zamknięci w obrębie swej dzielnicy, żyli życiem własnem, więcej sielskiem. Mieli swój własny świat radości, zajęć i trosk codziennego życia, swoje szkoły i swoje kościoły. Ze starą Warszawą łączyli się tylko w chwilach ważnych, wstrząsających ogółem. Były to jakby dwa światy, stary, z zasobem bogatych już wspomnień i nowy, budzący się dopiero do czynu i życia. Rajcę Gintera

znali jednak wszyscy i w nowomiejskiej jurydyce. Któż bowiem go nie znał?

Pokrewieństwu i przyjaźni z księdzem Gizą, zawdzięczał swoje stosunki w przedmiejskich jurydykach i pałacach. Kochali go i lubili z nim gawędzić mieszczenie i szlachta.

Do Fierka zaglądał czasem. Dla nowomiejskiego mieszczanina było to wielkie święto. Ujrzawszy nadchodzącego wraz z jakimś kontuszowcem Gintera, Fierek biegł, a raczej toczył się naprzeciwko. Grubas z niego był nielada, mimo tego ruchliwy bardzo, robił wrażenie okrągłej beczki, i tak go też nazywano, dodając, że złotemi podbity jest obręczami. Uchodził za najbogatszego z mieszczan Nowego Miasta.

Powitał uprzejmie przybyłych, przypuszczając, że nowego towarzysza do podróży przyprowadził Ginter, cieszył się, dziękując, iż przy tej okazji pozna znów tak wielce szanowną figurę, jaką musi być naturalnie przyjaciel rajcy Starego Miasta.

— Mości panie Fierek, przerwał Ginter — nie zajmujcie się nami, zupełnie jakby nas tu nie było. Z moim panem sąsiadem — tak umyślnie nazwał cześnika — siądziemy sobie na boku przy lampce tokaju, obrobimy interes który nas tu sprowadził i za chwilę pójdziemy w swoją drogę. Trzeba wam wiedzieć, że spotkaliśmy się w drodze, więc wchodzimy tutaj na pokrzepienie ciała i ducha.

— Oj! co prawda, to prawda! — wtrącił cześnik.

— Ale u was gwaro, nie ma gdzie pewnie przysiąść, zagraniczni goście znów obsiedli ławy. Widocznie smaczny dajesz im tokaj — mówił rajca, chcąc jaknajprędzej otrzymać pożądaną odpowiedź.

Fierek nie znał powodów, które od pewnego czasu sprowadzały licznych a nieznanych gości. Z tego co wiedział, a w co wierzył święcie, bo z na-

tury był dobrowolny i o wszelakiego rodzaju intrygach nie miał nawet pojęcia, tłumaczył się Ginterowi.

— Krewniak mój daleki, który mieszka w Gdańsku, polecił mej opiece jednego z tych kupców niemieckich, chciałby naszemu królowi z zagranicy dostarczyć wszelakich towarów, więc schodzą się do niego różni i jak to w takich razach bywa, o wszelakich rozmawiają handlach.

— My im też przeszkadzać nie będziemy, mamy także swoje kłopoty na głowie — odparł rajca — pozwólcie tylko na chwilę miejsca, wypoczniemy kawałek czasu — to mówiąc Ginter, szybko otworzył drzwi, prowadzące do składu pełnego worów pieprzu i innych korzeni.

Wciągając za sobą cześnika, Ginter szybko nieproszony zajął mały stolik naprzeciwko drzwi stojący. Przez nie wchodził do składu przyciszony gwar rozmów, dym i brzęk szkła.

Cześnik i rajca zajęli stołki i ręką dali znak gospodarzowi, aby co prędzej podał im orzeźwiający napój.

Biesiadnicy tak byli zajęci rozmową, że nikt nie zwracał uwagi na cześnika i Gintera. Zebranych paliła jakaś gorączka, co chwila zrywał się ktoś z ławy, przytrzymywany na miejscu silną ręką Howerbecka i jego towarzysza. Cześnik, rzuciwszy jedno badawcze spojrzenie w głąb izby, poznał odrazu kurfirstowskiego posła. Rej wodził wśród zebranych, mając do pomocy również cudzoziemca, w którym cześnik rozpoznał jednego z zagranicznych posłów.

— Na rany Chrystusa Pana! — zawołał — a toć i tego przybędę wprowadził Howerbeck do domu pana starosty i przedstawił jako handlarza wszelakich zagranicznych olejków i wonności.

— Ha! to widzicie, panie cześniku i przekonacie

się najlepiej, jak to pachną wszystkie te cudzoziemskie olejki — odparł Ginter — Jeśli z nimi nie zrobią porządku, to zawonią tak, że nie tylko nosy, ale i głowy i serca popuchną nam od tych obcych wonności.

— Patrzajcie! to i Trosken jest tutaj! — wykrzyknął cześnik. Zdumienie pana Wodzieradzkiego nie miało granic.

Niespodzianki, na które patrzył, uderzały go jak obuchem w głowę.

— Dalibóg, nie wytrzymam i pracę zacznę z kolei wszystkich — zawołał.

— I ja nie byłbym od tego — wyznał szczerze Ginter — lecz nie poto przyprowadziłem was tutaj, panie cześniku, abyśmy ich wyprali należycie, tylko poto, abyście wiedzieli i komu należy oznajmili, jakich to ta nasza nieszczęśliwa Rzeczpospolita, to nasze stare, pocziwe miasto ma wrogów i nieprzyjaciół.

— Na zamku obełgiwał króla i posła Schafgotscha, tutaj znów obełguje głupich, — mówił załamując dłonie cześnik. — Boże wielki! a spuście też karę na faryzeuszów i obłudników.

Prawa, szlachetna natura starca, gorąco przywiązanego do kraju i króla, nie mogła spokojnie patrzeć na ludzi kupczących własnem i cudzem sumieniem.

— Wstydu w oczach a Boga w sercu nie mają — powtarzał wciąż wzburzony i rozgoryczony.

Tymczasem w izbie robiło się coraz gwarniej. Howerbeck, prosił, przekonywał, w końcu groził zebrany. W tych oracjach dopomagał mu ów niby kupiec olejków, czasami jakieś półsłówko rzucił i Trosken, lecz widocznem było, że nadaremnie z ust kurfirstowskiego posła padały słowa jak z procy, nadaremnie przymilał się i nadszakiwał.

Tych, których pragnął, nie mógł przekonać. Upór i stanowczość wątplych jak sądził jednostek, za-

pałała go coraz więcej. Twarz mieniła się gniewem i wzdargą, był przekonany, że na jedno jego skinienie i słowo padną przed nim na kolana. Tymczasem spotkał się z uporem i odpornością, nawet na złoto, które obiecywał rozdawać.

Niezwalczony począł grozić. Groźba wywołała taki skutek, że jeden z biesiadników, w którym cześnik poznał gorącego niegdyś zwolennika francuskiego kandydata na tron polski, porwał się z ławy, jak wściekły. Trzymany w ręku kielich rzucił na stół z taką siłą, że rozbił się w drobne kawały.

Psubraty! ! jurgieltniki! judasz! to wy myślicie, pieskie dusze, że ja za wasze pieniądze sprzedam moją ziemię rodzinną, mego króla i moje sumienie! Nie doczekanie wasze, wisielce! padalce! szwedzkie kundle! Byłem ci ja coprawda za Francuzem, bom widział w tem dobro dla naszej Rzeczypospolitej, lecz kiedy taka wola Boża i narodu, że nam panuje król Michał, nasz król Piast, to niedoczekanie wasze, abym łączył się z wrogami na jego panowanie abym djabłu zaprzedał duszę. Jeśli znajdziesz takich podłych wisielców, co uwierzą w twoje kłamstwa, to ich bierz w swoje łapy. Złych dosyć jest na świecie ale mnie nie kupisz, nie sprzedam Boga, ojczyzny i króla—wołał rozpaczliwie Grudziński, bo on to był właśnie — nie zerwę sejmu, nie stanę przeciw prawu, nie zaprzedać Schafgotscha i Mayerberga, boć to posłowie brata królowej, a królowa, żona pomazańca boskiego, ojca Rzeczypospolitej.

Rozpacz, ból i gniew szalony miały na przemiany szlachcicem. Słowa padały z ust lawiną, w oczach błyszczały gorące łzy, a ręka machinalnie obejmowała, ścisnęła prawie karabelę.

Cześnik i Ginter stanęli w progu, przyleciał nawet zdyszany i przerażony Fierek.

Howerbeck, spojrzawszy na stojących we drzwiach, skamieniał. Cześnika poznał od razu, widywał go w domu pana starosty spiskiego. Tak zręcznie i tajemniczo budowana intryga wyszła na jaw odrazu. Rad byłby schować się pod ziemię, aby nie widzieć tych wstrętnych ludzi. Paliły go spojrzenia cześnika i Gintera. Chciał uciekać, nogi wrosły mu w ziemię. Ochłonał, przypomniawszy sobie, że po niemiecku mógł cześnik nie rozumieć, że wszystkie jego namowy i obietnice przeszły niepostrzeżenie. Pomylił się, o pomyłce mówiły mu groźne, pełne wzgardy spojrzenia Gintera i Cześnika. Słowa, dyktowane rozpaczą i bólem Grudzińskiego, których nie rozumiał lecz domyślał się znaczenia, przepełniły czarę jego obaw.

Trosken również pomieszany, blady, pierwszy pomyślał o ucieczce, lękał się Gintera i cześnika, wstydził się swej podłości, która go rzuciła w ręce spiskującego Howerbecka.

Wrzawa wzrastała, w miarę jej wzrastało również oburzenie, nawet spokojny, dobroduszny Fierek unosił się gniewem.

— A to kundle jakieś, tatarzy, turki zatwardziały, norę zbójcejką zrobić chciały z mego domu! Włosy dębem na głowie stają na te ich łotrostwa. Wisielce z końca świata! zaprzedańce! pogany!

— Mówię ci, panie gospodarzu, wyświęcić każ izbę swoją po tych zbójach, inaczej błogosławieństwo Boże opuści ciebie — patrząc na wymykających się pośpiesznie Troskena, Howerbecka i mniemanego kupca wonności i olejków, mówił Ginter.

— Wyświęć ich kijami, na nic innego nie zasługują — wołał ktoś z obecnych.

— Matko Częstochowska, nie opuszczajże nas nie-szczęśliwych i chroń od nieprzyjaciół! — dodał znów inny.

Pozostali otoczyli kołem Grudzińskiego. Radzono o podłości uciekających, wymyślano im, odgrażano się zemstą i słuszną karą za popełnione czyny.

Na tle tych wszystkich skarg, złorzeczeń i wykrzykników brzmiał wielkim bólem, jękiem prawie głos Grudzińskiego. Stał obok Gintera i cześnika i ściskając ręką karabelę, wołał drgającym od wzruszenia głosem:

— Zwartym szeregiem stójmy razem i brońmy się panowie bracia! Na rany Chrystusa Pana, brońmy króla i ojczyznę naszą!

— Obcym nie dawajmy posłuchu, bo widzicie, że wszyscy stoją nam na zdradzie — dodał cześnik.

Tak tedy zawsze razem, w imię Boże, razem idźmy pomodlić się przed cudownym obrazem Pana Jezusa, kto wie, czy dzisiejsza chwila nie ochroniła nas od krwawych przejść i boleści — dodał Ginter.

— Matko Częstochowska, królowo nasza! ratuj nas, szeptały już usta obecnych i serca pełne bólu, ale i wiary w jakąś jaśniejszą i pogodniejszą przyszłość.

X.

Krążące od pewnego czasu głucho wieści, jakoby poseł austriacki hrabia Schafgotsch opuścić miał Warszawę, ucichły nagle. Natomiast rozpowiadano głośno, że poseł Howerbeck wyjechał z stolicy. Wiadomość ta sprawiła na mieście dużo radości. Nie lubiono go powszechnie. Tymwięcej jeszcze, gdy rozeszła się wieść, że spiskując przeciw królowi zamącić chciał spokój i siał niezgodę wśród szlachty i rycerstwa. Wiedzano na pewno, że burząc umysły, pracował nad zerwaniem sejmu. A przecież na tym sejmie omawiać miano ważne dla Rzeczypospolitej sprawy.

Na ustach wszystkich brzmiało imię Howerbecka. Rozgorączkowane umysły, jak zwykle w takich razach bywa, przypisywały mu znów nadmiar popełnionych intryg i planów. Na zamku dawno już imię jego łączono z głównymi stronnikami partji francuskiej, wieści te jednak nie wybiegały poza mury zamku. Lecz gdy raz tajonym niechęciom otwarto upusty, dotarły do przedmieść i jurydyk, jak fała obiegły miasto, zajęły umysły i serca wszystkich, oburzały najspokojniejsze nawet jednostki.

Mieszczanom starej Warszawy pierwszy tę wiadomość powtórzył naturalnie Ginter. Naoczny świadek, umiał z całą dokładnością rzecz przedstawić w należytem świetle.

— Powiadam wam — mówił słuchającym go ciekawie rajcom i ławnikom Starej Warszawy — powiadam wam, że takowej wyprawnej gęby jak u tego judasza, to z latarnią w dzień biały szukać trzeba u drugiego człowieka.

Cześnika Wodzieradzkiego, powracającego znów do dworku, otoczyła szlachta, zarzucając tysiącznemi pytaniami.

— Na wołowej skórze nie spiszecie tego, co on nagadał — opowiadał cześnik zasłuchanej i zaciekawionej szlachcie — a zmienił się poganin gdy to mówił, żeby go rodzona nie poznała matka, powiadam wam panowie bracia, że co tchnie, to łgnie. Widziałem na własne oczy, jak tego posła pana Schafgotscha, kiedy się zjechali u pana starosty spiskiego, całował w gębę na lewo i na prawo, że aż miło, ba! byłby go z ochotą nawet i w ucho pocałował, tymczasem za oczami to go malował tak, że odsądził od czci i od wiary. Pies by mu nawet łapy nie chciał dać na powitanie, w takich barwach i w takich obrazach przedstawiał nieboraka. Powiadam wam — powtarzał

staruszek — uszy nam puchły, a włosy jeżyły się na myśl tej przewrotności i obrazy Bożej.

I na wieży marszałkowskiej powtarzano o świeżo zaszłych wypadkach. Opowiadali o nich dozorca, burgrafowie a nawet pachołcy więzienni. Do uszu Oleśka nie doszła jednak ta wiadomość.

U niego było pusto i głucho. Wprawdzie od bytności księdza Gizy i rajcy Gintera czuł się spokojniejszym i pewniejszym na duchu. Wierzył, że mając ich życzliwość i opiekę, nie zginie. Sumienie nie wyrzucało mu zła i grzechów, które mogłyby przyczynić się do jego zguby.

Niewola, samotność niecierpliwiły go jednak. Trzeciego dnia czuł się już tak nieszczęśliwym i opuszczonym, że gadatliwy dozorca, przyzwyczajony do gawęd z więźniami, nie mógł z niego wydobyć ani słowa.

Tęsknił za wszystkimi i gniewał się w myślach na wszystkich. Nawet na tych, którzy nic nie zawinił. Miał żal do rajcy Gintera, że mimo obietnicy nie przyszedł go odwiedzić. Zdawało mu się, że już wszyscy o nim zapomnieli. Ci zaś, którzy życie oddaliby za niego, byli znów daleko i z pomocą przyjść nie mogli. Rozrzewniał się wspominając przeszłość i trwożył, oddalając przyszłość.

Przez mury i kraty wieży marszałkowskiej, w niezbyt jasnych przedstawiała się ona oczom jego obrazach. Piątego dnia obudził się z jaśniejszą i pogodniejszą myślą.

Po kilku słotnych i zimowych dniach zajaśniało znów nad Warszawą słońce. Do ciemnej, pozbawionej także światła izby, wsunął się jego jasny promień. Z nim i nadzieja wstąpiła w serce Lipińskiego.

Opuściło go zwątpienie i zamiast czarnej, trapiącej mary czuł znów nad sobą opiekę serc przyjaznych i życzliwych. Odmówiwszy poranne modlitwy,

począł biegać po izdebce i uprzytomniał sobie swój przyjazd do Warszawy i wszystkie te miłe chwile, które przepędził z nowymi przyjaciółmi. Zapomniał o więzieniu, zdawało mu się, że jest znów w dworku pana Wodzieradzkiego, że patrzy w jasne słodkie oczy panny Bojanowskiej.

Tak zadumanemu bieg myśli przerwał odgłos licznych kroków, skrzyp zawias i odsuwanych rygli.

Lipiński porwał się z miejsca. Przeczul bowiem, że to nie zwyczajni goście.

Za drzwiami słyhać było rozmowy i stuk halabard. Nagle drzwi otworzyły się z łoskotem i do wąskiej izby wsunął się najstarszy burgrabia wieżowy, dalej dozorczy niższego rzędu i cały szereg pachółków i służby.

— Gdzie oni mnie poprowadzą — pomyślał Lipiński — widocznie przyszli po mnie, miny wprawdzie okrutnie gęste, ale znów nie grożące śmiercią — pocieszał się w duszy.

Stanął przy oknie i spokojnie oczekiwał losu.

Tymczasem burgrabia, odkaszlnąwszy kilkakrotnie, wydobyl z zanadrza papier, opatrzony wielkimi pieczęciami, rozwinął go starannie, przypatrywał się z jakąś czcią i uwagą, potem stanąwszy przed Lipińskim, począł odczytywać głośno:

W imieniu marszałka koronnego i w imieniu prześwieznego starosty miasta Warszawy, ogłaszamy tu obecnym i każdemu z osobna, jako urodzony Aleksander Lipiński, Ślązak, z ziemi bytomskiej rodem, dworzanin księcia Krystyana II. Piasta, pana na Brzegu, Lignicy i Wołowie, obwiniony o napad, uczyniony w obrębie murów Starej Warszawy, a dokonany na osobie urodzonego Troskena, dworzanina posła cesarskiego, hrabiego Schafgotscha, takowego napadu nie uczynił, owszem, napadnięty przez niego, bronił tylko

swej czci, sławy i ciała i jako godnego czci i sławy, z wszelkiej odpowiedzialności zwalniamy i po wsze czasy jako wolnego od czynu infamji, łupieży, grabieży i wszelkiego napadu ogłaszamy, wraz z pacholikami na wolność wypuszczamy. Urodzonego zaś Troskena, jako oszczercę i napastnika w obrębie murów naszych i władzy naszej, na grzywny i trzy miesiące więzienia na wieży skazujemy.

Lipiński nie wiedział, kiedy ów wyrok skończył czytać burgrabia. Nie wiedział równie, jakim sposobem znalazł się za murami wieży. Gdyby go kto zapytał, czy sam schodził, czy go też znieśli z stromych, a wysokich schodów, nie umiałby nawet odpowiedzieć.

Był jak odurzony, dopiero płynący od strony Wisły powiew świeżego powietrza otrzeźwił go i przywrócił przytomność.

Odetchnął pełną piersią i wówczas to spostrzegł, stojących przy nim Robotę i Ryboka. Witali go serdecznie, z radością wielką.

Nie dowierzał sam sobie, czy znów jaka nowa a nieoczekiwana niespodzianka nie spotka go i rzuci znów w zamęt bolesnych wypadków.

Obejrzał się wokoło. Drzwi wieży były już zamknięte, straż stała jeszcze, przyzwyczajona do podobnych widoków, bezmyślnie patrzyła na objawy uczuć, szarpiące duszą wypuszczonego na wolność człowieka.

— A to i was wypuścili?—przemówił nareszcie.

— A jakżeby nie, nietylko, że wypuścili czystych na sumieniu i sławie, ale przecie teraz to możemy dochodzić na Troskenie naszej krzywdy. Ale żeby jegomość wiedział, żeby wiedział... — mówił Janek.

— Co ty wiesz? co ty chcesz gadać? — przerwał towarzyszowi Kacperek, to ja będę gadał.

—Widzicie go, on będzie gadał!—odparł urażony Janek.

— Albo ty umiesz gadać, ty masz co do opowiadania? ja, to co innego — z dumą przechwalał się Janek.

— A ja powiadam, że ja wiem lepiej, cały czas o tem przeżywałem.

— Cicho! basalyki! cicho! nie kłócić się — uspokajał pacholków Olesiek, w głębi duszy zaciekawiony był wiadomościami, które mieli się z nim podzielić.—Powiadam wam zawsze, że po starszemu na gałąź, Janek starszy, niechże więc pierwszy mówi.

— A to proszę jegomościa — śpieszył się z odpowiedzią Robota, widocznie z obawy, aby go nie uprzedził Rybok—a to proszę jegomościa, poddózorca Grzędziel ma taką ładną córkę, że piękniejszej nie znajdzie nawet i w Bytomiu, nawet w Piekarach nie ujrzy takiej.

— Łiesz jak wynajęty, bo to nie Grzędziela córka, tylko Grudy — prostował niedokładne wiadomości Janka Kacperek.

Lipiński wybuchnął śmiechem.

— A niechże was armaty ścisną! a niechże was kule pogańskie biją! toście wy o tem bezbożniki w wieży myśleli?

Tak go rozśmieszyli i ubawili, że zapomniał, iż wraca z wieży. Rozweselony, wyglądał raczej na powracającego z uczty jakiej, a nie z celi więziennej.

Skierował kroki w stronę Długiej ulicy. Muszę przecież przybrać się przystojnie, wziąć ładne szaty—myślał—i pożegnać pana cześnika, księdza Gizę oraz wszystkich moich przyjaciół. Muszę także pochylić

się do kolan księżnej Gryzeldy, a potem, potem w dalszą drogę.

Pobyt poza granicami Śląska przedłużał się. Nie spodziewane przyczyny przeciągały go nad miarę. Do Brzegu wzywały go obowiązki, których, chociaż młody jeszcze, rozumiał jednak dobrze, że nie mógł i nie godziło się opuszczać i zaniedbywać. Błada, schorowana twarz księcia Krystyana stawała często w pamięci i przypominała potrzebę powrotu.

— Trzeba jednak wpięć wejść do kościoła i podziękować Bogu za wszystko — myślał, przechodząc koło kościoła OO. Dominikanów na ulicy Freta.

Kościół, jak zwykle około południa był pusty. Na tle tej ciszy i spokoju, majaczyła jak senne widziadło biała postać zakonnika klęczącego w stalach. Siwy jak gołąb staruszek szeptał z cicha „Zdrowaś Marja“ i patrzył w górę, kędy jak obłoki chmur, klębiły się pełne woni, świeże jeszcze dymy kadzideł. Wszedł cicho, tłumił prawie kroki, jakby lękał się przerywać ciszy, która na zboliałe, skłócone jego serce, kładła znanie ukojenia i spokoju.

Pokrzepiony na duchu, szczerą, gorącą modlitwą, opuścił wnętrze świątyni, zdążając ku gospodzie. Czasu nie wiele, a puścić się muszę w drogę—rozważał—ojcowie i książę wyglądają mego powrotu.

— Do stu dziadów! a to kawaler shardział, ani spojrzy, posłyszał za sobą dobrze znany głos Gintera—Szedłem właśnie do was, mości dworzaninie, a wy, jak widzę, nogi za pas i myk z wieży.

— Z Bożą pomocą sprawiedliwość wzięła górę.

— Chwała ci Panie! daj tylko Boże, aby ona zawsze brała górę.

— Lecz widzicie mój przyjacielu, sprawiedliwość jest taka wielka i grzeczna pani, że ludzie od

niej uciekają gdzie pieprz rośnie. Okrutnie jej się boją i nie lubią być z nią w kompanji.

Tu Ginter opowiedział Lipińskiemu wszystko to, co wiedział o Howerbecku, Troskenie i całej sieci podstępnych intryg.

— A że to tacy ludzie na świecie żyją, że też to święta ziemia znosi takich przewrotników—oburzał się Lipiński.

Młody jesteś mój kawalerze, a przystojnej duszy i serca, to nie wiesz jeszcze, że na świecie obok grzecznych kwiatów żyją gady i jeszcze inne jadowite zwierzęta.

— A to żmija! padalec! niedźwiedź!

— A co najlepszego, to, że ów Trosken nie czekając na wyrok, uciekł dziś z miasta. Ksiądz kanonik Giza był dziś na zamku i tam słyszał, jakoby sam hrabia Schafgotsch opowiedział o tem. Przepadł na wieki.

— Mości rajco! taki człowiek, tak łatwo nie przepadnie. Machnie parę kozłów i znów wypłynie.

— Ale już nie u nas, w naszym mieście wyświeciliby go jak łotra. Przecież i wy dochodzić możecie praw swoich i pomścić się na nim za swoją krzywdę.

— Wiem, wyrok na niego wydany, ale niech mu tam rajskie jasności świecą, praw moich dochodzić już niechcę.

— A gdzie teraz śpieszycie?

Lipiński opowiedział swoje zamiary rajcy.

— Jutro już w drogę? Szkoda, żal mi was, da Bóg, zobaczymy się na Śląsku, zresztą, pamiętać o nas będziecie. Wy, dworzanin Piasta, my, Mazury, dzieci Piastów. Jedna krew, wam panuje dzisiaj, nam panowała niegdyś. Przyjdźcie dziś do nas wieczorem, zejdą się panowie sąsiedzi i znów za wasze zdrowie

wypijemy dzban miodu. Dajcie gęby i, do widziska grzeczny kawalerze — żegnał Oleśka Ginter.

I Lipińskiemu nie było wesoło w duszy na myśl odjazdu. Strudzony wrażeniami, zmęczony kilkodniowym siedzeniem w ciasnej, dusznej izbie więziennej potrzebował chociaż chwilowego wypoczynku. Dopominała się o to głowa i serce.

Potrzebował zebrać myśli, uspokoić się, wypocząć moralnie i fizycznie, aby odpowiednio przygotować się do nowych wrażeń.

Trzeba się żegnać i usprawiedliwiać może z zarzutów — myślał — Kto wie, jak ten zatwardziały poganin odmalował mnie przed panną Bojanowską, zdrajcą, heretykiem nazwał, .wszystkiego można się po nim spodziewać.

Ubrał się w najlepsze szaty, kazał okulbaczyć konia i wraz z pacholikami pod wieczór ruszył za bramę krakowską, do dworku pana starosty spiskiego.

Najprzód przecież muszę pokłonić się matce króla — myślał, jadąc wzdłuż domów, pałaców pańskich i dworków szlacheckich, ciągnących się poza bramą krakowską aż do Jazdowa.

W drodze opanował go jakiś lęk, może lepiej zawrócić i nie żegnając się z nikim jechać prosto do domu i swoich? Lecz cóżto — pomyślał — jak podły tchórz będę się lękał ludzi dobrych i zacnych. Będę uciekał jak ów Trosken? Spiał konia, aby prędzej i żywiej dostać się do dworku.

Księżnę Gryzeldę zastał Lipiński w domu. Zastopiona w głębokich i nie wesołych myślach dostojna pani szła tuwałnią do fary. Dowiedziawszy się o przyjeździe dworzanina Piasta, kazała go zaraz przywołać do siebie i pierwsza żywym, serdecznym pytaniem ośmieliła go i dodała odwagi.

— Wiem od mego syna i króla, żeście mości dworzaninie smutne przeszli koleje. Dobrze się jednak wszystko skończyło, z moją i syna mego radością. Przyjechaliście do mnie, więc rada wam jestem za wszystko i powtarzam raz jeszcze, że wielkiem ukontentowaniem wezbrało moje serce na wieść, że jesteście znów jako ptak wolny.

— Miłościwa pani, pociecha to wielka dla mnie, że dalsieście posłuch memu smutkowi. Wolny od hańby powracam do domu, dla moich rodzicieli byłoby to największem nieszczęściem, gdybym splamił duszę moją zdradą i połączył się z przeciwnikami króla i Rzeczypospolitej.

Księżna Gryzelda, jak zwykle, pełna dobroci dla wszystkich, wzruszona szczerością słów Lipińskiego, zegnała go bardzo serdecznie.

— Jedźcie, mości dworzaninie, mówiła, zawieźcie pozdrowienie waszemu księciu i panu, oraz waszej rodzinie. Niechaj nad nim i nad nią czuwa opieka święta. Mój syn żałuje, że was widzieć nie mógł. Liczne przeciwności stanęły mu na przeszkodzie. Jedźcie z Bogiem i żyjcie na waszym Śląsku z Bogiem, a gdy znów zawitacie do Warszawy, niechaj waszej bytności jasne przyświeca słońce.

Lipiński przeczuwał, że księżna wiedziała o jego miłości i w dobroci swego serca chciała mu temi słowami sprawić radość serca i pociechę.

— Zaczna, dobra, jedyna pani — myślał — opuszczając progi jej domu. Do głębi duszy wzruszony był dobrocią matki króla Michała. Chciał jeszcze pokłonić się panu staroście spiskiemu, lecz nie zastał go w domu. Wraz z żoną pojechał na zamek.

Wiadomość ta ucieszyła Lipińskiego. Wiedział bowiem dobrze, że podczas kiedy pani starościna przebywała na zamku, panna Bojanowska bawiła zaw-

sze w domu wuja. Śpieszył więc do dworku, pełen jednak obawy i niepokoju. Idąc zadawał sobie pytanie: zali przyjmą i powitają jak brata? zali odbiorą nadzieję i pociechę życia?

W skromnym i cichym dworku pana Wodzie-radzkiego zastał wszystkich zebranych w komnacie miecznikowej.

Cześnik, spostrzegłszy przez okno Lipińskiego, podszedł na jego powitanie i wprowadziwszy do komnaty, mówił rozweselony:

— A chodźcie mości dworzaninie, chodźcie opowiedzieć wszystko mojej pani matce, niechaj matula dobrze przypatrzy się młokosowi, siła zażył już przygód—dodał—zwracając się ze słowami do matki.

Lipiński z czcią głęboką pochylił się do kolan staruszki, siedzącej przy niej pannie Bojanowskiej oddał również ukłon głęboki.

Basia podniosła się z ławki przerażona i niepewna co czynić. Rada była schować się choćby pod ziemię.

Lękała się pierwszego spotkania z Lipińskim. Spuściwszy oczy, stanęła przy babce, raczej do posągu, aniżeli do żyjącej osoby podobna.

Wiedziała, że Olesiek był niewinny, lecz nie-wiedziała, jaki wyrok z ust jego usłyszy. Przyjaciela on? czy też zrażony przeciwnościami, zapomniał o grzecznych słowach? — zadawała sobie w myśli pytania.

Podobne obawy i przeczucia przejmowały duszę Oleśka.

— Może i gadać zemną nie będzie chciała? może nie uwierzy, że niewinnie oczernili go wrogowie?

Z wielką obawą i nieśmiałością spojrzeli nako-niec sobie w oczy. A podczas, gdy między młodymi

nawiażywała się niema, lecz bardzo wymowna rozmowa, cześnik powtarzał rozradowany:

— A dobrze też, a Chwała Bogu, żeście do nas przyszli, właśnie mnie wielce ukochanej pani matce opowiadałem o niegodziwościach wszelakiego hultajstwa, co nas jako mszyce obsiadają i niszczą zdrowe i urodziwe drzewo.

Pani miecznikowa wzburzona słuchała opowiadań syna.

— Siła złego spada na tę naszą Ojczyznę, jeśli jednak mamy Panienkę Częstochowską za sobą, to już nie zginiemy, tylko trwajmy uczciwie w wierze świętej, a ona nas nie opuści.

— Jako nas nie opuściła dotąd i wygnała Szweda z granic Rzeczypospolitej — dodał do słów miecznikowej Lipiński. — Jako kochająca matka nie zapomni i o innych nieprzyjaciolach i z resztą pogaństwa przystojny porządek uczyni także.

— Grzeczna odpowiedź, godna chrześcijańskiego serca — wtrąciła pani miecznikowa.

— Zaczyna krew, uczciwa krew widocznie płynie w twoich żyłach, skoro umiesz takimi słowami przemawiać — zauważył cześnik — jesteś sługą Najświętszej Panny i nie ulęknieś się jak widzę bisurmanina.

— Ani też wszelakiej nieczystości, jeśli będzie chciała gnieździć się na naszych ziemiach — dodał Lipiński.

Odwaga i nadzieja z każdym słowem cześnika wstępowała do duszy Oleśka. Rozmowa stała się coraz więcej ożywioną. Pani miecznikowaypytywała o wszystkie szczegóły i zajścia w podróży. Opowiadał jej o pobycie swoim w wieży marszałkowskiej, w końcu po raz dziesiąty powtarzano o bytności u Fierka, odjeździe Howerbecka i związanych z jego imieniem okolicznościach. Staruszkę w podziw wpra-

wiała przewrotność ludzka, tak daleka od jej czystej i szlacheckiej natury.

— To tylko całe szczęście—powtarzała—że nie wielkiego to narodu poseł zgrzeszył przeciw Rzeczypospolitej i naszemu królowi. Z wielkiego, szlacheckiego narodu ludzie, nawet w złych terminach i zamysłach nie mają tak do szczeru zepsutej duszy. Ciężkie, smutne czasy, wzdychała pani miesznikowa, przenosząc się myślą w inne, jaśniejsze chwile życia.

— Zaczynają już zorze świtać — pocieszał cześnik matkę — Miłościwy król nasz wraz z małżonką, mają wyjechać do obozu pod Lublińcem. Na zamku i wśród rycerstwa radość, w tym wyjeździe widzą zapowiedź bliskiej wyprawy na Turka. Chmara tego paskudztwa gromadzi się wokoło Kamieńca, zanieczyszczają powietrze i ziemię naszą. A teraz w pole! w pole! panowie bracia! na wroga wiary świętej — zapalał się cześnik.

Życie całe poświęcimy w obronie jej — dodał dworzanin Piasta.

Zapał rósł, rozmowa stawała się coraz poufniejszą, coraz głębiej w duszę Oleśka wkradały się oczy Basi i coraz szybciej niestety czas przypominał wszystkim, że nadchodzi godzina rozstania.

Pożegnany serdecznie przez cześnika, z błogosławieństwem pani miecznikowej opuszczał Lipiński progi dworku.

— Tuk mój chłopcze, da Bóg zobaczymy się jeszcze, jeśli dalszem życiem przysłużysz się Pannie Najświętszej i Ojczyźnie, to jako grzecznego kawalera przyjmujemy cię pod naszym dachem, kiedy już Baśka nie jest tobie przeciwną — usłyszał na pożegnanie odpowiedź cześnika.

Z panną Bojanowską najtrudniejsze było rozstanie. Hej! mocny Boże! myślał — gdyby nie obowiązki

względem księcia, hakami nie wyciągnęli by mnie z Warszawy.

— Więzienie było i jest mi, jak widzę—mówił—przeznaczone w tem lubem i godnem mieście. Jęczałem naprzód w wieży marszałkowskiej, jęczę teraz w jassyr wzięty przez waćpannę, jeno że z tej niewoli żadną siłą nie dam się wyrwać, bo jest mi słodka, jak miód w plastrach. Raczej wszystkim Turkom i Tatarom łby poucinam, azali komu innemu odstąpię ten mój jassyr. Niechaj jeno waćpanna zachowa w swoim sercu dla mnie grzeczny kącik, a z Bożą pomocą zjawię się znów w tym prastarem mieście, już nie jako poseł księcia Piasta, lecz jako poseł własnego serca a waćpanny dworzanin.

— Grzeczniemi zamiarami kieruje zawsze wola Boża, a ja z wolą Bożą zgadzam się, jej tylko słucham i słuchać pragnę — brzmiała cicha, pokorna odpowiedź Basi.

Lipiński chwycił za serca wszystkich, całą rodzinę. Przestali się dziwić, że od pierwszej chwili ujął tak Basię.

— Prawdę a Bogiem — żeby nie ubliżyć pani matce — po odjeździe Lipińskiego mówił pan cześnik do pani miecznikowej — to człowiek głupi był nieprzymierzając jak wołowe nogi, myślałem przecie, że tam na tym Śląsku to same niedowiarki, pogany jakieś, a tu Panie, ludzie jako i my, chłopcy istne dęby, rozum u nich gładki a serce tkliwe jako masło, przylepi się do człowieka, że go i oderwać trudno, zaraz poznasz bratku że to swói, że jedna matka nas rodziła i karmiła.

Przyszedłszy na Stare miasto, u rajcy Gintera, Lipiński zastał gromadkę najbliższych przyjaciół a zwykłych jego gości. I tu, podobnie jak w domu pana cześnika, rozmowa wszystkich obracała się wciąż około

jednej sprawy, urągano Howerbeckowi i jego zamiarom, oburzano się na samą myśl podstępnych intryg i knowań. Odkrycie planów kurfirstowskiego posła nadzieja nowej walki z Turczyńnem zajmowały umysły wszystkich.

Jak u szlachty i rycerstwa, którego lata upływały wśród szczęku broni i świstu kul, tak i na tle cichego życia mieszczan warszawskich jak złota nić błyszczała nadzieja walki i zwycięstwa.

Choć sami, jak to było ówczesnym zwyczajem, nie brali czynnego udziału w boju, porywała ich jednak fala wypadków.

Echo krwawych walk znajdowało odbicie w komnatach rajców i ławników Warszawy.

Podburzone ostatniemi wypadkami umysły, paliła nadzieja wojny. Gotowało się wszystkim w głowach, słuchając opowiadań Gintera. Po raz dziesiąty powtarzał z najdrobniejszymi szczegółami o wypadkach zaszłych u Fierka. Nawet spokojny zazwyczaj ławnik Długosz zżymał się i gniewał.

— Oczywiście palec Boży kierował waszemi krokami—mówił—inaczej, kto wie, co by się dotychczas przygodziło naszemu królowi i nam jego sługom.

— Ho! ho! mości kumotrze, nie tak to łatwo zgnieść nas i naszego króla Michała, chociaż taki łagodny i dobry nawet dla nieprzyjaciół, — twierdził Ginter.—Dla porządku jednak powinnyby ukarać srogo Howerbecka i jego przyjaciół. Niechajby takie plugastwo nie zanieczyszczało nam powietrza.

— To gorsze od Turka i Tatara, jeszcze kto wie, mogło być przyjść do wojny domowej i krwi bratniej rozlewu—wtrącił ktoś z obecnych.

— Wypluj waćpan te słowa, wypluj, aby w złą niewymówić godzinę—wrzasnął przerażony samą myślą takich rezultatów Ginter. — Do takiego nieszczęścia

nie przyjdzie, lecz co racja to racja, kara ostra przydałaby się wszystkim. A może też nie ujdzie im płazem?

Obecni spojrzeli pytająco na Bajera.

Jako pisarz królewskiego skarbu, najbliższym był zamku. Miewał zawsze dokładne wiadomości, sprawiedliwe i słowom jego wierzyli mieszczanie. Gintor w przyszłym swoim zięciu szanował rozum i znajomość dworskich i rycerskich stosunków.

Bajer, widząc oczy wszystkich zwrócone na siebie, oczekujące stanowczej odpowiedzi, zabrał głos:

— O ukaraniu wichrzycieli myślał król, myślą i panowie, ale inna, ważniejsza sprawa panuje nad myślami i uczuciami naszego króla. W tych dniach, wraz z królową, wyjeżdżają do obozu pod Lublinem pono ściągają tam wszystkie wojska, aby całemi siłami uderzyć na wroga Rzeczypospolitej i całego chrześcijaństwa. Matko Najświętsza! błogosław tylko jego zamiarom i prowadź go szczęśliwie ku chwale Boga i naszego narodu!

Błogosław go Panie! — powtórzyli za Bajerem zgromadzeni goście — niechaj walczy i broni nas wszystkich przed wrogiem.

Cisza zaległa komnatę, zdawało się, że wszyscy w duszy odmawiają modlitwę na intencję zapowiedzianej wojny. Tem większe więc zdziwienie wywołały słowa młodego Gintera. W tę chwilową ciszę spłynęły jak zapowiedź smutku i nieszczęścia.

— A jak król pójdzie i zginie, to cóż będziemy robić, kto nam da pomoc? Zginął nam pod Warną król Władysław i nikt nie ujął się za nami, nie bronił naszej Rzeczypospolitej, zginiemy wszyscy jeszcze, zmarnujemy się w tych walkach i król nam zginie.

Młodzieniec siedział na uboczu, dotąd milczący, bo nie było zwyczaju, aby młodzian śmiał odzywać się wobec starszych.

Wśród mieszczaństwa, tak samo jak i wśród szlachty, zwyczaj ten surowo był zachowywany. Słowa jego zwróciły uwagę obecnych, spojrzeli na niego wszyscy. Chłopak sam przeraził się swoją odwagą, zbladł i w niepewności oczekiwał skarcenia za śmiałość, jakiej się dopuścił.

Lecz burza nie spadała na głowę wyrostka, uwaga jego zatrwożyła, lecz nie oburzyła zebranych.

Spoglądali na siebie wzajemnie, wzrokiem zadawali sobie pytania, skąd w tym chłopaku znalazło się tyle odwagi i przezorności.

— A to nam młokos zajechał — zawołał pierwszy Długosz — gołowas z niego, ale do rady dobry.

— Boi się o króla, szanuje majestat królewski — dodał ktoś z obecnych.

A chłopak stał w kącie komnaty, patrzył palącymi oczami, chciał coś mówić, lecz ze strachu zamierały mu słowa na ustach.

Bajer zbliżył się pierwszy do niego.

— Nie bój się Jędrak, nie, nie zginiemy jeszcze, choćby i król zginął na wojnie, broń Chryste Panie Boże! to naród jeszcze nie zginie i Rzeczpospolita żyć będzie. Męczeńska śmierć króla Władysława wyblagała dla naszego narodu łaskę Bożą i przebaczenie za liczne grzechy. Bądź spokojny — Jędrak — powstał pisarz skarbu królewskiego — królowi towarzyszyć będą modlitwy wszystkich wiernych. Nie zginiemy, da Bóg i Matka Najświętsza.

— Oczywiście, żaden naród zginać nie może, choćby nawet i król zginął — zauważył Lipiński. — Miarkuję to sobie po nas. Na ten przykład, na naszym Śląsku mieliśmy już własnych, rodzonych książąt, Bóg zabrał jednych, inni nas opuścili, byli i tacy, co zginęli na wojnie, teraz w Bytomskim, mamy nad sobą cesarza naprzykład, odchodzi jeden pan, przy-

chodzi drugi, a my zawsze żyjemy, mamy swoją mowę, swego Boga nad nami i swoją rodzeniuteńką ziemię pod stopami.

— A niechże cię gęsi zdepczą, panie bracie — wrzasnął Oleśkowi nad głową uradowany Ginter — Waćpan mości dworzaninie cały wieczór milczysz, jak urzeczony, lecz powiedziawszy słowo, wszystkim wpa-kowałeś się do serca i głowy, nie przymierzając jakby ktoś świdrem wiercił i wkręcał się. A niechże cię nie znam, co z waści za głowacz, choć dzisiaj pełen smutku i efektu. Strasznie wam widać Barbara zajechała w głowę, kolasą królewską prędej z niej wyjedzie, aniżeli takowy sentyment, gdy raz człowieka ogarnie.

Ba! ba! na każdego przyjdzie mróz, nie wykręcić się sianem z takowej imprezy.

— Stary i młody padnie ofiarą, gdy przyjdzie na niego chwila, zauważył Długosz.

Dwaj się wdowie zalecali,
Stary wielki, młody mały,
I wołała poziomego,
Aniżeli wielkiego,
To grzyb, ty jako jagoda,
Trudna zgoda, z ogniem woda.

Zaśpiewał rozochocony Ginter, chcąc nutą wesolej pieśni zachęcić obecnych do gwaru i wesela.

— To mi się podoba! to aż miło! — wołał Długosz. — śpiewajcie kmotrze.

— Zamiast wydziwiać, wychylmy lepiej dzban miodu na zdrowie panny Bojanowskiej i pana cześnika — radził Bajer.

— A niech nam żyją setne lata — wołano wo-koło i wychylono zkolei zdrowie cześnika, Basi, Oleśka, rodziny jego, wreszcie wiwatowano na cześć Śląska, Rzeczypospolitej, króla Michała i przyszłych zwycięzców.

XI.

Nie mylił się Ginter, twierdząc, iż Basia opanowała myśli i uczucia Lipińskiego. Ciężko mu było opuszczać Warszawę.

Kiedy nazajutrz z rana wraz z swemi pacholikami znalazł się poza murami miasta, gdy minął bramę krakowską i jurydyki podmiejskie, zdawało mu się, że świat cały runął w przepaść.

Puszczę bezdenną widział dokoła. Rad byłby jeszcze na chwilę wrócić do miasta i znaleźć się w dworku pana cześnika. Powstrzymywała go myśl o księciu i obowiązkach, których nie mógł ponieierać. Jechał milczący i zamknięty w sobie. Prawie całą drogę rozpamiętywał wrażenia przeżyte w Warszawie.

Pobył w wieży, spotkanie z Troskenem, jako złe, ujemne obrazy owych dni, pierzchły bezpowrotnie.

Natomiast wciąż przed oczyma stała jasna postać Basi, oraz pocziwe, przyjazne twarze rycerstwa i mieszczan warszawskich. Daremnie Rybok i Robota wesołemi gawędami starali się odwrócić i zająć myśli Lipińskiego. Olesiek, ochoczy zawsze do zapoznawania się z ludźmi, nie szukał nowych znajomości, wołał myśleć o tych, których zostawił poza sobą, lub cieszyć się nadzieją ujrzenia swoich, za którymi ogarniała go chwilami tęsknota. Miał przecież tyle do opowiadania. Zarzucał mnie pytaniami — myślał — nie zdążę wszystkim odpowiadać i czy tylko będę umiał wysłać należycie wszystkie te cuda i piękności, czy dość będę umiał słać dobroć, serce i ludzkość pocziwych braci.

Droga długa i męcząca wlokła się powoli, wstępów po drodze nie czynili żadnych. Omijali starannie miasta, aby nie mieć powodu do dłuższego w nich pobytu. Po karczmach i gospodach zatrzymywali się o tyle, o ile wymagały tego popasy lub noce.

Olesiek spieszył do Częstochowy — tam tylko — rozmyślał, zatrzymam się dłużej, padnę do stóp Najświętszej Panny i błagać ją będę o pomoc, radę i opiekę w życiu dla siebie i wszystkich moich drogich.

Tyle nasłuchiwał się o tem wielkiem, świętem miejscu, tak przejęty był czcią ku tym drogim pamiątkom, że gdy trzeciego dnia podróży spostrzegł błyszczące na błękitnem tle nieba wieżycę jasnogórskiego klasztoru, poprostu lęk go ogarniał. Azali godnym jestem tego szczęścia — bił się w piersi — azali wolno mi paść na kolana i patrzeć w oblicze królowej nieba i ziemi.

Zeskoczył z konia, za nim Janek i Kacperek padli na ziemię i długą, długą chwilę z zapartym oddechem, modlili się szczerze i gorąco.

— To chyba nie miasto, nie Częstochowa, nie klasztor, a niebo same — odezwał się Robota, gdy wraz z Lipińskim stanął w progu kościoła.

— Prawdę rzekłeś chłopcze, że tu jest niebo, bo tu jest królestwo Najświętszej Panny — odparł Lipiński.

Mówić dalej nie mógł, bo z góry spływać zaczęła muzyka, niby kapela cała, taka jakiej nigdy jeszcze w życiu nie słyszał. Porwany jej nutą, wraz z falą pieśni wszedł do wnętrza kościoła, przedarł się przez rozkłęzione i rozmodlone tłumy ludu i dotarł aż do kaplicy Najświętszej Panny.

Olesiek odczuł, że jest w miejscu wielkiem, świętem, że wszystko to, co mu dotąd opowiadali, jest jeszcze niczem wobec majestatu miejsca i pamiątek. Drżący spogląda na ołtarz. Siwowłosa, wyniosły staruszek odprawia nieszpory. Kaplicę całą rozjaśniają blado purpurowe blaski, błyszczą roje światła i kosztownych kamieni, a od obrazu i od starca rozmodlo-

nego bije taka potęga, taka siła, że Olesiek krzyżem pada na ziemię i ręce wyciąga w górę ku jasnej przeczystej twarzy Panny Najświętszej.

Beatus vir, qui timet, błogosławiony mąż, który się boi Pana—śpiewał przed ołtarzem staruszek.

Lipiński słysząc te słowa, składał przysięgę w duszy.

— Boję się Ciebie o Panie i przysięgam bać się Ciebie wiecznie i kochać tylko to, co Ty nakazujesz. Przysięgam być wiernym Bogu, ojców mowie i wierze i ślubu tego nie złamię nigdy, — powtarzał w duszy.

Modlił się długo.

Umilkły pieśni, światła pogasły, rozwiały się dymy kadzideł, rozeszły gromadki wiernych a on klęczał jeszcze zapatrzony w nieziemskie blaski, co całą falą płynęły od tronu Matki Zbawiciela.

Ciche słowa braciszka klasztornego, który z kluczami w dłoni zbliżył się do drzwi kaplicy, przerwały jego modlitwę.

— Muszę zamykać, ksiądz Kordecki skończył już nieszpory.

Lipiński porwał się z kolan.

— To był ksiądz Kordecki! on! — zawołał — a oczy błysły mu radością.

— A tak, ksiądz przeor, rzadko wychodzi z celi, już bardzo słabiutki, aleście dzisiaj trafili szczęśliwie. Stąd też takie tłumy w kaplicy pobożnych.

— Boże! gdyby go widzieć jeszcze, gdyby z nim mówić — wyrwał się okrzyk z piersi Lipińskiego.

— Toście widzę obcy człowiek, pierwszy raz u nas, a skąd? — pytał braciszek.

— Ślązak jestem, od Bytomia.

— Chętnie was przywita ksiądz Kordecki, Ślązaków bardzo lubi. Chodźcie, zaprowadzę was.

Przez krążganki i liczne korytarze, wiódł braciszek Lipińskiego.

Olesiek cały był jak w ogniu. Zdawało mu się, że słyszy odgłos surmy bojowej, że trąby szwedzkie wzywają zakonników do poddania się. Wszystko widzi jasno, jak na dłoni, nawet rycerstwo dzielne. Wodzowie Zamojski i Czarniecki stoją jakby przy nim, na wałach pękają kule szwedzkie. Białe szaty mnichów migają wśród ognia i dymu. Mueller i Wrzeszczowicz wymierzają działa na klasztor, na obraz Panienki Przeczystej, lecz tego obrazu strzeże ksiądz Kordecki, wychodzi na wały sługa Marji, on ocali, obroni. Jezusie! — pomyślał Olesiek, a w głowie szumiało mu i wrzało — za chwilę ja tego obrońcę zobaczę, będę z nim mówił, będę na niego patrzył. — Radość, wzruszenie rozsadzały mu piersi.

— Illustrissime Pater — przemówił z cicha braciszek, odchylając drzwi celi, przed którą stanęli. Podróżny ze Śląska, od Bytomia pragnie wam pokłonić się.

Staruszek klęczał nad brewiarzem. Jasne, płonące jakimś dziwnym blaskiem źrenice utkwili w Lipińskim.

— Swój? nasz? — zapytał podnosząc się z klęczek.

— Swój, swój — odparł Olesiek i z płaczem przypadł do starca, oblewając łzami bosc nogi i białą jego szatę.

Długą chwilę czekać musiał ksiądz Kordecki, zanim Lipiński uspokoił się, powstrzymał łzy i mógł odpowiadać na jego zapytania.

Tak chyba wyglądali święci Pańscy i takimi pewnie byli — myślał Olesiek, patrząc na wyniosłą postać zbawcy Częstochowy. Słuchał jego słów, jak

pieśni kościelnej, taka z nich była prawda, czystość i potęga.

— Jeśliś od Śląska, to rad witam ciebie, bo Ślązacy to ukochane dzieci naszej świętej Matuchny. Wszakże to wasz książę Śląski Władysław Opolski w 1382 roku osadził tu na Jasnej Górze OO. Paulinów i obraz Najświętszej Panny na wyraźne jej objawienie i życzenie z Bełza, nad którym panował także, przywiózł tutaj i tu, na tem miejscu stanął jej przybytek. Najświętsza Panna kocha macierzyńskiem sercem wernych Ślązaków. Idź! młodzieńcze, idź! i powiedz swoim braciom, że Panna Najświętsza kocha was jako swoje dzieci. Powiedz, że z wyżyn, na których stoi jej świątynia, spogląda na Śląską ziemię, bo to jej ziemia jedna i ta sama, ona was nie opuści i strzedz będzie wieki całe przez wszystkie burze życia, tylko pamiętajcie wszyscy, że to jedna wspólna nam i wam ziemia.

Umyślnie tak zrządziła wola Najświętszej Panny, aby wam pokazać, że takie silne i niczem i przez nikogo nie złamane łączą nas węzły, że ona jedna nam i wam króluje, tylko pamiętajcie bracia, że nas łączy jedna Panna Najświętsza, jedna ziemia i jedna wspólna nam mowa i modlitwa, brzmiały proroczo natchnione słowa księdza Kordeckiego.

— Wspólna mowa, wspólna ziemia i wspólna modlitwa, powtarzał Lipiński drżącemi ustami, rozmodlony, zapatrzony jak w obraz święty w twarz obrońcy Częstochowy.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

JÓZEF LOMPA

ŻYCIORYS OGŁOSZONY W TOMIE VII ENCYKLOPEDJI WYCHOWAWCZEJ WYDAWANEJ POD KIERUNKIEM ROMANA PLENKIEWICZA¹⁾.

W historii odrodzenia Górnego Śląska, działalność Józefa Lompy pierwszorzędne zajmuje miejsce. Przypada ona na czasy, w których ludność polska na Górnym Śląsku, mimo nieświadomości, w jakiej była pogrążona, instynktownie, odruchowo nieomal odczuwała potrzebę zrzucenia z siebie przymusowej letargicznej szaty. Z całego obszaru ziem polskich górnośląska ludność była pierwszą, która nauczyła się czytać. Do książki, drukowanej w języku ojczystym, wyciągano dłonie. Obrażnicy i introligatorzy, księgarzami zwani objeżdżając wsie i miasteczka, sprzedawali książki i modlitewniki polskie. Książki te nie odpowiadały celowi i nie nauczały ludu. Dopiero Józef Lompa utrafił w odpowiedni ton. Skromny nauczyciel ludowy, ograniczony środkami materialnymi i brakiem czasu, znajduje go jednak na różne, dotąd puste, nie poorane pola. Wszystkimi drogami trafia do umysłu i serca górnośląskiego ludu. Urodzony dnia 29 czerwca 1797 roku, w mieście Oleśno (Rosenberg)²⁾ na Górnym Śląsku, był synem Michała, właściciela małego sklepiku i Józefy Strożyk z Dobrodzienia. Zwyczajem naszego ludu i małomieszczaństwa marze-

¹⁾ Str. 214—216, w roku 1909.

²⁾ Dziś stacja kolei prawego brzegu Odry.

niem rodziców chłopca było widzieć go księdzem, a przynajmniej organistą. Chłopiec od najmłodszych lat zdradzał ogromne zamiłowanie do muzyki; mając lat 12, bez nauki, bez najmniejszych wskazówek, sam nauczył się grać na organach i na skrzypcach. Często bardzo śpiewał nawet na chórze w czasie summy w parafjalnym kościele w Oleśnie. Te względy skłoniły właśnie rodziców Józefa, że go oddali do klasztoru ks. ks. Reformatów w Wieluniu. Tu czternastoletni chłopiec pełnić miał obowiązki organisty i jednocześnie uczęszczać do istniejących tam szkół piarskich. Niedługo jednak przebywał w murach klasztoru. Rozgoryczony namowami zakonników, którzy go zachęcali do przywdziania sukni zakonnej, potajemnie opuścił klasztor i powrócił do Oleśna. W rodzinnem mieście czas jakiś pełnił obowiązki protokółisty, następnie tłumacza sądowego. Zajęcia te nudne i mechaniczne nie odpowiadały Lompie. Zarobiwszy trochę grosza, udał się do Wrocławia i wstąpił do seminarjum nauczycielskiego. Wtedy to zrozumiał, że jest na odpowiedniej drodze. Z zamiłowaniem oddał się nauce i pracy, której rezultatem było chlubne ukończenie seminarjum. Dzięki świetnemu świadectwu, w 1817 r., mając lat 20, otrzymał posadę nauczyciela w Łomnicy, w powiecie Oleskim. Po kilku latach przeniesiony został do Lublińca, wreszcie do wsi Lubszy, gdzie przeszło trzydzieści lat życia poświęcił ciężkiej, lecz owocnej pracy nauczyciela wiejskiego.

Na duchowy rozwój Lompy bardzo dodatnio wpływała korespondencja z księdzem Józefem Bensią, bratem pierwszej jego żony Marji, córki nauczyciela z Sternalic, znanego podówczas pasiecznika. Była to jeszcze epoka w której księża górnośląscy nie mieszały się w żadne polityczne hece i nie wytwarzali całego szeregu zgubnych działaczy. Przeciwnie, z zamiłowaniem

pracowali dla powierzonego ich kapłańskiej opiece polskiego ludu. Wchwili, gdy Lompa obejmował stanowisko nauczyciela wiejskiego, lud na Górnym Szląsku korzystał wyłącznie z wydawnictw dawniejszych, drukowanych w końcu ośmnastego wieku w drukarni Korna w Wrocławiu, bądź tamże w jezuickiej drukarni, lub też wreszcie u Belitza w Opolu. Książki rozszerzane przez obraźników i introligatorów, były to przeważnie fantastyczne powieści o siedmiu mędracach, o Sylfrydzie, Gryzeldzie, pieśni o bogaczu i ubogim Łazarzu, a nawet pieśń o Laurze i Filonie Karpińskiego zabawiała lud polski. Wszystkie te książki nie nauczały go jednak; brak podręczników był przy nauczaniu. Lompa pierwszy wypełnił te braki. Żyć się z ludem wiejskim, wtajemniczenie się w jego pragnienia i potrzeby ducha, podyktowało mu cały szereg prac, pouczających i rozwijających chęć do czytelnictwa. Dość tylko wymienić ważniejsze, jak „Historja Szląska“ dla szkół elementarnych, kilkakrotnie wydana w Opolu. Pierwsze dwa nakłady ukazały się w 1821 i 1822 roku. W roku 1833 napisał i wydał w Gliwicach „Pieśni religijne“, pierwszy wogóle zbiór pieśni kościelnych polskich. W tymże samym roku ukazały się „Pieśni na uroczystość Bożego Ciała“, a w rok później wydaje „Pielgrzyma w Lubopolu“, na wzór Pielgrzyma z Dobromila, napisaną historję Śląska. Jednocześnie pisze i wydaje popularną „Historję naturalną dla szkół elementarnych i „Popularną geografję Szląska“, wreszcie „Opis jadowitych roślin“, „Wzory kaligraficzne“ dla szkół i „Nowe udoskonalone pszczelnictwo“, wydane w 1859 roku. Poza temi pracami, w spuściźnie po Lompie, pozostał cały szereg artykułów różnej treści i miary, zawsze pouczających lud, a rozrzuconych po wszystkich prawie polskich czasopismach, wychodzących w Księstwie Poznańskim,

lub na Górnym Śląsku. W roku 1849 prowadzi redakcję wychodzącego podówczas w Bytomiu „Dziennika Górnośląskiego“. Zbierał przytem pieśni, klechdy i podania ludowe. Tłumaczył z niemieckiego oraz pisał oryginalne powieści, jak „Chłopiec niewidomy“, „Mały górnik“ i „Kruszce srebrne w wieku 14 i 15“. Fantastyczne przekłady historii „O szlachetnej Meluzynie“ lub o „Margrabi Walterze“, dzięki narodowej treści, długie bardzo lata stanowiły ulubioną literaturę górnośląskiego ludu. Polacy na Górnym Śląsku dziś, podobnie jak i za czasów Lompy, przedewszystkiem mają upodobanie w literaturze, że tak powiem, miejscowej. Wszystko co napisane i wydane na miejscu, co ma koloryt swojski, posiadało dla ludu wielki urok i zaciekawiało go. Lompa odczuł to upodobanie i stąd też pisał i wydawał z każdej prawie gałęzi wiedzy. Jako nauczyciel był wzorowy, wykład jego jasny, zrozumiały, trafiał doskonale do pojęć ludu, który w przebudzeniu się ze snu, stawiał dopiero pierwsze kroki. Wykładem swoim pociągał uczniów; przywiązywał ich do języka ojczystego i szersze otwierał przed ich wzrokiem światy. Narysowana przez Lompę mapa i wydana przy geografji Śląska w 1873 roku, dała poznać górnoślązacom obszar zamieszkaney przez nich ziemi, uczyła ich i przekonywała o łączności językowej wszystkich powiatów. Każda książka, każda rozprawka Lompy, miała charakter pouczający. Treścią swoją i jasnością słowa, przystępną dla ówczesnego poziomu umysłowego ludu stawała się potrzebną i konieczną w chatach polskich. Szkoła prowadzona przez Lompę, była zawsze wzorowa. Ówczesna władza szkolna oceniała jego zdolności pedagogiczne. Miał być nawet powołany na nauczyciela seminarjum nauczycielskiego w Bydgoszczy, lecz zmiana tegoż seminarjum na szkołę ewangelicką, zniweczyła po-

przedni zamiar władzy. W uznaniu zasług i prac podjętych dla nauczania polskiego ludu, istniejące podówczas w Gostyniu w Poznańskim towarzystwo literackie zanominowało Lompę swoim członkiem honorowym. Był również członkiem honorowym Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu oraz członkiem Towarzystwa Rolniczego w Krakowie. W roku 1859 Towarzystwo Rolnicze w Warszawie powołało go na swego członka — korespondenta. W roku 1861, dla braku zdrowia zmuszony był porzucić ukochany przez siebie zawód i jako tłumacz sądowy zamieszkał w Woźnikach. W dwa lata później, dnia 29 marca 1863 roku, po długiej i ciężkiej chorobie zmarł w Lubczy pod Woźnikami. Był jego był mniej niż skromny. Licznej rodzinie, z dwóch żon, pierwszej Bensiówny, drugiej Weroniki Grzegorz, w spuściźnie zostawił tylko imię zacnego szlachetnego człowieka i obywatela. Książki i podręczniki Józefa Lompy poszły dziś w zapomnienie. Lud polski na Górnym Śląsku potrzebuje teraz silniejszego pokarmu. Rys historii Śląska Lompy zastąpiła inna wydana staraniem „Katolika“, a świetnie przez Konecznego napisana praca. Czytelnictwo rozwija się bardzo, pisma i książki rozchodzą się w znacznej ilości. Gdy jednak rozważymy, że z modlitewnikami i pieśniami Lompy w ręku lud śląski modlił się długie lata, a w chwilach wesołości nucił piosenki jego pióra, wprowadzie pisane bez wielkiego polotu, lecz swojskie i rodzime; gdy pomyślimy, że z rad jego gospodarskich korzystał i polepszał byt swój; wtędy w całym świetle stanie nam przed oczyma szlachetna postać nauczyciela wiejskiego. Kilka pokoleń, które słuchały wykładów Lompy w szkole i te, które czytały jego prace, dzisiejszemu pokoleniu przekazały cześć i przywiązanie do mowy ojczystej. Dlatego też zasługi Józefa Lompy są niezapomniane.

NA ŚREDNIM ŚLĄSKU.

W czasopiśmie *Ziemia*. Warszawa—Lwów Rocznik V. 1914 r.
№ 1. str. 1 — 4.

Dla przeciętnego ogółu tylko Górny Śląsk zamieszkują Polacy, inne okolice prastarej dzielnicy piastowskiej uważane są za czystoniemieckie. Tymczasem na Średnim Śląsku w regencyi wrocławskiej zamieszkują również Polacy. Przed kilkudziesięciu laty pod samymi murami Wrocławia mówiono jeszcze po polsku. Około 1840 roku we Wrocławiu, na targach Nowego Rynku wieśniaczki, przybywające z okolic, mówiły z sobą tylko po polsku. Dziś jeszcze na Dolnym Śląsku w okolicy czysto niemieckiej, a nawet w graniczącej z nim Saksonji, z ust miejscowego ludu można usłyszeć zdanie, że we Wrocławiu „alles ist polnisch“. Jaką odpowiedź na podobne orzeczenie dałaby Hakata, łatwo sobie wyobrazić, ale fakt istnieje. A że lud tradycje przechowuje najdłużej, więc i to pojęcie o polskości dzisiejszego Wrocławia stosuje się jeszcze do tych czasów, gdy pod murami stolicy Śląska większość mieszkańców stanowił żywioł polski.

W wydanej we Wrocławiu w ostatnich dziesiątkach zeszłego wieku książeczce „Breslauer Klabatschke“ (gwara wrocławska), spotykamy wiele wyrazów wyrwanych z naszej mowy, a sam autor przyznaje im pochodzenie polskie.

W połowie XVII wieku na Górnym Śląsku lud mówił wyłącznie po polsku. O wiele wcześniej, wśród zniemczonych książąt piastowskich byli i tacy, którzy

nie rozumieli języka niemieckiego. Niektórym trudno się było rzec przynależności do Rzeczypospolitej. Przemko głogowski, Bernard świdnicki i Bolesław ziembicki nie uznawali obcej nad sobą władzy. Hardy, nie godzący się z żadnym autorytetem Mikołaj II, książę opolski ścięty w Nissie w 1497 roku, wyrok śmierci kazał sobie przed odczytaniem przetłumaczyć na polski, gdyż ani jednego słowa nie rozumiał po niemiecku. Wacław, książę rybnicki, Jerzy II opolski znali również język ojczysty. Ojcu ostatniego Piasta Krystyanowi na Brzegu i Lignicy, nie obca była mowa praojców. Związki małżeńskie, zawierane przez niektórych Piastowiczów i panów śląskich w Rzeczypospolitej, wpływały na odnowienie tradycji. Mikołaj na Opawie i Raciborzu, ożeniony z Anną z Tenczyna, córką podkomorzego Krakowskiego Zbigniewa a siostrą Jana, z którą za wiano dostał miasto Pleszew i wsie Russów¹⁾ i Gostyczynę²⁾, na dworze swoim miał wielu Polaków. Dorota Sybilla, margrabianka brandenburska, żona Jana Krystyana, ks. na Brzegu i Lignicy³⁾ przybywszy na Śląsk nauczyła się mówić po polsku. Aby zbliżyć się do ludu, którego los obchodził ją bardzo żywo, na dworze swoim również trzymała panny respektowe Polki. „Kochaną Dorotką” nazywali ją też ślązacy. Tego rodzaju postać była wyjątkiem, podobnie jak i wyżej wymienieni Piastowicze. Ogół wrogo usposobiony dla ludu polskiego, tonął w niemczyźnie. Szlachta na całym obszarze ziemi śląskiej wynarodowiła się szybko. Zmarły na początku XVIII wieku pastor dworski w Brzegu, Lucä, robi nawet wyrzut szlachcie śląskiej, że uczy się języków

¹⁾ W kaliskiem.

²⁾ W poznańskiem.

³⁾ Zmarł w 1672 r. ostatni z rodu Piastów.

obcych, a nie zna polskiego, którym może i powinna porozumieć się z swoimi poddanymi. Jeszcze w chwili przejścia pod panowanie pruskie, a więc w roku 1742 język polski królował na Śląsku. Mówił nim lud wiejski i część mieszczaństwa. Księża nie wszyscy nawet znali język niemiecki. W drugiej połowie osiemnastego wieku Górny Śląsk miał nauczycieli, którym język urzędowy zupełnie był nieznany. Dopiero szkoły zakładane przez Fryderyka Wielkiego, wzmogły żywioł niemiecki. Ze względu jednak na wielki procent polskiej ludności w szkołach tych uczono czytać po polsku. Rozwinięte szeroko stosunki handlowe z Rzeczpospolitą zachęcały nawet i Niemców śląskich do nauki języka polskiego. Często bardzo przewidujący korzystne interesy ojcowie niemieccy posyłali synów swoich do szkół w Byczynie i Kluczborku, w których właśnie uczono po polsku. Germanizacja, rozpoczęta żelazną dłońią Fryderyka Wielkiego, zrobiła swoje. Szczególniej wśród ewangelików począł wymierać język polski. W Trzebnickiem, Zielonogórskiem i Milickiem gasł w przyspieszonym tempie. Uczony niemiecki Weinhold przyznaje, że około 1887 r. w powiecie trzebnickim w Bukownicy (Freiwalddau) mówiono jeszcze po polsku.

Rozwijające się prawie odruchowo na początku XIX stulecia na Górnym Śląsku polskie czytelnictwo na Średnim Śląsku nie znajduje oddźwięku. Łączności między jedną dzielnicą piastowską a drugą nie było nigdy i nie ma jej dzisiaj. Wprawdzie różnice wyznaniowe jakie znajdują się wśród polskiej ludności obu dzielnic, nie grają tu żadnej roli, gdyż antagonizmów religijnych nie było i nie ma, ale też i nie ma żadnej spójni. W późniejszych czasach, to jest w owej chwili, gdy już na Górnym Śląsku rozwijać się poczęło życie duchowe w całej pełni, ewangelicy Polacy, zamiesz-

kujący obwód regencji wrocławskiej, w Namysłowskim, Sycowskim, oraz w Kluczborskim, pozostawieni są sami sobie. Nikt nie podaje im dłoni, nikt nie pyta się o ich dolę. Skazani na wymarcie pędzą życie w zapomnieniu.

Śpiewnik kościelny i postylla Dąbrowskiego — to jedyny pokarm duchowy, przemawiający do nich mową ojców.

Zbór za zborem przepada dla polskości. Pastorowie, nauczyciele, zawodowi germanizatorzy — sumiennie spełniają swoje obowiązki. Wyjątkową postacią na tle tych wiernych wykonawców fryderykowskiego katechizmu jest pastor Robert Fiedler, mieszkający na początku drugiej połowy zeszłego stulecia w Międzyborzu. Sprawiedliwy Niemiec, wzruszony wytrzymałością swoich parafjan, wydał własnym kosztem kazania na wszystkie święta kościelnego roku. Inny znów pastor, Koelling w Byczynie, począł wydawać dla Polaków ewangelików pismo „Hasło”. Była to jednak efemeryda, po której tylko krótkie zostało wspomnienie. Wprawdzie konsystorz wrocławski, widząc, że do Polaków ewangelików wyłącznie po niemiecku przemawiać nie można, we własnym interesie wymagał od pastorów znajomości języka polskiego. Obejmujący parafje byli to jednakże i są dzisiaj ludzie, nie znający dobrze języka, kaleczący swoją mową uszy Ślązaków, nie znający duszy ludu, nie mający z nim żadnej duchowej łączności i patrzący zgóry na powierzoną ich pieczy owczarnię. Lud zostawiony sam sobie, uciskany zgóry wszelkiego rodzaju obostrzeniami, ośmieszany i wyszydzany za swój język macierzysty żył w przekonaniu, że mowa jego ojców jest rzeczywiście czemś niższem i upośledzonym. Władze urzędowe i kościelne mówiły mu o tej niższości zawsze i przy każdej okazji. Cóż dziwnego,

że żyjąc w podobnych warunkach, dążył do niemczyzny, mającej uosabiać wyższość i kulturę. Ludność polska zmniejszała się stale. W powiecie tylko sycowskim, szczególnie w wioskach należących do zboru międzyborskiego, stał lud twardo przy mowie ojców. Zasługa to wyłączna zmarłego 1911 r. pastora Badury.

Zapomniana przez nas samych garstka Polaków ewangelików przeżywała jaśniejsze chwile, gdy w roku 1883 Alfons Parczewski począł wydawać we Wrocławiu „Nowiny Śląskie, pismo, przeznaczone dla ewangelików Polaków“. Podjęte z wielkim nakładem pracy, pieniędzy i piętrzących się co chwila trudności, wywołało ogromne zainteresowanie czytelników. Redakcję zarzucano dziękczynnymi listami. Nawet dzieci wyrażały swoje uczucia. Charakterystyczny był list następującej treści: „Nazywam się Ottilia N., stara jestem lat 9 i mam bardzo rada polskie „Nowiny“. Tak pisało dziecko polskie, któremu w szkole mówiono, że istnieje tylko jedna mowa, a wszystkie inne są *grob* i *dumm*. Ale właśnie dla tego, że i dzieci czytywały „Nowiny“, że ruch począł się budzić, nastąpiły szykany, konfiskaty numerów, prześladowania przez wszystkie władze pruskie, począwszy od listowych aż do konsystorza wrocławskiego, słowem, mimo ogromne wysiłki wydawcy i głównego kierownika pisma zarazem, „Nowiny“ po kilku latach istnienia przestały wychodzić. Gdyby jednocześnie z akcją, podjętą na Górnym Śląsku, rozpoczęto ratować ewangelików Polaków, dziś na Średnim Śląsku inaczej przedstawiałyby się stosunki. Jedyne pastor polski, niezapomniany Jerzy Badura, nie mógł na swoich strudzonych barkach dźwigać całego ciężaru. Za jego duszpasterstwa w Międzyborzu z kazalnicy kościoła, erygowanego w 1494 roku rozbrzmiewały dźwięki przepięknej polszczyzny. Międzybórz, dziś zwany

Neumittelwalde, ciche, wzgórzami otulone miasteczko, za życia pastora Badury było ostoją polskości. Na plebanji, tak zwanej „farze“ polskiej, ślżak usłyszał zawsze dobre, przyjazne słowo, zawsze pokrzepił umysł i serce. Ze śmiercią Badury i na tej ostatniej placówce zmieniły się już stosunki, wykwitem czego jest ubytek ludności polskiej. Dokładną jednak cyfrę jej trudno bardzo określić. Statystyka, jak zwykle wszystkie urzędowe statystyki, jest mylna. Według spisu z 1900 roku w Namysłowskim naprzykład na 1000 mieszkańców było 284 Polaków, w Sycowskim—417. Tymczasem wiemy dokładnie, że w Sycowskim dziś jeszcze są wsie, gęsto zaludnione ludnością wyłącznie polską. Przy zapisywaniu dwujęzycznej ludności nieprawdziwe cyfry ujawniają się jeszcze silniej. Ślżak jest nadzwyczaj przezorny, ostrożny i zamknięty w sobie; charakter ten wyrobiły w nim smutne okoliczności, w jakich żyje z pokolenia na pokolenie. Przy zbieraniu danych statystycznych, zapytany przez urzędową osobę o narodowość, zanim zdobędzie się na odpowiedź, już jest zapisany w myśl układających statystykę. Według urzędowych cyfr w Sycowskim i Kluczborskim mieszka 25 tysięcy Polaków ewangelików. Tymczasem sam zbór międzyborski właśnie za czasów pastora Badury, a więc w chwili układania statystyki, zbór, obejmujący tylko kilka wsi, liczył dziesięć tysięcy dusz. A przecież wsie najbardziej polskie w ostatnich latach życia Badury wykrojono ze zboru międzyborskiego i przyłączono do czysto niemieckiej parafji. Natomiast w celach agitacyjnych do parafji międzyborskiej przyłączono niemieckie wsie, albo też polskie, leżące o kilka mil drogi od kościoła polskiego; zrobiono to umyślnie, aby utrudniać parafjanom i pastorowi spełnianie obowiązków religijnych. Tylko że pastor Badura był pod

tym względem nieustraszony, nie zrażały go przeszczenie, złe drogi i niewygody. Słowem, w ocenianiu statystyki ludności polskiej na Średnim Śląsku cyfry urzędowe możemy uważać za zupełnie niedokładne, tem więcej, że w każdym prawie zborze powiatu sycowskiego jest dziś jeszcze po kilka, mniej więcej 4, 5 i 6 tysięcy dusz.

Na te biedne polskie dusze czyha dziś wszystko. Cała sieć różnych *vereinów* zalewa polskie wioski. Właścicielki różnych dominiów, panie z najwyższej arystokracji niemieckiej, urządzają po dworach kawy, i na tych kawach, zasiadając z córkami naszych Piątków, Golibrzuchów, Gajów, Bąków, Dąbków, tłumaczą im korzyści z powstających różnych stowarzyszeń. Przy kawie i robótce czas mile schodzi. Trucizna, podana w serdecznej i ponętnej formie, zawróci w głowie bardzo prędko. Cóż dziwnego, że taka praca wydaje pożądane owoce, tem więcej, że nikt i nic jej nie przeciwdziała. Szkoła, wojskowość i różne *vereiny* niemczą chłopców, w ostatnich latach zabrano się do ognisk domowych. Ewangelicki lud polski, nie odczuwając żadnej łączności z ludem o miedzę mieszkającym w Poznańskim, nie zdając sobie żadnej sprawy z łączności językowej, wierny jest jednak mowie ojców. W Międzyborzu w jednym kościele odbywają się nabożeństwa polskie o ósmej rano, niemieckie—o dziesiątej. Lud polski, mieszkający o dwie albo i trzy godziny drogi od Międzyborza, mimo mrozów i śniegów zdążał zawsze na ósmą rano, aby mógł tylko usłyszeć polskie kazania Badury. Kiedy jeszcze była dozwolona katechizacja w języku polskim, do pastora Badury na naukę przychodziły małeńkie dziecińy nawet z najdalszych wiosek mimo zimna i niepogody. Kupcy w Międzyborzu, Sycowie i Kluczborku muszą trzymać w sklepach polskie albo

przynajmniej mówiące po polsku sprzedawaczki, bo inaczej stracą odbiorców. Do adwokata i doktora, mówiącego po polsku, ślązacy idą chętnie po radę. A jednak adwokat albo doktor Polak mimo dochodowej praktyki, jaką mógłby łatwo zdobyć, nie chce zamieszkać na Średnim Śląsku, a szczególnie w takiej małej, cichej jak Międzybórz miejscinie. Tylko większe środowiska nęcą osiedlających się, a tymczasem placówka stoi osamotniona. Wobec podobnych stosunków nie można się dziwić, że przed dwoma laty w czasie walki wyborczej w Kluczborskiem ludność polska oddawała głosy na kandydatów niemieckich.

Wychodźstwo wśród ewangelików Polaków rozwinięte jest bardzo silnie; najwięcej wyjeżdżają do Saksonji i Westfalji. Dziewczęta ciągnie Wrocław i Berlin, zkąd przyjeżdżają, i to tylko w odwiedziny, już zupełnie zniemczone. Z wędrowek swoich po Saksonji i z nad Renu powracają z lepszą polszczyzną. Siłą praw przyrodzonych wychodźcy ślascy dążą do przybywających z różnych stron naszego kraju robotników. Wspólna dola łączy na obczyźnie dzieci jednej matki ziemi.

Ludność polska na Śląsku jest o wiele pracowitsza i moralniejsza od niemieckiej. Przyznali to niemieccy pisarze, Grünhagen i Adamy, a tych trudno przecież posądzać o sympatję dla naszego narodu. Ewangelicy Polacy przechowali jeszcze niektóre dawne zwyczaje. Przed dwudziestu laty w czwartą niedzielę postu, zwaną śmiertną, obchodzono „marzannę“ w okolicy Międzyborza i Sycowa. Chodząc z „marzanną“ ustrojoną ze słomy i wstążek po wsi, śpiewały dziewczęta: „Jak marzankę wypuścili, to latko ustroili, myśmy tu śmierć wyniosy a latko przyniosy; rączkę nam podajcie i piątaka dajcie“. W Pawłowie

przed 15 laty palono jeszcze marzanę. Na św. Andrzeja leją olów, воск i różne z tego wyciągają wróżby. W wigilję św. Jana na wzgórzach palono ognie, znośząc perz, słomę lub suche gałęzie. Po adwencie, przed „godami“, jeszcze przy końcu zeszłego wieku ubierali niedźwiedzia „z kulanego grochu“ (grochowiń) i obnosili go od chaty do chaty. Dyngus znają w niektórych wioskach. Mimo germanizacji, która wszystkiemi drogami wkrada się do duszy polskiej ludności, ślązak, gdy mu zabraknie w rozmowie wyrazu polskiego, na prędce stworzy nowy, dodając do niemieckiego zakończenie polskie. Stąd wyrazy takie jak *kierluś* zamiast chłopiec, z niemieckiego *kerl*, *pattek* zamiast ojciec chrzestny, *burgacz* mieszczanin, *Bürger*, *brutka* narzeczona, *frelka* zamiast Fränlein.

W słowniku swoim posiada mieszkaniacze Średniego Śląska bardzo wiele dosadnych wyrażen. Buchta—baba, ciasto. Czernidło—atrament. Dzieweczka—panna. Gore—źle. Hysa—sień. Kościon—modrak, chaber. Kulocha—brukiew. Knule—kartofle. Kropki—krople. Kłaki—stare ubranie. Kuniek—chwilka czasu. Kuncek—troszkę, kawałek. Opowiadanie—zapowiedzi: pastor opowiada—pastor mówi zapowiedzi. Prawie—dobrze. Porządek zrobić—napisać testament. Patrzydła—okulary. Psiok—szczenie. Poradzić—módz. Poradzić się—chwalić się. Pustelion—pustelnik. Starzyk—dzia-
dek, ojciec matki albo ojca. Starzyczka—babka. Stara matka—każda stara kobieta. Szestucha—fartuch. Sznurki—wstążki. Smyczyć—ciągnąć co za sobą, włożyć. Śmirgus—dyngus. Toć—tak. Tukej—tutaj. Wiązka—podarunek. Woniaczka—bukiet. Wyniuchać, wyszperać,—wyszukać—wywąchać w znaczeniu przeczuć. Zbamucić—zbałamucić. Zawadzać—zaczeplać kogo. Żdzierby—gałgany, zużyte, niepotrzebne rzeczy, Zawitka—dziewczyna uwiedziona. Zgniła—niezgrabna.

Zaprawiany owoc — konfitura, kompot. Mówią: somsiadoma zamiast sąsiadami. Widziałem się z somsiadoma. Chop zamiast chłop. Dzisiaj zamiast dzisiaj; dziesięciorakoma zamiast dziesięciokroć. Dziesięciorakoma razy byłem tam a tam. A pochylone również spotyka się na Średnim Śląsku, u zamiast o używają dość często. Kulano zamiast kolano; kuń, kut zamiast koń, kot.

Legends, podania giną w pamięci ludu. Z baśnią o królu polskim Nowjanie, który chodził po wsiach i opowiadał „piknie“, był „patkiem“ i dawał „szykne“ „wiązki“, spotykałam się w kilku wioskach; powtarzali mi ją zmykle starzy mieszkańcy. Wogóle Ślązacy niechętnie wywnętrzają się przed obcymi, i trzeba zasłużyć na zaufanie, aby Ślązak lub Ślązaczka zdradziła przed kim swoje myśli i wiadomości. Piosenkę rzadko zanuci dziewczę w Namysłowskiem lub Sycowskiem. Czasem usłyszeć można o „Jasiu co koniki poił“, wyjątek to jednak rzadki, nadzwyczajny. Pieśń jest zawsze głośniejszym wyrazem radości czy smutku, a Ślązak i z tem musi się ukrywać. Systematycznie tyranizowany nauczył się być skrytym. Tylko przed Bogiem, w kościele, na polskim nabożeństwie w Międzyborzu pełnym głosem rozbrzmiewają hymny polskie. Z piersi mieszkańców Osina, Klonowy, Krasowa, Pawłowa, Gawron, Szuszn, dzisiaj zamienionych na Wossen, Klonowe, Kraschen, Pawelau, Gaffron i Suschen, w murach świątyni płynie swobodnie ulubiona pieśń Polaków ewangelików: „Kto się w opiekę poda Panu swemu“.

N A D Ł A B A.

Biesiada literacka. Warszawa. tom 42, str. 384—386. 11
grudnia r. 1896.

Ze wszystkich wystaw, które w roku bieżącym nęciły podróżnych, dla nas najciekawszym był oddział serbsko-łużycki na wystawie w Dreźnie.

Znamy dokładnie muzea i galerje drezdeńskie, prześliczną Szwajcarję saską, ale nie wiemy, że o dwie godziny drogi koleją żelazną od Drezna, na ziemi niegdyś całkowicie słowiańskiej, na ziemi Chrobrego, dzisiaj zamieszkuje pokrewny nam naród Serbów łużyckich, liczebnie najmniejszy ze wszystkich ludów słowiańskich, mający zaledwie 200.000 mieszkańców; od dziewięciu wieków ulegający smutnym kolejom losu, rozdzielony między Niemcami politycznie, religijnie i językowo, daje dowody nadzwyczajnej wytrwałości i siły duehowej. Górnicy Łużycanie, mieszkający na południu Saksonji, u stóp Czernoboha, i dolnicy, rozrzućeni w Marchji Brandeburskiej, wśród lasów, w chwilach uroczystych stają wszyscy w zwartym szeregu. W roku bieżącym wystawa dała nowy dowód ich żywotności.

Twórcą wystawy był D-r Karol Ernest Muka, uczony sławista, członek—korespondent Krakowskiej Akademji umiejętności, po śmierci niezapomnianego ks. Hornika dzierżący ster postępu Łużyckiego. Wystawa, otwarta pod protektoratem księżnej Matyldy Saskiej, znającej dobrze język łużycki i bardzo przychylnie dla naszych pobratymców usposobionej, miała na celu, także korzyść materjalną dla macierzy serb-

skiej, która zabiega o dom własny. Macierz ta jest pieszczonem dzieckiem d-ra Muki. Na wezwanie jego nadsyłano do muzeum, ze wszystkich zakątków górnych i dolnych Łużyc, różne okazy, zabytki starożytne, sięgające bardzo dawnych wieków.

Na placu wystawy, obok starego Drezna, stała „wieś serbska“. Typy chat z różnych stron Królestwa Saskiego mówiły, że niegdyś cała Saksonja była słowiańską. Na pierwszym planie wsi serbskiej umieszczono „Muzeum serbskie“ i „starą szkołę“ przeniesioną tu z Ralbic; obok postawiono wiatrak i „dom Pilnicki“, z gołębnikiem, zupełnie przypominający nasze dworki wiejskie. O tem pokrewieństwie typów mówią także niektóre sprzęty w chacie łужицkiej.

W Muzeum serbskiem pomieszczono stare druki i rękopisma, instrumenta muzyczne, dowody rozwoju szkółek wiejskich z XVIII-go wieku, roboty kobiece, narzędzia rolnicze, dawną broń, ubiory ludowe i t. d. Bardzo ciekawe były cztery naturalnej wielkości grupy lalek; wykonane według wskazówek d-ra Muki, upozowane przez malarza Stapfera, przedstawiały życie domowe Serbów, wesele serbskie i „przaze“ czyli wieczór prądek.

Oprócz tych grup malowniczych, kilkadziesiąt mniejszych manekinów wypełniło bogaty dział ubiorów ludowych, uzupełniony licznym zbiorem fotografii. Chwilami chodząc po wsi serbskiej, patrząc na mknące po kanale łódzie, kierowane, według dolno-łużyckich zwyczajów, wprawną dłonią dziewcząt z lasów Szprewji, wsłuchując się w melodje, wykonywane przez wioskowych grajków z pod Mużakowa, na kobzie, skrzypcach i farakowarze i patrząc na malownicze ubiory ludowe, przed oczyma stawały dawne czasy, dawni ludzie. W wielkim narodowym pochodzie wy-

stawowym, wśród najrozmaitszych strojów ludności całej Saksonji, wśród stylowych średniowiecznych ubiorów, pochod Łużyczan, którym przewodniczył d-r Muka, malowniczością wyróżniał się ponad wszystkie. Na ten dzień pociągi kolejowe zwoziły z całych Łużyc do Drezna Serbów i Serbki w barwnych strojach narodowych.

Koroną jednak wystawy, „słonecznym“ punktem, jak się wyraziły dzienniki niemieckie, był dzień 26-go września, ostatni wystawy saskiej, przeznaczony na „Święto Łużyckie“. Zgromadziło się 40,000 widzów na placu wystawy, gdzie obchodzono święto majowe, kiermasz łużycki, wesele serbskie, olśniewające barwnością i różnaitością strojnych ubiorów, gdzie rozbrzmiewały melodje serbskie, tańczono „narodne reje“. Komitet wystawy nie zapomniał uwydatnić wszystkich, towarzyszących weselom serbskim, zwyczajów narodowych. Pamiętał również o farsie serbskiej, doskonale odegranej przez włościan z Kwacic.

Wieczorem odbył się wielki koncert łużycki. Chór, złożony ze stu piędziesięciu śpiewaków i śpiewaczek, wykonał *à capella* serbskie melodje ludowe. Orkiestra wojskowa odegrała utwory muzyka łużyckiego Bernarda Krawca, organizatora koncertu, którego krytyka drezdeńska bardzo chwali, jako kompozytora. Koncert odbył się pod jego batutą i zjednał sobie uznanie najprzedniejszych kół artystycznych Drezna. Nazajutrz Serbowie z rozrzewnieniem żegnali wieś swoją, powstałą wśród murów stolicy saskiej.

Kiedy w dali nad Łabą, pogasły światła i na wieży ratuszowej wydzwoniono ostatnią godzinę wystawy, d-r Muka zamknął uroczyście na klucz Muzeum serbskie.

Skończyła się wystawa, zamknięto jej podwoje, uleciała ostatnia nuta pieśni, nuconej przez rozma-

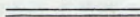
rzonych szczęściem serbskich gości, ale w duszy Serbów łużyckich pozostało na zawsze najpiękniejsze wspomnienie. Otoczyli oni kołem swego ukochanego przewodnika, d-ra Mukę, i słowem gorącym, uściśkiem, łzami okazywali mu wdzięczność serdeczną.

Z PRZESZŁOŚCI I TERAŹNIEJSZOŚCI ŁUŻYC

ATENEUM, WARSZAWA. ROK XIV. 1889.

TOM III. WRZESIEŃ STRON. 465 — 483.

TOM IV. PAŹDZIERNIK STRON. 111 — 131.



Mało który z ludów słowiańskich, posiada w swej przeszłości tyle tragicznych, krwią oblanych wspomnień, co niewielki, opasany dokoła siecią germanizacji naród łużycki. Wyjątkową, bezprzykładną nieomal wytrzymałość jednostek trzyma ster drobnej, maleńkiej łodzi, którą od wieków, w tę lub ową stronę rzucały nieprzyjazne fale. Zatapiano ją, podkopywano torpedami gwałtu i bezprawia, wyższe jednak ponad to przywiązanie do mowy i ziemi rodzinnej przetrwało burze stuleci. Jest coś zadziwiającego i pouczającego zarazem w zapasach, jakie toczy z wrogiem sobie żywiołem garstka ludu, ów odłamek połabskiej Słowiańszczyzny. Systematyczne, *mit Gründlichkeit und Pünktlichkeit* dokonywane wynaradawianie znajduje opór w sumiennej i wytrwałej pracy ogółu. Inteligencja nie rozdrabnia się, nie rozprasza na czcze i próżne frazesa, w zwartym szeregu dążą wszyscy do jednego i upragnionego celu. Wobec wspólnej idei, zacierają się różnice zdań i poglądów, słabną prywatne interesy. Podniesienie moralne i umysłowe ludu, zrównanie go pod względem cywilizacyjnym z innymi, jest głównem zadaniem przodowników narodowego i intelektualnego ruchu na Łużycach.

Dzięki tym stosunkom, Serbołużyczanie, jeszcze przed kilkadziesiątu laty uważani za *curiosum* etnograficzne, dziś posiadają stosunkowo dość cenną i bogatą literaturę. Z jaką tytaniczną pracą i poświęceniem składano cegiełkę po cegiełce do budowy gma-

chu odrodzenia, wskaże nam najlepiej przeszłość dziejowa i literacka Łużyc.

Już w 627 r., za rządów władcy Samona, który pod swoje panowanie połączył całą Słowiańszczyznę, widzimy Serbów łużyckich, walczących przeciw dzikim Awarom. W 630 r., do zwyciężenia na polach Domażlickich wojsk Dagoberta, króla Franków, przyczyniła się również garstka walecznych Serbów. Gdyby myśl łączności, wprowadzona w czyn przez dzielnego Samona, przetrwała była jego panowanie, dzieje połabskiej Słowiańszczyzny w innemby dzisiaj jaśniały świetle. Lecz brak zmysłu politycznego zgubił już ówczesnych Słowian. Liczne, znane w historii pod ogólnem mianem Serbów, ludy, przez zamiłowanie niezależności i właśnie wzajemne, dzieląc się na drobne plemiona, ulegały przemocy silniejszego wroga. Hufce Karola W. plondrując ponad Łabą, tysiące ludu mordowały, lub uprowadzały w niewolę. W walce z synem jego, ginie (806) waleczny wódz Serbów Miliduch. Na ruinach spalonego przez Franków Żidowa¹⁾, nowe wyrasta pokolenie. Zwycięstwa Mojmira i Świętopelka, królów Wielkiej Morawy, inną znów zwiastują jutrzrenkę; połączona pod ich panowaniem Słowiańszczyzna swobodniej oddycha. Z upadkiem (907) wszakże państwa Morawskiego, losy Połabian w żałobne stroją się szaty. Na widownię dziejów występuje cesarz Henryk Ptasznik. Najdoskonalszy typ germanizatora, straszną rozpoczyna walkę. Od chwili wstąpienia na tron, żyje tylko myślą zgębienia wstrętnej, nienawistnej sobie ludności. Założone przez niego marchie, jak północna, (r. 927) a w kilka lat później Myszońska, to strażnice wsłuchane w żywsze uderzenia serc ludów słowiańskich. Rządy Ptasz-

¹⁾ Dzi przedmieście Budyszyna.

nika przyspieszają zgon Słowian lewego brzegu Łaby. Syn jego Otton, zwany Wielkim, wstępuje w ślady ojca. Rozpoczyna się dla Łużyc epoka pełna smutku i grozy. Chrystjanizm, szerzony przy szczęku oręża, nie osładza strasznej niedoli. Łużyczanie, uciekają od księży i biskupów niemieckich. Wyzuci z własnych ziem, doprowadzeni do rozpacz, zrywają krępujące ich pęta. Walka wszystkich przeciw wszystkim, zawrzała na całej przestrzeni. Serbowie porwali za oręż, burząc w swej obronie kościoły i zamki. W końcu, po latach bezprzykładnych wysiłków, ulegli (990) przeważającej sile Ekkarda, margrafa Myszy. Placówka niemiecka posuwa się naprzód, w stronę Polski wyciąga ramiona.

Wówczas, występuje do walki Bolesław Chrobry. Z umiejętnością strategika, prowadzone boje, przecinając Niemcom drogę ku wschodowi, oddają Łużycę Polsce. Wspólność plemienna złączyła oba ludy, Serb łużycki nie uciekał już na widok nawracających go księży. Prawa, nadane przez Bolesława, pozwalały na rozwój moralny i materialny ludu¹⁾. Złota epoka w dziejach Łużyc skończyła się śmiercią genialnego króla; umarł on, zostawiwszy rządy synowi, którego niepomysłne panowanie oddało znów Łużycę Niemcom. Z chwilą tą (r. 1032) poczyną się groźny dla przyszłości całej krainy podział. Jedna część Łużyc, a mianowicie Górne, to jest ziemia Milczan, otrzymała zwierzchnictwo margrafów myszońskich, właściwe zaś Łużycę, Dolnemi zwane, przeszły pod opiekę margrafów Wschodnich.

¹⁾ Łączność historyczna z czasów Bolesława do dziś jeszcze, wspominaną jest na Łużycach; Bogusławski oraz ks. Hornik utrzymują, iż pieśń „Serbów dobyć”, pomieszczona w zbiorze pieśni Smolera, opisuje bohaterskiego rządy Bolesława na Łużycach i odniesione nad Niemcami zwycięstwo.

Cesarze, oddawszy Łużyce w lenność, nie troszczyli się o losy podbitej krainy. Kto chciał i jak chciał, rządził po swojemu. Dzięki możnowładztwu, margrabiowie na swoją rękę rozpoczynają gospodarstwo. Nieszczęśliwe Łużyce, rzucone na ich pastwę, przetrzucane z rąk do rąk, stają się celem rozlicznych za targów i pragnień. Polacy, dawne, utracone odgrzebuja prawa, Czesi i książęta śląscy również występują z pretensjami. Górne, chwilowo z pod opieki margrafów przeszły na rzecz Wratysława II, czeskiego, gdy tymczasem, do Dolnych, na skutek umowy z Wratysławem, Bolesław Śmiały rościł sobie prawo. Za Sobiesława, Górne, przyłączono znów do korony czeskiej, Dolne zaś, zajął Konrad z Wettinu, margrabia myszoński, założyciel panującej dziś rodziny saskiej. Upadek Słowian hawolskich pogorsza jeszcze położenie Łużyc. Na ruinach Branibora wzniesiony Brandenburg (1157) wytworzył ognisko nowych gwałtów i bezprawii. Fatalność dziejowa zaciężyła nad biedną krainą, spychając ją, z jednej otchłani w drugą.

Rzecz jasna, iż ciągła zmiana rządów szkodliwie oddziaływała na wewnętrzne stosunki Łużyc. Bywały chwile, w których nieszczęśliwa kraina, szarpana na wszystkie strony, sprzedawana nawet za długi¹⁾, trzem naraz służyła bogom.

W r. 1319, część Górnych hołdowała koronie czeskiej, druga Henrykowi księciu na Jaworze, Dolne zaś margrabiom brandeburskim. Ostatecznie, po krwawych zapasach margrabiów z przedstawicielami korony św. Wacława w Czechach, Górne Łużyce, 1346 r., za króla Jana, Dolne zaś za syna jego, Karola IV, (r. 1348), przeszły pod panowanie czeskie.

¹⁾ W r. 1301, margr. myszoński Diezman, zadłużwszy się, sprzedał Dolne Łużyce arcybiskupowi magdeburskiemu Burchardowi, za sześć tysięcy grzywnien srebra.

Marie Korwin

Trzysta dwadzieścia sześć lat rządów czeskich na Górnych, a dwieście pięćdziesiąt dwa, na Dolnych, nie mogło jednak ocalić Łużyc od zalewu germanizacji. Podstawy, założone ręką Ptasznika, przecięły wszystkie arterje i sprężyny ducha. Następcy jego tą samą kroczyli drogą. Kolonizacja, pożerając miejscowe siły, zmuszała nieszczęsną ludność do opuszczania własnych siedzib. Już za Karola W. dziesięć tysięcy Słowian uprowadzono w głąb Niemiec. Za margrabiów Gerona i Albrechta Niedźwiedzia, sprzedawano na targach niewolników słowiańskich. Serbowie łużyccy, traktowani przez Niemców narówni z domowemi zwierzętami, w osłupieniu przyjmowali szerzący się teroryzm. Jak wszędzie, tak i nad brzegami Szprewji, zamożniejsza ludność wynarodowiła się szybko, dla przywilejów poświęciła zwyczaje i ojców mowę, słowiańskim pozostał tylko lud wiejski i ubodzy mieszkańcy przedmieść. Ci, pozbawieni wszelkich praw, obciążani podatkami, w nędzy pędzili życie. Dość było jednego słowa, aby bez sądu, na rozkaz margrabiego, wyrzucano Łużyczan z ich siedzib, a mienie, zabierano im zupełnie. Rozporządzenia Albrechta Niedźwiedzia, odmawiały Serbom wymiaru sprawiedliwości. Książa kazali tylko po niemiecku, szkół serbskich nie było wcale, jedyna, założona przez biskupa Brunona, upadła wraz ze śmiercią szlachetnego protektora. Serbowie dzieci swoich nie mogli posyłać do szkół, ani uczyć ich rzemiosł, nawet ubierać się i włosy czesać musieli wedle z góry przepisane sposobu. Małżeństwa mieszane nie dawały żadnych praw ani przywilejów. Serb, urodzony z niemki, również był partją społeczeństwa. Cesarze, margrabiowie, książa występujący w obronie wrogiego podówczas dla Słowian chrześcijaństwa, całe legjony kolonistów, wreszcie każdy na swój sposób znęcał się nad serbołużycką ludno-

ścią¹⁾). Epoka czeska także nie o wiele jaśniejsze od niemieckiej zostawiła po sobie wspomnienie. Łużyce, należąc do korony czeskiej prawem lennem, rządzone były przez wrogich, obcych urzędników. Chciwość niemiecka zapuszczała wszędzie swoje szpony. Margrabiowie, przyjmując urzędy wójtów, dopuszczali się wszelkiego rodzaju niesprawiedliwości. Z czasem, i wewnętrzne stosunki Czech, zagrożonych wzrastającą przewagą żywiołu niemieckiego, niekorzystnie oddziaływały na ujarzmioną krainę. Husytyzm, jakkolwiek nie znalazł gruntu w ojczyźnie Miliducha, ciężkie jednak po sobie zostawił ślady. Niemcy na Łużycach, gradem kamieni witali nadciągające hufce Prokopa, uboga słowiańska ludność, zdziesiątkowana głodem, zniszczona przechodami wojsk, łatwiejszej ulegała germanizacji. Podobnie gnębiła Serbów i powodzią nieszczęść zalewała straszna, wstrząsająca podstawami, burza wojny trzydziestoletniej. Za jej dni, sześćdziesiąt protestanckich na Łużycach zniemczono parafij.

Przegrana pod Białą Górą ostateczny cios sprowadziła na Łużyce, oddając je na zawsze Niemcom. Elector saski, Jan Jerzy I, potomek margrabiów Myszny, za pomoc udzieloną cesarzowi podczas wojny trzydziestoletniej, zabrał Łużyce w zastaw. Fakt ten dał powód do nowych zatargów i waśni. Skłócenia o skrawek słowiańskiej ziemi, panowie niemieccy, w r. 1635, zawarli w Pradze pokój, mocą którego Górne Łużyce przyznano elektorowi saskiemu, Dolne zaś, margrabiom brandenburskim. Następne lata prawie już żadnych zmian politycznych nie zapisały na kartach przeszłości Łużyc. Panujące dziś na obu dy-

¹⁾ Mimo wyłączenia wszelkich środków ucisku, w r. 1427 w sądzie w Mysznie używano jeszcze języka serbskiego.

nastje, to potomkowie dawnych, dobrze zasłużonych w historii łużyckiej margrabiów.

W takich mniej więcej zarysach przedstawia się przeszłość polityczna Łużyc, literacka zaś jest łańcuchem najszlachetniejszych wysiłków i dążeń. Zasady Ptasznika, wszczepione w krew jego następców, przeżyły wieki. Wygłaszane na mogiłach, oblanых łzami stuleci, odbijały się pustem echem o skamieniałą od bólu pierś uciśnionych. Morze krwi, wylanej w obronie praw, nie mogło zalać tlejącej w głębinach iskry, rozpałiła ona pochodnię światła, dziś przyświecającą odrodzonej narodowości. W czasach, gdy inne ludy witają złotą epokę literatury, na Łużycach martwota ducha i myśli. Za margrabiów, mowa ojczysta kryje się wśród pól i lasów. Po gajach i odwiecznych, owianych wspomnieniami Krescenciuszów grodziszczach, odmawiają Łużycanie pacierz. Pozbawieni serbskich kaznodziei, sprowadzają sobie włóczęgów, nieuków, którzy na improwizowanych kazalnicach głoszą im w ojczystym języku słowo boże. Demoralizacja ludu nie przeraża duchownych. Z małym bardzo wyjątkiem, biskupi niemieccy idą ręką w rękę z rządem. Przez nienawiść do Słowian, zapominają o obowiązkach kapłańskich. Książka dla Serba zbyt cenna, nawet cichy szept modlitwy tłumi gwara brutalnych Niemców. W epoce czeskiej, jeśli Serb umiał czytać, korzystał z czeskich książek i modlitewników. Wewnętrzne stosunki Czech pochłaniają ogół, reprezentanci korony Ś-go Wacława, także germanizatorowie w swoim rodzaju, powolnem okiem spoglądają na tyranję niemieckich urzędników. Któż więc wobec podobnych stosunków miał pomyśleć o napisaniu lub wydaniu łużyckiej książki? Wrogi Niemiec, zajęty własną dolą Czech, czy też obumierający pod wpływem doznanych ciosów Łużycanin?

Dopiero protestantyzm, szerzony z całą skwapliwością na Łużycach, wręcz przeciwne od założenia wydał owoce. Nauka Lutra szerokiem korytem rozlała się na Łużycach. W początkach wprowadzenia nowej nauki, Serbowie, z natury konserwatywni, uciekali od nowych proroków. Chcąc zjednać sobie ludność łużycką, kaznodzieje protestanccy uczyli się po serbsku. Ten rodzaj polityki ujął nieszczęśliwych, dźwięki ojczyściej mowy przemówiły do serc i przekonań Serbów. Sądzili, iż z nową wiarą, jaśniejsza dla nich zabłysnęła dola. Złudzenie trwało krótko. Nauka Lutra, głoszona przez pierwszych wyznawców w języku serbskim, w następnych latach zmieniła się w religję państwową, mającą na celu dalsze wynaradawianie i gnębienie Słowian. Podsuwane przez niemieckich pastarów, niemieckie książki, jak stofuntowe ciężary, wypuszczali z dłoni, powracając do czeskich księzek i modlitewników. Widok ten przerażał protestanckich księży, zmuszeni koniecznością pomyśleli o wytworzeniu religijnego dla Serbów łużyckich piśmiennictwa. W gronie adeptów nowego wyznania znaleźli się i ludzie, wybiegający ponad miarę zgóry przepisanych formułek, dla których cel, z jakim rozszerzano protestantyzm, okazał się wstrętnym. Opiekując się dolą powierzonych parafij, położyli zarazem węgielny kamień dla dzisiejszej literatury łużyckiej.

Jakkolwiek historia wspomina o zaginionym, a wydanym poprzednio za biskupa Jana IV, katechizmie katolickim, najdawniejszym jednak znanym pomnikiem jest rękopis Mikołaja Jakóbicy, z r. 1548. Czy autor był Górnio, czy Dolnołużycanin, dotąd niewiadomo. Fakt tylko, iż ruch, wywołany przez protestantyzm zachęcił go do pracy, gdyż przekład jest według tekstu Lutra dokonany. Po raz pierwszy, jeden ustęp z rękopisu, znajdującego się w bibliotece ber-

lińskiej, wydrukował Jencz w Č. M. za r. 1862, następnie Lotze oraz Leskien w *Archiv für Slav. Phil.* (1876). Jencz, podobnie jak i wszyscy pisarze łużyccy, uważał język przekładu za narzecze mużakowskie; dopiero Leskien stanowczo rozstrzygnął niepewność, twierdząc, iż rękopis jest dolnołużycki.

Pierwszą zaś łużycką książką drukowaną, jaka ujrzała światło dzienne, były śpiewy religijne dla protestantów, napisane przez księdza Albina Mollera z Trzubca pod Lubniowem, a wydane r. 1574 w Budyszynie, w drukarni Michała Wolraba. Do książki tej, Szymon Gast, pierwszy pastor w Lubniowie, dodał jeszcze dwie modlitwy. Zważywszy, iż piszący pierwszą łużycką książkę, podobnie jak i Jakóbica, użył języka dolnołużyckiego, przychodzimy do wniosku, iż obok religijnych i narodowe kierować nim musiały uczucia. Pisząc bowiem w języku dolnołużyckim, miał na względzie Dolnołużycan, mniej ulegających wpływom czeszczyzny, która bądź co bądź, chroniła Serbów od bezwzględnej germanizacji. W górnołużyckim języku, dopiero w kilkanaście lat później, to jest w roku 1597, ukazał się katechizm Lutra, tłumaczony przez Wacława Worjecha z Hodzija.

Dwie te książki, to jedyna spuścizna szesnastego wieku, następny nowe imiona zapisał na swoich kartach. W r. 1610, Andrzej Tharaeus proboszcz protestancki z Bjedrychojc wydał w Frankfurcie nad Odrą serbski katechizm, *Enchiridion Vandalicum*, napisany w storkowskim, dziś całkiem już wygasłym narzeczu¹⁾. W kilkanaście lat później, bo już w 1627 r. Grzegorz Marcin z Porszic wydrukował w Budyszynie siedem psalmów pokutnych, w górnołużyckim i niemiec-

¹⁾ W północnej stronie Dolnych Łużyc, między Chociebużem a Berlinem.

kim języku. Moller, Tharaeus i Worjeh, byli to ludzie zacni i uczeni, lecz prace ich, w danej chwili, żadnego wpływu nie wywarły na zniemczoną i opuszczoną ludność. Germanizacja coraz szersze przybierała rozmiary. Zapobiec jej mogły tylko serdeczne, z miłością przez kaznodziei wygłaszane słowa. Człowiekiem, który pierwszy zrozumiał położenie ziomków, i pierwszy wtajemniczył się w potrzeby wzgardzonej od wieków ludności, był Michał Brancel (Frenzel) pastor z Budestec, urodzony 1628 roku. Pierwszy kaznodzieja i pierwszy patriota, jakiego wydała nieszczęśliwa kraina. Moralna opieka, jaką roztoczył nad ludem wiejskim, podobnie jak i prace autorskie, zjednały Brancelowi niechęć władzy świeckiej i duchownej. Niezrażony przeciwnościami, pragnął wytworzyć ojczyste, wolne od niemieckich naleciałości piśmienictwo. Zadanie nie było łatwe, polegało na zreformowaniu wadliwej, skażonej w najgorszym stopniu pisowni. Brancel wykształcony na wzorach polskiej, bogatej już podówczas literatury, pierwszy przyjął do łużyckiej pisowni czeskie i polskie zwroty, i takim poprawnym już językiem, r. 1670 napisał pierwszy elementarz łużycki, oraz tłumaczył niektóre ustępy starego i nowego testamentu. Wymowny, pełen szlachetnych uczuć i poglądów jako kaznodzieja, przykładem swoim zmuszał duchowieństwo do naśladownictwa i pracy.

Jednocześnie z Branclem, Jakób Tycin z Kulo-wa, jezuita, rozpoczyna dla współwyznawców pracę. Myśl udoskonalenia pisowni stała się celem jego dążeń. Wychowany w Pradze, znając dokładniej od Brancła język czeski, łatwiej potrafił wtajemniczyć się w właściwości słowiańskiej mowy, a chociaż w niektórych poglądach różnił się z Branclem, pracując wspólnie nad ulepszeniem pisowni, dużo dobrego

uczynić mogli, lecz fatalizm nasunął pastora Bierlinga, którego rozprawa *Didascalia seu orthographia*, fałszywie traktowana, pociągnęła za sobą Brancła, Odtąd, datuje się nieszczęśliwy, wywołany wyznaniem rozbrat górnołużyckiej pisowni. Protestanccy pisarze poszli śladem Brancła, katolickiego zaś wyznania autorem za wzór służyła ortografia wprowadzona przez Tycina. Postępek Brancła, smutny w swoich następstwach, nie może jednak ściągać potępienia na pamięć szlachetnego Serba, działał bowiem w dobrej wierze; na krótko jeszcze przed śmiercią (1706), wykończył przekład Nowego Testamentu. Syn jego Abraham, pastor w Wielkim Szunowie, początkowo poświęcał się językom wschodnim, lecz idąc za radą ojca, przerzucił się na inne pole. Dzieło jego *De originibus linguae Sorabicae* zjednało mu swego czasu znaczny rozgłos; inne, jak opis bóstw słowiańskich, spis imion własnych, wsi i miast serbskich, wyszły częściowo (1719) w zbiorze Hofmana „*Scriptores rerum Lusaticarum*“. Wywody jego lingwistyczne dziś dla nauki nie mają żadnego znaczenia, w rękopismach pozostał łacińsko-serbski i dolnołużycki słownik, oraz historję kościoła na Górnych Łużycach¹⁾. Gdy tak na Górnych, idea narodowości zbudziła się w sercach szlachetnych jednostek, na Dolnych pastorowie Niemcy z konieczności uczą się po serbsku. Dla ułatwienia im nauki, pastor z Lubnjowa, Jan Chojnan, pisze po łacinie gramatykę chociebuskiego podrzecza, a w kilkanaście lat później, 1680 r., Lampach, dolnołużycką, dotąd jeszcze w rękopiśmie przechowaną. Obie te

¹⁾ Obszerne studjum o Brancłach drukował Ernest Muka, w Č. M. za 1880—82. Z tejże samej rodziny Brancłów, zasługuje na wspomnienie pastor Michał Brancel, zmarły 1752 r. i syn jego, Salomon Boguchwał.

prace mają wartość pamiątek, na rozwój uczuć narodowych żadnego wpływu nie miały. Pierwsze więc dowody serdecznej, ojcowskiej opieki otrzymują Dolnołużycczanie z rąk Niemca Bogumiła Fabrycjusza, pastora z Picnia¹⁾. Obcy krwią, przywiązany jednak do ludu, któremu przewodniczył, zabołał nad jego tragiczną dolą. Kiedy przy wydawnictwie dolnołużyckiego katechizmu Lutra spotykały go niemałe trudności, własnym kosztem założył w Korjeniu drukarnię i tu, łamiąc wszystkie szkopy, poraz pierwszy w języku dolnołużyckim, drukował przekład Nowego Testamentu. Dla biednej, opuszczonej ludności był to skarb odnaleziony, — biblja, codzienna literatura rodzin protestanckich, spoczęła w ręku lużyckich Serbów.

Ruch, wywołany w kole protestanckich księży, zachęcił do działania i katolickie duchowieństwo. Podobnie jak w pierwszych wiekach niewoli, najcięższe razy, padały z rąk duchownych, tak samo znów, pierwsze objawy braterstwa i współczucia obudziły się w piersiach księży obu wyznań. Tylko, że młodzież protestancka w lepszych od katolickiej zostawała warunkach. Władza nie przypuszczając nawet, iż młody teolog, zapatrzony w nędzę i poniżenie rodaków, w wirze miejskim, przechowa miłość rodzinnej ziemi, pozwalała protestantom uczęszczać na uniwersytet w Lipsku i Wittenberdze. Katolicy pozbawieni byli tej sposobności. W całej bowiem Saksonii nie było wykładów teologii katolickiej, a uboga młodzież, przeważnie synowie wieśniaków, po za granice kraju wyjeżdżać nie mogła. Od czasu do czasu, za-

¹⁾ Długo czas utrzymywano, iż Fabrycjusz był Polakiem, Parczewski w artykule Prinoški k serbskiej bibliografii, patrz Č. M. za rok 1882, przytaczając przedmowę Fabrycjusza do katechizmu, stanowczo niepewność tę rozstrzyga, wykazując niemieckie pochodzenie Fabrycjusza.

możniejszy Łużyczanin kształcił się w Pradze, lecz były to nieliczne wyjątki; większość, mimo najlepszych chęci ofiarowania swoich usług ojczyźnie, oczekiwała jaśniejszych dni przyszłości. Wówczas to właśnie, dwaj bracia z Ciemierzyc¹⁾ Marcin, karmelita w Pradze i Jerzy, senior kapituły budyszyńskiej, powzięli zamiar założenia serbskiego na Łużycach seminarjum. Gdy jednak władza sprzeciwiła się otwarciu, zacni kapłani założyli je w Pradze r. 1704. Ubogi domek, na Małej Stronie, przy kamiennym moście stojący, w którym pierwsze po serbsku głoszone wykłady, dzięki wytrwałości i pracy, zamienił się z czasem w piękny, okazały budynek. Cała inteligencja łużycka wyznania katolickiego odbierała i odbierała w Pradze wyższe wykształcenie naukowe. Nad Wełtawą kształcił się czcigodny nestor pisarzy łużyckich, ksiądz Michał Hornik, i tutaj też, wpatrzony w mury siostrzanej *Praby*, czerpał natchnienie do swych sonetów i pieśni, młody, pełen talentu poeta, Jakób Bart (Cisziński). Młodzież protestancka pozazdrościła swoim braciom możliwości kształcenia się w ojczystym języku. Stęsknieni za nim, studjujący teologję w Lipsku Serbowie rzucili projekt zawiązania stowarzyszenia, któreby dało sposobność do wspólnych narad i zgromadzeń. Sześciu studentów, a mianowicie Ast, Szirach, Mossig, Behr, Knežka i Bulicjusz, otrzymawszy pozwolenie od dziekana fakultetu teologicznego, zawiązali 1716 r., tak zwane Towarzystwo kaznodziejskie serbskie. Zadaniem jego było doskonalenie się w serbskim języku. Dla młodzieży oddalonej od domu, lata całe spędzającej w otoczeniu niemieckiem, była to jedyna sposobność rozwijania w sobie uczuć narodowych. Władza uni-

1) Wieś pod Budyszynem.

wersytecka popierała dążenia słuchaczy lipskich, sądziła bowiem, iż młodzież, wyuczywszy się dobrze po serbsku, za powrotem do kraju korzystniej będzie oddziaływać na germanizowanie parafjan. Tymczasem stowarzyszenie lipskie, podobnie jak seminarjum pragskie, zostało ogniskiem najszlachetniejszych czynów i myśli.

Wogóle, wiek osiemnasty jaśniejszą dla Górnych Łużyc zwiastował przyszłość. Duchowieństwo obu wyznań gorliwą dla ludu podjęło pracę. Podniesiony moralnie, otoczony opieką księży i pastorów, wzrastał w dobrobyt. Chaty wieśniaków przestały być uosobieniem nędzy moralnej i materialnej. Uniwersytety Lipska i Wittenbergi zapełniały się żądną nauki młodzieżą. Utrzymywała ona stosunki piśmienne z kształcącymi się w Pradze kolegami. Praca i jedna myśl łączyła wszystkich. Dzięki jej, młodziutkie piśmiennictwo coraz liczniejszych zjednywało przedstawicieli. Ksiądz Jerzy Świetlik (Śwotlik), zmarły r. 1729, wydaje śpiewy religijne oraz tłumaczy wyjątki z listów apostoelskich i ewangelji. Pracuje nad ulepszeniem piśmowni łużyckiej, niektóre nawet broszurki dla ludu pisze w narzeczu, jakiem mówiono w okolicach Kulowa, ponieważ takowe za najlepsze uważał; najcenniejszą jego pracą jest poprawny bardzo przekład Pisma Ś-go, dotąd jednak w rękopiśmie będący. Wspólnie z Schmutzem, układa słownik górnołużycki, tenże znów Schmutz z Mattejem górnołużycką gramatykę (1721). Szczególniej też książki religijnej treści, jak śpiewniki i kancjonały, tak zwane „*khěrłuše*“, coraz częściej ukazywały się w druku. Wydane przez Asta, Pretoriusza, Wawra i Matteja, chętnie przez ogół czytowane były. Pierwszy zbiór ukazał się r. 1710, obejmował 202 pieśni, przy drugim wydaniu Wawer dodał 32, a w 1732 r. Boemar wydrukował już 322 pieśni.

Liczba ich wzrastała z każdym wydawnictwem, najdonioślejsze jednak znaczenie z prac religijnych, tej epoki, posiada właśnie przekład Starego Testamentu ¹⁾, dokonany w górnołużyckim języku, staraniem pastarów Langa, Jakusza, Jana Boemara i Wawra.

Duchowieństwo katolickie również dokładało gorących starań, aby odpowiednimi książkami wpływać na podniesienie ludu.

Księża Kiljan i Goljan żywą w tym kierunku rozwinęli działalność. Dzięki duchowieństwu obu wyznań, piśmiennictwo łużyckie, liczące do r. 1700. dwadzieścia zaledwie tomów, w XVIII wieku 200 prac naliczyć mogło. Dużo z nich jednak pozostało w rękopisach. Kazania serbskie dotąd rzadkość na kazalnicy, coraz częściej słyszeć się dawały w słowiańskiej, pogardzonej mowie. Wogóle, łagodne rządy Augusta III saskiego korzystnie oddziaływały na rozwój ludności. Za przykładem dworu, właściciele większych posiadłości na Łużycach zmienili dotychczasowe swoje poglądy. Strwożeni demoralizacją ludności, pozbawionej serbskich na parafjach księży, sami starali się o posiadanie serbskich, lub przynajmniej dobrze mówiących po serbsku, duchownych. Hrabia Gersdorf w Klukszu założył w 1740 r., rodzaj małego seminarjum, oraz szkołę w Cichońcach, pod Budyszynem. Drugim takim mecenasem był August Adolf von Bülow, założyciel szkoły (1752) w Wielkim Wielkowie. Wprawdzie, szkoły te upadły wraz ze śmiercią założycieli, w każdym jednak razie nie pozostały bez wpływu na rozwój języka. Młodzi kandydaci teologii, wróciwszy z uniwersytetu, od wykładów w tychże szkołach mowy rodzinnej rozpoczynali swoją działalność. Za przykładem Lipska, w roku 1749 młodzież serbska

¹⁾ Od tego czasu wyszło już osiem nakładów Biblii.

w Wittenberdze założyła stowarzyszenie kaznodziej-skie. Jakkolwiek ówczesne prądy filozoficzne pociąg-nęły za sobą Łużycan, tak, że zapomniawszy o głów-nym celu stowarzyszeń, ogólnemi więcej zajmowali się na zebraniach kwestjami, bez wpływu jednak nie zostały one na przyszłość. Zadzierzgnięty wśród mło-dzieży węzeł przeszedł na następne pokolenia, a nadto wytworzył, rzecz można, świeckie górnołużyckie piś-miennictwo.

Dotąd, znaną nam jest tylko literatura kościelna i kilka gramatyk i słowników, wydanych bez ścisłości i odpowiednich podstaw naukowych¹⁾.

Młodzież, połączona wspólnością dążeń, pisała okolicznościowe wiersze i moralne dla ludu opowia-dania. Wiele z nich pozostało w tekach autorów, lud, dla którego były pisane, nie widział ich nawet, lecz myśl, raz rozbudzoną przez gorętszych patryotów, nie zmarniała. Zdawało się, iż ciężką, ołowianą atmosferę stopiły uczucia zacnych, dobrze myślących Serbów. Tymczasem nowa wichura, w postaci wojny siedmio-letniej, rozwinęła i zniszczyła wszystkie dotychczasowe usiłowania. Bombardujące Wittenbergę wojsko roz-prasza stowarzyszenie kaznodziejskie, młodzież łużycka powraca do ubogich, zrujnowanych ognisk. Popalone wsi i sioła, przejmują trwogą kryjącą się po polach i lasach ludność. Groza nieszczęść odbija się i w piś-miennictwie łużyckiem, reakcja zastój wprowadza wszędzie. Chwilami, z poza ruin, jak meteor, błyska promień życia i jak meteor gaśnie w oczach, olśnio-nej zjawiskiem ludności. Langa, djakon w Nieswacidle,

¹⁾ Za pierwsze pomniki świeckiego piśmiennictwa dol-nołużyckiego, uważać można podany i odnaleziony przez Par-czewskiego w wrocławskiej bibliotece wiersz (patrz Č. M. za r. 1882, oraz odnalezione w tejże bibliotece przez d-ra Erzep-ki kilka wierszy (Obacz „Ateneum“ rok 1888, lipiec, str. 152).

korzystając z pięcioletniej rocznicy założenia towarzystwa kaznodziejskiego w Lipsku, przypomina się braciom wydawnictwem historii kościoła na Łużycach. Körner, pastor w Bokawie, pisze krytyczną rozprawę o języku serbskim i jego pożytku: dalej, Karol Boguchwał Anton, Niemiec, zwraca uwagę na pieśni ludu, zbiera je i wydaje, Knaut pisze historję kościoła, Horczański, nauczyciel gimnazjum zgorzelickiego pilny badacz przeszłości ludu, kreśli rzecz o jego zwyczajach. Lecz wszystkie te prace, pisane po niemiecku lub po łacinie, na sprawę odrodzenia, należycie wpływać nie mogły. Znacznie większe pod tym względem położył zasługi pastor Samuel Ponich, piszący złym, łamanym, ale zawsze ojczystym językiem, religijne dla ludu opowiadania i książeczki.

W ogólnym zastoju, jaki opanował nawet gorętsze umysły i serca, cysters z Mariny Gwiazdy, ksiądz Hanczka, pracuje nad złaniem tak niefortunnie niegdyś rozdzielonej przez Bierlinga pisowni. Kanonik budyszyński, ksiądz Wałda, układa i wydaje pierwszą książkę do nabożeństwa, oraz zbiór pieśni kościelnych (r. 1768) „Spewawa Jezusowa Winnica“. W tymże samym czasie, Jerzy Mjen, pastor z Nieswacidła, zachęcając młodsze pokolenie duchownych do pracy nad językiem ojczystym, rzuca się na pole poezji, przemawiającej łatwiej do młodych serc i umysłów. Tłumaczy Messyadę Klopstocka, pisze oryginalne wiersze, lecz przykład jego, nie znajduje naśladowców. Jedyne tylko książki religijne znajdują wydawców i czytelników. Garstka pracujących pastorów zasklepia się w obrębie parafjalnych zajęć; ludowi biblję wystarczały w zupełności, zanadto był zgębiony, aby po nad cichą modlitwą, innej potrzebował pociechy lub rozrywki. Władza w niczem nie przychodziła z pomocą, przeciwnie, paraliżowała wszelkie w tym kierunku

działania księży. Począwszy od wojny siedmioletniej, każdy dzień dla Łużyc nowe i coraz cięższe gotował straty. Duchowieństwo, oddane dobrej sprawie, w pomysłność prac swoich i trudów wierzyć już zaprzestało. Z końcem XVIII wieku, nawet śpiewniki i modlitewniki przestały ukazywać się z druku. Pastorowie Niemcy, drukarze, reprezentanci wyższych władz, słowem całe otoczenie, było tendencyjnym, dążącym do stłumienia żywiołu słowiańskiego.

Przeciwności mają to jednak do siebie, że rozbudzają najśmielsze zamiary i pragnienia. W r. 1790, to jest w chwili, gdy najmniej oczekiwano przejawów narodowego życia, dwaj teologowie protestanccy. Szirach z Budyszyna i Janko z Bukiec, założyli pierwsze czasopismo łużyckie p. t. *Měsačne pismo k rozwučenu a wokrewjenju*. Dość bogaty program w podziw wprowadził ogół, zainteresowanie wzrastało, lecz na nieszczęście, po ukazaniu się pierwszego numeru, władza wstrzymała dalsze wydawnictwo. Dla jakich przyczyn, niewiadomo, dość, że na jedynym, przechowywanym w bibliotece budyszyńskiej egzemplarzu, ktoś ze współczesnych napisał: „iż rząd zabronił wydawnictwa, w obawie rozpowszechnienia filozoficznych, nadciągających z Francji poglądów?“

Na Dolnych Łużycach położenie było jeszcze rozpaczliwsze. Nienawiść króla Fryderyka Wilhelma I do tego wszystkiego, co słowiańskie, wypędziła język serbski ze szkół i kościoła. Brak stowarzyszeń kaznodziejskich, istniejących na Górnych Łużycach, utrudniał dobre chęci niektórych jednostek, pastorowie Niemcy, karjerowicze, obojętni dla sprawy łużyckiej, całe wsi germanizują zkolei. Już w XVIII wieku, w okolicach Storkowa i Bjeskowa, żybiołu serbskiego nie było ani śladu. Prace, rozpoczęte przez Fabrycjusza, kilku zaledwie znajdują naśladowców. Abraham

Kneźka, djakon w Starej Darbnie, z nieśmiałością wypuszcza w świat kazania i książeczki religijne, Lehman r. 1739, mały katechizm Lutra. Położenie ludu było tak okropne, iż obudzało nawet współczucie u zacniejszych patryjotów niemieckich. Tak pastor z Briazyna, Wille, Niemiec, dotknięty losem parafjan, wyuczył się po łużycku tak dokładnie, iż jak rodowitym władał językiem. W r. 1746, wydał po łużycku katechizm Lutra, a w kilka lat później psalmy Dawida, księgi Jezusa i małą dla księży Agendę. Za jego przykładem, inny Niemiec, rodem z Wittenbergi, Hauptmann, pastor w Lubniewie, badał naukowo język łużycki, w przedmowie zaś do swej gramatyki, ubolewał nad pokrzywdzoną przez niemieckich pastorów ludnością. W 1769 r. wydał zbiór pieśni kościelnych p. t. „Lubnowski Serski Sambuch“. Pomnikową zaś pracą, w dziale dolnołużyckiego piśmiennictwa tej epoki, jest wykończenie rozpoczętego przez Fabrycjusza przekładu Starego Testamentu, dokonane r. 1797 przez Jana Fryderyka Friczo, pastora z Gołkojc. Brat Jana, Krystolub, znany serbski kaznodzieja w Chociebużu, obok kilku książek religijnej treści, napisał jeszcze katechizm, długie lata w szkołach używany, a którego ostatnie wydanie, ukazało się r. 1854. Do tego szczupłego kółeczka dolno-łużyckich pisarzy XVIII wieku należy jeszcze pastor Lademan, autor książki do nabożeństwa, oraz historii kościoła w państwie chociebuskiem.

Nowy wiek nowe dla obojga Łużyc zwiastował klęski. Wojny Napoleona huraganem powiały nad Górnym Łużyc krainą. Zubożałe materialnie, o duchowem odrodzeniu ani myśleć były w stanie. Młodzież przestała uczęszczać na uniwersytety, z braku członków upadły stowarzyszenia kaznodziejskie, z których jedno, a mianowicie w Wittemberdze, już później nie pow-

stało. Nawet gorącym patryotom opadały dłonie, schylali czoło przed wzmagającą się germanizacją. Wprawdzie, seminarjum praskie wykształciło od czasu do czasu w swoich murach dobrego Serba, lecz ten katolickiej niósł pomoc ludności, protestancka większość słyszała wciąż powtarzane smutnej przepowiedni słowa. Pastorowie i księża, kazali tylko po niemiecku, kolatorowie znów ze swej strony, zabraniali duchownym pochodzenia serbskiego osiedlać się na parafjach,

Czarne godziny życia, rozjaśnia jedynie obywatelska działalność Jana Dejki, stolarza z Budyszyna, któremu skrzyp pił i hebli nie przeszkadza wypowiadać piórem, zacnych i szlachetnych myśli. Założone przez niego pismo „*Serbski powědar a kurjer*” w prostych, nie uczonych słowach, wyrzucało ziomkom zaniedbanie mowy ojczystej. Pisemko, dla sprawy narodowej, wiele zdziałać mogło, lecz zwyczajną rzeczą, jak każdy objaw życia, przerażało władzę i z jej też rozkazu przestało wychodzić. Niedolę Górnych Łużyc powiększył jeszcze kongres wiedeński, oddając większą ich część, z miastem Kulowem, Wojerecami i Mużakowem, pod władzę pruskiego rządu.

Cały kraj nową pokrył się żałobą. Śmierć ostatniego serbskiego kaznodziei w Darbnie (1814) wstrząsa studujących teologów w Lipsku. Z rozpaczą w duszy, Andrzej Lubjeński, wspólnie z kolegą Adolfem Klinem, podnosi uśpione stowarzyszenie kaznodziejskie. Zostawszy pastorem w Budyszynie, z całym zapałem, oddaje się pracy. Píše powieści, opowiadania i poezje, wprawdzie, pod względem literackim, niewielkiej wartości, lecz jako zawiązki beletrystyki mające już pewne znaczenie. Pracuje nad etnografią i historią Łużyc, sam jeden, rzecz można, reprezentuje ówczesne piśmiennictwo protestanckie, podobnie, jak zasłużony zakonnik z Mariny Gwiedzdy, Tecelin Met (1759†1835r.).

należący jeszcze do pisarzy ubiegłego wieku, podejmuje pracę dla swoich współwyznawców. Lubjeński, wierny zasadom, stracił jednak nadzieję odrodzenia Łużyc. Nic dziwnego. Była to epoka, w której wstydzono się mówić po łużycku, a odzywających się w ojczystym języku, witano złośliwym uśmiechem i palcami wytykano na ulicach Budyszyna. Adolf Klin, dobry bardzo patriota, pisał jednak po niemiecku, i on, podobnie jak i Lubjeński¹⁾, czarną przewidywał przyszłość. Bezgraniczny smutek ogarnął garstkę kochających ziemię ojczystą Serbów. Koniec zdawał się bliskim.

Tymczasem jakby przez ironję Niemcom, tym którzy każdej godziny oczekiwali śmierci ostatniego serba, w epoce gdy nad Niemnem wielki wieszcz zrywał z formami klasycyzmu, po nad Szprewją urodzony poeta, Andrzej Seiler, zdumiewa uniwersyteckich kolegów pieśniami, wskazując im w przyszłości wyższe, niż zdobycie bogatej parafii cele. Ożywiony szlachetną ideą, wspólnie z kolegą Kriegarem, rozpoczyna wydawnictwo rękopiśmiennej gazety serbskiej. Skromne fundusze kształcącej się w Lipsku młodzieży nie wystarczały na farbę drukarską, lecz dobra wola i miłość ziemi ojców nie pyta się o czcionki. Tysiączne egzemplarze przepisują nocami i rozsyłają do oddalonych wiosek łużyckich. Zaznajomiwszy się z Kuchar-skim, Milutynowiczem i Palackim, marzy o braterstwie i wzajemności słowiańskiej. Wczytany w czeską i polską literaturą, pozazdrościł pobratymcom wyrobionej pisowni i stylu. Przygotowuje słownik łużycki a w 1830 r. wydaje w Budyszynie gramatykę górnołużycką. Lecz nietylko suche formy gramatyczne stanowią cel jego pracy, z pieśnią na ustach, zbiera materiały. Poezje

¹⁾ Zmarł 1840 r.

Seilera elektryzują kolegów, lecz powtarzane przez nich, słaby oddźwięk znajdują w duszy, mieszkających w Budyszynie Serbów. Myśl odrodzenia Łużyc zgasła, zamarła na wieki. Wykreśleni z listy żyjących, Serbowie schylają czoło przed smutną koniecznością. Do walki z potęgą germanizacji występuje dziecko, urodzony w 1816 r. na pruskich Łużycach Jan Ernest Smoler. Czternastoletni uczeń gimnazjum nie lęka się opozycji i szyderstwa otaczających. Gromadzi wokoło siebie kolegów, odsłania przed ich oczyma nowe, nieznane dotąd światy i na Biblii uczy ich czytać po łużycku. Te pierwsze zgromadzenia studentów, z młodzieńczą wiarą gwarzących o wielkich planach przyszłości, nasunęły Smolerowi myśl zawiązania w gronie swem stowarzyszenia. W tym celu zapukał do władz wyższych o pozwolenie. Rektor, na widok dziecka, które z rozrzuwaniem gorąco przemawiało za sprawą wielkiej doniosłości, przychylną dał odpowiedź. Skorzystał z niej Smoler, zorganizowawszy zaraz stowarzyszenie serbskich studentów gimnazjalnych, przewodniczącym jego był do r. 1836 r., to jest do chwili ukończenia gimnazjum. Rzucona iskra rozetliła ogień pod popiołami.

W tymże samym bowiem czasie, dr. Adolf Klin, ówczesny poseł na sejm drezdeński, nie waha się zdumionym Niemcom wygłaszać potrzebę wprowadzenia do szkół elementarnych nauki serbskiego języka. Po wielu zatargach z opozycją, przeprowadza nakoniec 1834 roku myśl swoją, dzięki której mowa łużycka zawitała znów do szkół ludowych. Fakt ten nową otuchą natchnął Smolera, z większym zapalem oddaje się pracy. Ukończywszy gimnazjum budyszyńskie, zwyczajem ewangelików, miał zamiar w Lipsku studjować teologję. Lecz ponieważ rząd pruski zabronił swoim poddanym, z powodu opinji rewolucjonistów,

jaką posiadali studenci w Lipsku, uczęszczać tamże na uniwersytet, Smoler zmuszony okolicznościami, zamieszkał w Wrocławiu. Bawiący wówczas w piastowskiem niegdyś grodzie, Purkynie, ścigał młodzież słowiańską; Czelakowski, Cybulski, Palacki i Srezniewski zostają serdecznymi przyjaciółmi Smolera. Zwróciwszy uwagę młodzieży, na przeszłość i dzieje Łużyc, rzuca projekt założenia stowarzyszenia, wciąga w swoje koło nawet i Niemców, i wspólnie z jednym z nich, Röslerem z Łużyc, opracowywa statuta przyszłej korporacji zatwierdzonej przez senat uniwersytecki r. 1838. Zgromadzenia, mające na celu, w pierwszych chwilach, tylko etnograficzne badania, ruchliwością swoją budzą powszechną uwagę. Smoler na pierwszym zaraz posiedzeniu odczytuje rozprawę o pieśniach górnołużyckich, których zebraniem zajmował się jeszcze za gimnazjalnych czasów. Purkynie popiera stowarzyszenie, a Smoler opowieściami o doli i przeszłości swej ojczyzny, entuzjazmuje młodzież. Jednocześnie nie zapomina o kolegach w Budyszynie, pisuje do nich listy i zachęca do dalszej, rozpoczętej przez siebie pracy. Idąc też za jego radą, dwaj studenci gimnazjalni, Karol August Mosak Kłosopolski, (późniejszy tłumacz na niemiecki język, starożytności słowiańskich Szafarzyka) i Fryderyk Imisz (dzisiejszy pastor w Göda), założone przez Smolera dorywcze stowarzyszenie utrwalają, chrzcząc go nazwą, *Societas slavica Budisinensis* (1839). Gdy myśl, rzucona przez Smolera, znalazła urzeczywistnienie, to jest, gdy młodzież zbudziła się do życia, w innym on teraz kierunku zwrócił swoją działalność. Przygnieciony odwieczną niedolą lud wiejski postanowił wyrwać z odmetu zapomnienia. Poezja ludowa, w której słowach i melodjach, kryły się bóle, nadzieje i marzenia stuleci, była pieszczonem dziecięciem starń Smolera. Uczniem będąc, biegał od wsi do wsi

i zapisywał pieśni, nucone przez ciche, zapracowane wieśniaczki. Posiadając bogaty zbiór, w r. 1842 wydał je drukiem. Jest to jedna, z najpiękniejszych w tym rodzaju publikacyj. Na tytule (*Pjesnički Hornich a Delnich Łužiskich Serbow*), figuruje obok Smolera nazwisko Haupta, sekretarza towarzystwa naukowego w Zgorzelcu. Haupt napisał tylko przedmowę niemiecką, ani słowa bowiem nie rozumiał po serbsku, a pieśni tłumaczone na język niemiecki przez Smolera, ujął w formę poezji. Cała zasługa należy się Smolerowi. Przed nim, jak wiemy, pracowano usilnie nad oczyszczeniem pisowni łużyckiej z naleciałości niemieckich, lecz zabiegi gorących patriotów nie dały odpowiednich rezultatów.

Dopiero Smoler, energiczny i stanowczy we wszystkich swoich przedsięwzięciach, wzięwszy się do pracy, przyjął alfabet łaciński i znakami djakrytycznymi, podobnie jak w pisowni czeskiej, zastąpił dawniej używane dwie litery na określenie jednego dźwięku. Smoler reformy wprowadzał zwolna, pisownię jego przyjęła najprzód młodzież uniwersytecka w swoich referatach i sprawozdaniach. Taką już poprawną pisownią wydał właśnie pieśni ludowe. Pojawienie się zbioru zwróciło powszechną uwagę. Tom pierwszy obejmuje 331 górno, drugi — 200 dolnołużyckich. Do wielu z nich dodał jeszcze muzykę, oraz wskazał miejscowość, w której daną posłyszał piosenkę. W pierwszym tomie pomieścił przytem opisy zwyczajów, podań, przesądów, mitologję, charakterystykę podrzeczy oraz opis geograficzno-statystyczny, w drugim, etnograficzną kartę Łużyc.

Smoler porzuciwszy, z powodu choroby piersiowej, poprzednie zamiary zostania pastorem, po odbytej wspólnie z Czelakowskim do Czech i Pragi podróży, powrócił na stałe do Budyszyna.

Odtąd datuje się cały łańcuch prac i ofiarności wielkiego patrioty, twórcy odrodzenia Łużyc. Z chwilą przyjazdu Smolera do Budyszyna, dr. Jan Piotr Jordan (ur. 1818), wychowaniec serbskiego seminarjum w Pradze, założył w 1842 roku pismo „Jutrzenkę“. Jordan zacny i gorących przekonań człowiek, zdolności redaktorskich nie miał żadnych. Wprowadziwszy do „Jutrzenki“ zreformowaną przez siebie pisownię, coś pośredniego między czeską a staroserbską, taką, jaką przyjął w wydanej przez siebie w Pradze r. 1841 gramatyce, zniechęcił nieobznajmionych z nowością Łużyczan. Na gruzach gazety, Seiler podówczas, pastor w Łazu, obejmuje redakcję nowopowstałych „Tygodniowych Nowin“. Nauczony smutnem doświadczeniem Jordana, zamiast alfabetu łacińskiego, przyjął dobrze znaną ludowi szwabachę. Seiler poezje Kulman satyry, Pjenek ludowe opowieści, ojciec Smolera rolnicze, wreszcie młody Jan Ernest różnej treści zamieszczają artykuły. „Nowiny“, pozbawione politycznej części, chciwie jednak przez ogół były czytane, a Smoler z radością spoglądał na ten objaw myśli i życia. Duszę jego, przepełniały znów nowe uczucia i zamiary. Jeszcze za pobytu we Wrocławiu, Macierz czeska przywodziła mu na myśl własny kraj i jego potrzeby. Garstkę inteligencji i lud, (r. 1834) połączyć chciał nicią wspólnych dążeń i poglądów. Osiedliwszy się w Budyszynie, postanowił zamiar swój doprowadzić do skutku. Grunt znalazł już przygotowany, wykarczował go własną pracą i zabiegami.

Nieszczęśliwe, zapomniane dotąd Łużyce, dzięki ruchliwości Smolera i wydanym przez niego pieśniom ludu, przypominają się słowiańskim braciom. Smoler, korzystając z chwili, gdy w powietrzu drgały jeszcze melodje piosenki serbskiej, przedstawił na zgromadzeniu młodzieży r. 1845 przygotowany przez siebie

projekt założenia stowarzyszenia serbskiej Macierzy. Wobec braku funduszków, myśl ta była zuchwalstwem. Młodzież niezamożna i lud zaledwie zbudzony z wiekowej zadumy, odpowiednich kapitałów składać nie mogli. Na pomoc pobratymców także nie liczono, okrzykami radości przyjęto jednak projekt Smolera. Studenci Cyż, Pful, Mosak Kłosopolski, poeta Seiler, nauczyciel elementarny Kocor, Imisz, Wanak, wreszcie Smoler, utworzyli tymczasową komisję, której zadaniem było spisanie ustaw i pozyskanie od rządu pozwolenia. To ostatnie nie było tak łatwem, Smoler porusza wszystkie sprężyny, w końcu, po usilnych staraniach, za wstawiennictwem Adolfa Klina, członka rady miejskiej w Budyszynie, w roku 1847 w środę po Wielkiej Nocy, wezwani przez „Tygodnikowe Nowiny“, Serbowie stawili się na uroczysty, pamiętny w dziejach Łużyc, dzień założenia towarzystwa Macierzy¹⁾. Zapał ogarnął wszystkich, do stowarzyszenia przystępowali duchowni obu wyznań, nauczyciele elementarni, młodzież gimnazjalna, i lud wiejski. Umiejętność, z jaką Smoler wziął się do przeprowadzenia najgorętszych pragnień, zainteresowała ogół. Posiedzenia Macierzy, wybory członków i zarządu, zachęcały do uczestnictwa nie tylko inteligencję, lecz i lud jednocześnie, do którego Smoler pisał oddzielne zaproszenia i odezwy, wskazując drogę wspólnej dla narodu pracy. Już w r. 1848 ukazał się pod redakcją Smolera pierwszy, tak serdecznie witany przez Serbów, zeszyt czasopisma, opatrzone gorącą przedmową Adolfa Klina.

Tak więc dzięki Smolerowi, powołane zostało do życia wydawnictwo, będące punktem ciężkości dla

1) Na pamiątkę założenia, corocznie w środę po Wielkiej Nocy, odbywają się walne posiedzenia Towarzystwa Macierzy.

całych Łużyc. Instytucja, której członkowie płacili skromne, ciężko zapracowane grosze, zaraz w pierwszych latach istnienia podjęła się wydawnictwa dzieł pożytecznych, treści popularnej i naukowej. Ukazują się drukiem, kazania Lubjeńskiego, dalej, towarzyszy i kolega zacnego pastora, Ernest Bohuwier Jakób, również gorący patriota i autor wielu prac religijnych napisał „Serbskie górne Łużyce“, źródła dla badaczy przeszłości łużyckiej; biblijografia, literatura i statystyka doprowadzone w nich do r. 1848. Rok rocznie nowe dzieła wzbogacają literaturę łużycką. W ślad za źródłami Jakóba, wychodzą nakładem Macierzy: „Wojny Napoleona“ Pohończa, „Powieści dla ludu“ Muczinka, „Ogrodownictwo“ Kralla, „Pieśni narodowe“ Kocora, „Śpiewnik“ Fiedlera i wiele innych, a przede wszystkim, najcenniejsza praca, wydana 1866 roku, a mianowicie, „Słownik łużycko-niemiecki“, opracowany staraniem D-ra Plufa, Seilera i księdza Hornika¹⁾. Popularnej treści książki, wypuszczane w świat za bezcen, przedarły się nawet do najmniej zamożnych mieszkań.

Jak dalece pożytecznem było dla Łużycan, towarzystwo Macierzy, przekonywa nas jego rozwój. Z kolei, powstawała jedna sekcja za drugą. Po lingwistycznej, historyczna, przyrodnicza, beletrystyczna, wreszcie w 1868 r. pedagogiczna, zajmująca się wydawnictwem książek szkolnych i elementarnych. Ukazujące się corocznie, począwszy od r. 1848, zeszyty czasopisma powołały do współudziału w piśmiennictwie ludzi nauki. Czytając owe zeszyty, widzimy ile tam pracy sumiennej i wytrwałej złożyła garstka inteligencji. Dział lingwistyczny, bogato opracowany, wiele także cennych przyczynków z ogólnej slawistyki i filologii przedstawiają rozprawy ks. Hornika, Pfuła i Smolera.

¹⁾ Do współpracownictwa należał także Kućank.

Założenie Macierzy, podobnie jak i cały ruch, wywołany działalnością Smolera, rozgrzał wszystkie serca i umysły. Duch narodowy i ruch intelektualny budzi się wszędzie; nawet w Dreźnie Serbowie, dzięki staraniom pastora Jakóba, posłyszeli na kazalnicy dźwięki ojczystej mowy¹⁾. Młodzież serbska w Pradze zakłada stowarzyszenie „Serbówką“ zwane. Powodzenie „Tygodniowych Nowin“ zachęca literata Bartka, do założenia wspólnie z Piekarem gazetki „Serbski Nowinkarz“, księża Jacsławk i Kućank redagują katolicki organ „Jutrzenkę“. Lecz oba te pisma nie wiele miały prenumeratorów, redaktorowie złożyli wkrótce broń, oddając swe usługi na rzecz „Czasopisma Macierzy“ i „Tygodniowych Nowin“, redakcję których w r. 1848 objął Smoler. Była to epoka brzemienna wypadkami. Od umiejętnego pokierowania umysłami Łużycan zależała cała przyszłość kraju, Smoler jako redaktor „Tygodniowych Nowin“, stanowiący wyraz przekonań i dążeń narodowych, w ręku swoim trzymał losy krainy łużyckiej. W konserwatywnym duchu redagowany organ sprawił, iż rewolucyjne prądy r. 1848 nie ogarnęły ponad Szprewją mieszkających Słowian. Daremne były namowy demokratów niemieckich i Bakunina, który mieszkając podówczas w Dreźnie, szeroką na Łużycach starał się rozwinąć agitację. Smoler i jego towarzysze, w rewolucji żadnych dla swej ojczyzny nie widzieli korzyści, zostali wiernymi dynastji Wettinów, i to ich ocaliło. Po uśmierzeniu wybuchu, król saski pomny, iż na ulicach Drezna tylko pułk z Serbów złożony nie wymierzył przeciw niemu bagnetów, na przedstawioną r. 1849 przez Smolera w imieniu narodu petycją o równouprawnienie języka serbskiego, przychylną dał odpowiedź.

¹⁾ Cztery razy do roku odprawiają się serbskie nabożeństwa w Dreźnie.

Polityka Smolera przywróciła język łużycki nie tylko szkołom elementarnym i kościołowi, lecz odtąd jeszcze dozwolonem było w biurach i sądach przemawiać ojczystą mową. Smoler w temże samem gimnazjum, w którym, dzieckiem uczył kolegów po łużycku, po dziewięciu latach zamianowany nauczycielem, rozpoczął systematyczne, chociaż nie objęte programem szkolnym, wykłady mowy ojczystej.

Nadzieja wstąpiła w serca wszystkich. Mając przywrócony język i wolność obsadzania parafji dobrymi patriotami, dalsze kierownictwo losem, moralnie odbudowanej krainy, złożono w ręce Towarzystwa Macierzy. Przywrócenie praw narodowości serbskiej, korzystnie oddziaływało na ludność wiejską. Uczucia jej przygniatały zawsze cywilizacją niemiecką, spotęgował fakt, gdy bawiący w 1850 r. z wojskiem w Budzyszynie, dzisiejszy król saski uczył się po serbsku od Smolera. Poczęli więcej cenić i szanować ojców swoich mowę. Dla Smolera była to chwila najwyższej radości, nagroda za wszystkie trudy i starania. Objaw ten do nowej zachęcał go działalności, obchodził pieczo wsie, namawiając wieśniaków do zakładania różnych stowarzyszeń i do rozpoznawania swoich praw, mowy i przeszłości. Szczególniej też jako redaktor „Serbskich Nowin“, wielką na tem polu rozwinął działalność. W r. 1848, objąwszy redakcję „Tygodniowych Nowin“, zamienił je na „Serbskie“, polityczną, ulubioną gazetę Łużycan. Umiejętność przemawiania do serc i przekonań czytelników maluje się najlepiej w redaktorskiej pracy Smolera. W r. 1849, na 90,000 tysięcy Serbów łużyckich, „Nowiny“ liczyły 1200 prenumeratorów. Przy najszczuplejszych środkach materialnych, w jednym małym pokoiku, stanowiącym drukarnię, redakcję i ekspedycję pisma, sam drukarz, redaktor, korektor i wydawca, Smoler drukuje gazetę, od pierw-

szego numeru przykuwającą tak dalece uwagę czytelnika, iż stał się jego codziennym niezbędnym pokarmem. Te same zdolności okazał również na stanowisku redaktora „Czasopisma Macierzy“ i „Łużyczana“.

Obok narodowych i ogólnie słowiańskie cele budziły interes gorliwego Serba. Bawiąc w 1846 r. w Lipsku wspólnie z Jordanem, redagował „*Slavische Jahrbücher*“, gdy zaś upadły między 1852 a 1858, podjął w Budyszynie nową ich serję. Niezrażony powtórnie niepowodzeniem, od r. 1862 — 1865 redaguje znów „*Zeitschrift für slavische Literatur, Kunst und Wissenschaft*“, w którym, między innymi, drukował opis bytności Mickiewicza i Odyńca u Goethego, oraz niektóre ustępy z Szajnochy i Mosbacha. Wobec mało rozwiniętej idei wzajemności słowiańskiej *Zeitschrift* chromało mocno, aby je ożywić, zamienił na „*Slasches Centralblatt*“ (1865—1868), traktujące nie kwestje naukowe ale raczej bieżące chwile z życia Słowian. Lecz i na tem polu spotkał go zawód, podobnie jak na założonej w 1863 w Budyszynie wspólnie z Pjechem księgarni.

Zadaniem jej było skoncentrowanie słowiańskiego ruchu wydawniczego. Powodzenie jej było wątpliwe; w r. 1870 przenieśli księgarnię do Lipska, lecz i ta zamiana miejscowości nie wpłynęła na rozwój słabo kiełkujących idei.

Niemieckie kalendarze, zalegające pułki chat wieśniaczych, Smoler wyrugował z Łużyc, wydając pierwszy kalendarz serbski „*Předženak*“ 1854 roku, w tysiącu egzemplarzach, kosztem towarzystwa Macierzy. Obecnie wychodzi corocznie pod redakcją pastora Rōda, tylko że liczba prenumeratorów wzrosła do poważnej cyfry pięciu tysięcy¹⁾.

¹⁾ Od r. 1868 wychodzi dla katolików „*Krajan*“ i w Hoyerswerda (Wojerecy) „*Holan a Polan*“.

Na pozór nic nie znacząca, codzienna literatura ludu przyczynia się nie mało do rozwijania zdrowych wśród czytelników pojęć.

Oprócz wyżej wymienionych prac literackich i naukowych w r. 1841 Smoler wydał „Małego Serba“, rozmowy przeznaczone dla uczących się po serbsku, dalej niemiecki słownik, w r. 1850, gramatykę łużycką, tłumaczył także „Odgłos pieśni ruskich“ Czelakowskiego i zakwestjonowany dzisiaj rękopis królowski. Był przytem współpracownikiem wszystkich pism łużyckich, w kwestjach zaś związanych z historją i literaturą Łużyc pisał do niemieckich dzienników, na niemiecki tłumaczył Hilferdynga „Pomniki Słowiańszczyzny połabskiej“.

Uboga nieszczęśliwa kraina posiadała i posiada wielu pracowników gotowych życie całe oddać jej w ofierze, lecz co do ducha inicjatywy i wytrwałości, w przeprowadzeniu najtrudniejszych zamiarów i dążeń, nikt nie dorównał Smolerowi. Z imieniem jego złąła się historja odrodzenia Łużyc. Nic dziwnego, iż wdzięczny naród w sercu swem na wieki pomnik wielkiemu patrjocie wystawił¹⁾. Obok tej wzniosłej posągowej postaci grupuje się cały szereg ludzi zasłużonych, pracowników pierwszej epoki odrodzenia.

Dr. Jan Piotr Jordan, założyciel „Jutrzenki“, po jej upadku, osiadł w Lipsku, redagując wspólnie z Smolerem „*Jahrbücher*“. Powołany na katedrę slawistyki, długo jednak z powodu swych przekonań na tem stanowisku nie mógł pozostać. W r. 1848 przeniósł się do Pragi, pisał także po czesku, jako członek „Słowiańskiej Lipy“, gorliwie się zajmował jej rozwojem oraz wydawnictwem „*Slavisches Centrablatt*“. Pracował nad ulepszeniem pisowni łużyckiej, w 1841 roku wydał gramatykę łużycką, historję Czech po niemiecku.

¹⁾ Smoler zmarł w Budyszynie 13 czerwca 1884 r.

Gorący patriota, niegdyś ruchliwy dziennikarz, dziś stale mieszka w Wiedniu, zasilając od czasu do czasu niemieckie dzienniki artykułami z dziedziny slawistyki. Gdy o dr. Jordanie jako o towarzyszu pracy Smolera mowa, wychyla się zaraz z pamięci postać Fryderyka Imisza, pastora z Hodzija (Göda). Założyciel stowarzyszenia „*Societas slavica budisinensis*“, jeden z najczynniejszych członków przy zbieraniu w r. 1848 petycji serbskiej oraz towarzysząc agitatorskich prac Smolera, dziś jest nader wpływowy w kole protestanckich Serbów łużyckich, „papież łużycki“ jak go nazywają przez ironję Niemcy. Ponieważ statuta Macierzy zabraniają wydawnictwa dzieł religijnej treści, ks. Imisz wspólnie z innymi duchownymi założył „Serbskie luterskie stowarzyszenie księgarskie“, które od chwili zawązania się kilkadziesiąt ksiązek treści religijnej wydało swoim kosztem. Niemi to chroni Łużycan od zalewu niemieckich ksiązek i modlitewników. Obok dzieł treści religijnej, broszur i licznych artykułów, pastor Imisz pomieszcza także niektóre swoje rozprawy w Czasopiśmie Macierzy, czas jakiś redagował protestanckie pismo „*Žernički*“ a w 1881 r. wspólnie z pastorami Jenczem i Sikorą wykończył wzorowy przekład Biblii, który podobnie jak i wszystkie tego rodzaju wydawnictwa, wielkiej dla sprawy odrodzenia ludu jest doniosłości. Pełną obywatelskich zasług jest również działalność, jaką rozwija kierując założonem przez siebie seminarjum. Młodzież duchowna podczas kilkuletnich miesięcy kształci się w domu pastora Imisza na dobrych kaznodziei serbskich.

Do teje samej epoki odrodzenia, chociaż młodszymi latami (ur. 1825), należy Krystjan Bohuwier Pful, b. wyższy nauczyciel w Dreźnie, zasłużony autor słownika serbskiego i pierwszej naukowo w języku łużyckim traktowanej rozprawy o formach i zgłos-

kach. Pful pierwszy także opracował porównawczo gramatykę łużycką, a podane przez niego pomniki połabskiej Słowiańszczyzny o wiele treściwiej i obszerniej od tychże Hilferdynga zostały zebrane. Między innymi, zamieścił w nich zabytek XVI wieku „Ojciec nasz“, według Westfalena zabytek meklemburski, a który Pful stanowczo za łużycki uważa. Zajmował się także przekładami klasyków greckich i rzymskich, pisał do niemieckich, lingwistycie poświęconych czasopism i jak wszyscy patrjoci łużyccy, w danym razie zasila różnej treści artykułami dzienniki ojczyste. Zbierał pieśni, podania i przypowieści ludowe, niektóre z nich w ostatnich czasach przybrał w szatę poezji. Jednocześnie, gdy w Budyszynie Smoler dokładał starań, aby projekt założenia „Macierzy“ doszedł do skutku, kształcąca się w Pradze młodzież zakłada stowarzyszenie „Serbowką“ zwane, mające na celu wzajemną pracę dla języka i literatury ojczystej. Pierwszym przewodniczącym w Serbowce od 1846 — 1847 r. był Jakób Buk, teolog (ur. 1825), późniejszy redaktor i bibliotekarz Č. Macierzy oraz dworski kapelan w Dreźnie. Wielce szanowany, obdarzony zaufaniem dworu saskiego, ks. Buk nie przestał być wiernym i gorliwym Serbem. Jego rozprawa o dźwiękach¹⁾ przyczyniła się niemało do utrwalenia analogicznej, poprawnej pisowni łużyckiej.

Do pierwszych jego utworów literackich należą nie bez talentu pisane poezje oryginalne i przekłady Czelakowskiego. W czasopiśmie „Macierzy“ drukował bogaty zbiór przysłów górnołużyckich.

Potrącając o poezję łużycką, musimy przede wszystkim cofnąć się wstecz i wymienić nazwisko Andrzeja Seilera, poety, którego imię, dzięki działal-

¹⁾ Č. M. 1849 — 1852 r.

ności Smolera, przedarło się do wszystkich chat i wiosek łużyckich. W pieśniach jego Łużycanie odnajdują siebie, Seiler to poeta *par excellence* narodowy, wierny malarz uczuć, marzeń i cierpień swego ludu. Umie tak grać na strunach jego duszy, iż czytając poezję Seilera Serb łużycki zdala od „*wotčiny*“, ogłuszony hukiem karczujących lasy nowego świata fermerów, posłyszysz szmery odwiecznych nadszprewiańskich lasów. Seiler zna lud, o którym śpiewa, zna go osobście nie z książek i nie z opowieści trzecich osób. Swoich bohaterów i bohaterek nie stroi w salonowe suknie, jego Hanki kochają, cierpią i czarują po swojemu. Uczucia ich skreślone w formie prostej, a wdzięcznej, nie rażą jaskrawością, nie w nich sztucznego i naciąganego, chociaż forma odpowiada wszelkim wymaganiom poezji. Taka w nich śpiewność i potoczność wiersza, iż pomimowoli dobiera się w myśli melodję. Pisane były przeważnie pod muzykę, pocie szło o rozbudzenie w ludzie wiejskim zamiłowania do muzyki. Do niektórych sam podkładał melodję, przeważnie zaś znany na Łużycach muzyk Kocor. Spopularyzowały się tak dalece, iż dziś śpiewa je każdy, uczony doktor filozofji, rolnik za pługiem i dziewczę tańczące na „*skhadzowankach*“ reję. Rozrzucone w pismach łużyckich, dopiero w r. 1883 ukazały się w zbiorowym wydaniu d-ra Ernesta Muki. Jak dotąd wyszło ich dwa tomy, trzeci w druku¹⁾. Muka układał je porządkiem tak, jak poeta tworzył, tym sposobem czytelnik może najlepiej ocenić stopniowy rozwój talentu wieszca łużyckiego. Tom pierwszy obejmuje utwory okolicznościowe, pisane za dni studenckich, gdy duszę

¹⁾ Ernest Muka podjął się redaktorskiej pracy, fundusze składają wszyscy, przeważnie młodzież gimnazjalna i uniwersytecka zbiera składki.

poety przepełniały złote sny młodości. Są tam powitania nowo przybywających kolegów, elegie na śmierć niektórych, opisy zjazdów, rocznic narodowych, wreszcie różnej treści pieśni. Jedna z nich *Wjesołe spēwančko*, brzmi na ustach gimnazjalnej i uniwersyteckiej młodzieży. Objęte tymże samym tomem balady, satyry i w heksametrach klasycznym duchem owiane wiersze okolicznościowe, mniejszej już są wartości... Odgłosy pieśni ludowych, drobne perełki, tchnące świeżością pól i lasów, zamykają pierwszy tom wydawnictwa. Drugi obejmuje poezje liryczne większych rozmiarów, a mianowicie „Pory roku“, utwór długi czas uważany za naśladownictwo poematu angielskiego poety Thomsona. Wprawdzie tytuły zeszły się z sobą, poeta Albionu był ulubieńcem Seilera, być może, że często wczytywał się w niego, lecz duch poezji słowiańskiej drga w każdym słowie pieśni łużyckiej. Śpiewność, melodyjność i ta wieczna tęsknota za tem, co być powinno a czego losy odmówiły pocie i jego braciom, stanowi odrębną cechę utworu Seilera. Malowniczością celuje obszerniejszy poemat „We-sele serbskie“, opisujący zwyczaje i obyczaje ludu. W obrazach tego rodzaju Seiler jest mistrzem. Piękne są również „Pieśni z gór“, mniej już udatne większe libreta do muzyki Kocora, dalej satyry: *Hanc Wučb, Jakob a Katha*, oraz łąbedzi śpiew poety *So zvoní měr*, pisany na rok przed śmiercią 1871 r. Seiler należy do najpłodniejszych poetów i pisarzy łużyckich, Oprócz pieśni lirycznych, fragmentów, balad i satyr pisał także i wydawał książki religijne. Obywatelska i społeczna jego działalność znana nam jest z poprzednich o Smolerze ustępów; czas jakiś redagował organ religijny „Misjonskie powieści“. Różnorodność zajęć i ciężkie warunki życia nie zawsze pozwalały pocie piętnem swego talentu znaczyć wszystkie utwory.

W każdym razie, jako liryk, jako poeta ludowy, Seiler jest chlubą swego narodu. Kiedy opisuje uroki wiosny lub mroźne miriadami gwiazd rozjaśnione noce, kiedy kreśli cnoty, wesołą rubasznosc rolnika lub łzawą dolę sieroty, zawsze i wszędzie zna i kocha swoich braci. Nawet słabe strony Serbów, ich wady i cześć dla cywilizacji niemieckiej, ujął w ramy poezji. Znają go też wszyscy i żaden z poetów słowiańskich nie doczekał się u swoich tej, co Andrzej Seiler, popularności. W ślady jego wstępuje szereg mniej lub więcej uzdolnionych poetów. Współpracownik „Tygodniowych Nowin“ Kulman, przyjaciel Seilera, autor powieści i opowiadań dla ludu, wydał w r. 1861 zbiór satyr p. t. „Pszczoły, osy i szerszenie“. W zbiorze tym pomieścił także i niektóre satyry Seilera. Zdolniejszym już i płodnym poetą starszego pokolenia, jest Jan Wjela (ur. 1822), nauczyciel z Żidowa, piszący pod pseudonimem Żariņa i Radyserba. Szczególniej piękne są jego balady drukowane w „Č. M.“ i w dawniejszym „Łużyczanie“, mniej już udatny poemat *Trojniki*¹⁾. Zasluguje też na wzmiankę poemat epiczny Cešli „Król Przybysław“, w którym bohaterska postać władcy Serbów rysuje się na tle krwawych stosunków ówczesnych.

Poezja łużycka ma jeszcze przedstawiciela w utalentowanym liryku, Karolu Auguście Fiedlerze. Fiedler, nauczyciel ewangelickiego seminarjum w Budyshynie, czas jakiś redagował „Łużyczana“. Staraniem jego założone towarzystwo śpiewackie przyczynia się niemało do łączenia z sobą młodzieży różnych warstw i stanów.

¹⁾ Na konkursie ogłoszonym przez T. M. z powodu rocznicy odsieczy wiedeńskiej, powieść jego „Półksiężyc“ została uwieńczoną.

Jako tłumacze, zasługują na wzmiankę: Piotr Duczman doktor w Budyszynie, który przekładał Schillera, Jan Bartko znany pisarz ludowy, tłumacz Körnera, wreszcie Jan z Lipy autor nie wydanej dotąd tragedji „Juljusz Cezar“, który przełożył sonety Szekspira. Od czasu do czasu przypominają się jeszcze pieśniami Warzko, Rola i dwie literatki Herta Wiczazowa i Emilja P. żona pastora Imisza a siostra znanego lingwisty Pfula.

Jak widzimy, poezja licznych ma na Łużycach przedstawicieli. Cała inteligencja z epoki odrodzenia, filary drobnej narodowości, wytrawni pisarze i początkujący autorowie, każdy z nich wdziera się na Parnas.

Tragiczność dziejowa rozmarzała i rozmarza serca skutej w zaraniu ludności. Najzdolniejszy pisarz łużycki, ksiądz Hornik, od poezyj rozpoczyna swą pracę literacką. Twórca odrodzenia Łużyc Smoler, badacz przeszłości Jencz, sprawom kościoła oddany ks. Buk, słowem wszyscy ci ludzie zasłużeni dla literatury i sprawy narodowej, z różnem szczęściem pisali mową związaną. Piękny, pełen uczucia wiersz lingwisty Pfula *Hory modre ja was znaju*, brzmi na ustach wszystkich. Poezja jednak łużycka nie dotyka wszechludzkich uczuć i namiętności. Wrzawa ścierających się na ogólnej arenie świata poglądów nie znajduje przystępu do uczuć i natchnień poetów. Każda piosenka, wierszyk ulotny pisany jest z myślą rozbudzenia w czytelniku uczuć narodowych. Jeśli nawet taki wyższy talent jak Cisińskiego, potęgą wyobraźni szersze obejmuje horyzonty, sam nakłada sobie pęta powracając do pól i uczuć rodzinnych. Taki sam stosunek zachodzi i z powieścią. Fabuła jej zawsze prosta; nawrócony przez miłość lub wzgardę swego otoczenia, zniemczony Łużycanin, staje się typem łużyckiej powieści. Psychologiczne prawdy, subtelne rozbiory uczuć na drugim

stoją planie, w właściwym nawet tego słowa znaczeniu powieści nie ma, tylko szkice i opowiadania. Poetą jednak na Łużycach jest każdy uczony i literat, podobnie jak uczonymi literatami są wszyscy poeci, których imiona związały się z historią odrodzenia Łużyc. Nawet prosty samouk, Piotr Młonk (ur. 1805), pisze wierszem pieśni religijne.

Pozbawione politycznego życia, Łużyce z postępem czasu idą jednak naprzód. Każda gałąź wiedzy posiada swoich pracowników. Wydawnictwa religijne i popularne dla ludu odznaczają się głębokiem zrozumieniem swego celu i zadania. Z dziedziny nauk przyrodniczych zwracają uwagę rozprawy Michała Roztoka, autora łużyckiej terminologii botanicznej. Historykiem, badającym dzieje niewielkiej krainy, jest pastor Karol August Jencz, autor cennej rozprawy *Stawizny serbskeje řeče a narodnosti*. Jencz zebrał także prawie wszystkie dumki łużyckie, pisał wiele rozpraw o przeszłości łużyckiej, z których cenniejsza „o pisarzach ewangelickiego wyznania“. Ciekawą bardzo jest jego opowieść „o serbskich królach“¹⁾, z których jeden Przybysław, Krescentiuszem przez niemieckich kronikarzy zwany, uciekając, jak podanie niesie, przed srogością Niemców na Błota Szprewji, własnymi rękami usypał wały obronne i założył gród, nowej ojczyzny siedlisko²⁾.

Jencz znany jest także z prac na polu religijnem, podobnie jak i pastrowie Rōda, Sikora i Domaszka, piszący pod pseudonimem Szimona rzewne, pełne talentu pieśni liryczne.

1) Č. M. 1849—1850.

2) Największe w Słowiańszczyźnie grodzisko, kolo wsi Borkowy usypane, dotąd jeszcze grodem zwane, miało być właśnie ostatnich królów schronieniem.

Do tejże jeszcze epoki odrodzenia należy Bohu-
wier Pjech, wspomniany wyżej księgarz ¹⁾, gorący pa-
trjota, tłumacz Hawliczka i Turgeniewa. W ostatnich
czasach przetłumaczył na niemiecki język literatury
słowiańskie Pypina i Spasowicza, w którym to prze-
kładzie łużycka doprowadzona jest aż do chwili bie-
żącej.

W gronie przedstawicieli pierwszego pokolenia,
spotykamy jeszcze nazwisko Edwarda Wjelana pa-
stora w Slepem pod Mużakowem. Równieśnik i ko-
lega gimnazjalny Smolera, zwiedziwszy całą Słowiań-
szczyznę, czas jakiś jako nauczyciel domowy przebywał
w Polsce. Początkowo udatne przekłady z bratnich
poetów umieszczał w „Łużyczanie“ i innych pismach;
z dziedziny djalektologii znana jest jego rozprawa
„O pogranicznym narzeczu mużakowskim“ ²⁾.

Młodszym od poprzedzających, ale zawsze współ-
pracownikiem tej pierwszej świetlanej epoki odrodze-
nia, jest ksiądz Andrzej Duczman proboszcz z Rad-
worja; w 1869 r. wydał biblijografię Serbów katolickich,
oraz żywoty świętych, wielce wśród ludu rozpowszech-
nione wydawnictwo. Pisał także rozprawy z leksyko-
grafji, zbierał legendy i podania ludu, znany jest
również w dziale literatury ludowej.

Rozpoczynając rys epoki odrodzenia, skreśliliśmy
działalność jednego z najznakomitszych patrjotów łu-
życkich. Zamykając dzieje owych dni, staje nam rów-
nież przed oczyma cicha, pełna ofiarności i poświęceń
postać drugiego patrjoty, znanego w całej Słowiań-
szczyźnie księdza Michała Hornika ³⁾. Ukończywszy

¹⁾ Pjech, jako współpracownik firmy Brockhousa, mie-
szka stale w Lipsku.

²⁾ Czasopismo „Macierzy“ 1869 r.

³⁾ Urodził się w Worklecach, pod Budyszynem 1833.

gimnazjum w Budyszynie, a następnie wyższe studia w seminarjum i uniwersytecie praskim, Hornik powrócił do Budyszyna i odtąd już stale tam przebywał. Młodziutkim uczniem gimnazjum będąc, zwrócił na siebie uwagę patriotów dojrzałością umysłu i znajomością języków słowiańskich. Utwory jego poetyczne, proste, rzewne a w piękną ujętą formę, należeć mogą do prawdziwych perełek literatury łużyckiej¹⁾. Jako tłumacz poetów słowiańskich, pod względem czystości i piękności stylu nie ma naśladowcy. Nie na tem jednak polu zdobył sobie uznanie i wielką miłość całego narodu proboszcz budyszyński. Bez zaprzeczenia jest on najzdolniejszym publicystą, etnografem, lingwistą i historykiem łużyckim. Pierwsza jego praca lingwistyczna, „gdzie należy pisać o“, stanowi ważny przyczynek do ulepszenia ortografii łużyckiej. Z chwilą otwarcia sekcji lingwistycznej (przy towarzystwie „Macierzy“), prace, dotyczące reform językowych lub ogólnej filologii, stale zamieszcza prawie w każdym zeszytcie czasopisma. Dość wymienić cenniejsze z nich, jak: „Imiona biblijne w serbskich katolickich książkach“ (1865), o „Abrahamie Branclu“ (1868), Rękopiśmienna Agenda z 1667“ (1869), „w jakim podrzeczu pisał Tharaeus“, „o ortografii Michała Brancla“ i wiele innych, np. „rozprawa o dolno-łużyckich wyrazach w słowniku Megisera“, „o Jakóbie Tycinie i jego gramatyce“, „o serbskich wyrazach w magdeburskim rękopiśmie“²⁾, wogóle wiele cennych rozpraw dialektologicznych i gramatycznych wyszło z pod pióra Hornika. Znamca wyborczy historji swego kraju, pra-

1) Podpisywał poezje pseudonimem Horczańskiego.

2) W. Č. M. za r. 1875, drukował rotę przysięg w języku serbskim, zabytek 15 wieku, wyjęty z ksiąg miejskich budyszyńskich.

cował i pracuje usilnie nietylko nad ustaleniem i zlaniem rozdzielonej religijnem wyznaniem pisowni, lecz jeszcze nad utworzeniem wspólnej dla obu rozdartych politycznie Łużyc. Gdyby myśl jego znalazła urzeczywistnienie, tak dla narodowego jak i umysłowego rozwoju Łużyc, byłoby to z niemałą korzyścią. Patrząc na działalność Hornika, podziwiać należy wytrwałość i umiejętność, z jaką spełnia rozliczne swoje obowiązki.

Gdy w r. 1858 założył przy serbskich „Nowinach“ „Dodatek miesięczny“ treści beletrystycznej, piszących było niewielu, a Smoler, oddany „Nowinom“, z pomocą przyjść nie mógł, literalnie cały numer zapełniał ks. Hornik swemi artykułami; podobnież się działo z „Łużyczanem“, który on w r. 1860 powołał do życia. Poważniejszej już treści pismo obok literackich słowiańskim poświęcone kwestjom, redagując lat kilka, własną wyłącznie podtrzymywał pracę. Niemałe zasługi położył także, zakładając związek Ś-go Cyryla i Metodego, który na wzór stowarzyszenia ewangelickiego, kilkadziesiąt książek religijnych wydał swoim nakładem.

W r. 1868 powołany na redaktora czasopisma „Macierzy“, z wytrwałością prowadzi pełną mozołów pracę. Czas jakiś redagował „Katolickiego Posła“, współpracownik wszystkich górno i dolnołużyckich pism, Hornik pisuje także do słowiańskich i niemieckich czasopism. Wyborny znawca języków romańskich, tłumaczy z włoskich i francuskich poetów.

Różnolitość zajęć i prac nie wpływa jednak na zaniedbanie obowiązków swego zawodu. Rok rocznie z okazji różnych świąt kościelnych, ksiądz Hornik pisze i wydaje drobne artykuły, broszurki religijne i moralne dla ludu, znacząc je zawsze piętnem szlachetnych dążeń i przekonań. Obznajmiony z ruchem i literaturą pobratymców, jest dla Łużyc łącznikiem

z resztą słowiańskiego świata. W ostatnich czasach przetłómaczył i krytycznym poglądem opatrzył „Rys dziejów Serbów łużyckich“ Bogusławskiego oraz „Nowy Testament“¹⁾.

Wzorowy kapłan, którego cnoty oceniają nawet niechętni Niemcy, gdy idzie o sprawę wielkiej dla Łużycan doniosłości, nie waha się redagować przez lat kilka protestancki dla Dolno-Łużycan kalendarz „*Pratje*“. Nie ma literackiej pracy, nie ma patriotycznego czynu, nie ma wzniosłej idei, do którejby Hornik, dzisiaj najpopularniejsza osobistość na Łużycach, nie przyłożył swej ręki, nie wlał cząstki swego ducha²⁾.

Wszyscy pisarze z epoki odrodzenia, którzy na świt jej z obawą w sercu spoglądali, pracą swoją i wytrwałością utorowali drogę młodszemu pokoleniu. Nowe pokolenie, młodoserbami zwane, nie tworzy żadnej opozycji, nie pragnie usunąć się z pod wpływu starszych, lecz inicjatywą swoją pragnie powołać do czynów nowe nie zużyte jeszcze w walce z przeciwnościami siły. Program zakreślony przez przywódców, jest dalszym ciągiem zbiorowej pracy, jedna myśl i jeden cel ożywia wszystkich. Podobnie jak za czasów Seilera, tak i w ostatnich latach kształcąca się w Lipsku młodzież, założyła w r. 1876 swój organ, rękopiśmienną gazetę „Serbską lipę“. Za jej pomocą łączyli się słuchacze lipscy z gronem studjujących w Pradze Serbów i znowu jak niegdyś nowe, pełne szlachetnych przejawów życie, ukazało się na literackim i społecznym horyzoncie. Po niejakiem czasie przeniesiona do Budyszyńska redakcja „Serbskiej Lipy“ otrzy-

¹⁾ W ostatnich miesiącach r. 1888 wydał zbiór pieśni kościelnych.

²⁾ Robotnicy polscy, mieszkający w Budyszyźnie znajdują w nim w każdym razie prawdziwego opiekuna.

mała nominalną opiekę Smolera, chociaż właściwym jej redaktorem był Jakób Bart młody teolog, uczeń serbskiego seminarjum w Pradze. Dwa pokrewnej natury pisma jak „Łużyczan“ i „Lipa“ istnieć obok siebie nie mogły; redaktorowie, dobro czytelników przede wszystkim mając na celu, zgodzili się na zlanie dwóch pism w jedno beletrystyczne: „Łużycę“, od r. 1882 pod redakcją d-ra Muki wychodzące.

Ernest Muka wybitne w gronie młodoserbów zajmuje stanowisko. Filolog do niedawna wyższy nauczyciel w Budyszynie, wstępując w ślady Smolera jeszcze jako uczeń gimnazjum zbierał pieśni i podania ludu. W r. 1880 wspólnie z Alfonsem Parczewskim zwiedził Muka pieszo całe Dolne Łużyce, ku czemu obu podróżnych wiodła myśl zebrania dokładnych cyfr statystycznych ludności serbskiej. W podróży zebrał Muka ciekawy materiał do etnografii ludu z okolic dotąd całkiem za zapomniane uważanych. Bogaty zbiór jego pieśni dolnołużyckich w r. 1877 wydał swoim nakładem ks. Hornik; w pogranicznym narzeczu zebrane, wyszły jako odbitka z „Macierzy“ górnołużyckiej w Č. M. za r. 1883. Przed dwoma laty, na konkursie ogłoszonym przez towarzystwo Jabłonowskiego w Lipsku, otrzymał nagrodę za gramatykę dolnołużycką. Najcenniejszą zaś pracą, jak dotąd, jest właśnie owoc owej wspólnie z Parczewskim odbytej podróży a mianowicie „statystyka Dolnych i Górnych Łużyc“. Nader starannie opracowana, prostuje fałszywie podane przez Andree¹⁾ cyfry i fakta. Statystyka Górnych wyszła w Č. M. za r. 1885, Dolnych za r. 1886. Pojedyncze a bardzo zajmujące opisy owej podróży pomieścił w „Łużycy“ za rok 1883. Objąwszy redakcję „Łużycy“, z całym poświęceniem i energią kieruje jednym

¹⁾ Wendische Wanderstudien.

beletrystycznym i literackim na Łużycach pismem. Warunki pracy są nader ciężkie, gdyż ze szkodą dla ogólnej sprawy dr. Muka przeniesiony z Budyszyna do Kamjenicy (Chemnitz), następnie do Frejberga, zdala tylko nad „Łużycą“ czuwać może.

Były redaktor „Lipy serbskiej“ ks. Jakób Bart, kapelan dworski w Dreźnie, świetny poetycki talent w gronie młodoserbów tęskni i cierpi wspólnie z swoim ludem. Ogólno ludzkie uczucia nie budzą jego natchnienia; niedola wieków, wspomnienia jasnieszej przeszłości, burze wstrząsające maleńką krainą — oto skarbnica dla bujnej, poetycznej fantazji Barta. Poezja jego nie zna nuty grobowej; ból i rany, zadane ręką stuleci, łagodzi wiara w jasniesze jutro. W r. 1884 wydana pod pseudonimem Cisińskiego „Księga Sonetów“, to jedna, wyrzeźbiona natchnieniem pieśń, opisująca święte gaje, grodziska lub zabarwione krwią bohaterów cichej Szprewji wody. Wzorowe przekłady Mickiewicza, Vrchlickiego i Kollara zamykają księgę łużyckiego poety. W ubiegłym znów roku ukazało się zbiorowe wydanie poetycznych utworów Barta. W zbiorze tym zatytułowanym „Formy“, obok rzewnych elegji, nutą ironji zaprawnych satyr, na wzór prowan-salskich madrygałów kreślonej zwrotki, spotykamy poważne balady, tkliwe, koronkowej rzeźby romanse i słodkie pieśni liryczne. Forma w nich rozmaita, od wszystkich ludów i krain zapożyczona, lecz duch jeden, zrodzony i wychowany nad brzegami Szprewji. Talent Cisińskiego pokrewny Vrchlickiemu, chwilami przypomina genialnego czeskiego poetę. Ksiądz Bart pisze także obrazki i opowiadania, nacechowane szlachetną tendencją i miłością ojczyzny. W pracy tej dopomagają mu Jakób Nowak Kaszeczanski, zmarły przed kilku miesiącami Szołta, Rencz, Lapsyk, Kapler i inni. W dziale prac religijnych obok Hórnika, Łusz-

czańskiego, Duczmana i innych, do starszego pokolenia należących, w gronie młodoserbów zasługują na uwagę księża: Bart, Libsz i Żur.

Libsz, uczeń Hattali, jest znanym łużyckim lingwistą, którego rzecz „o składni“ należy do gruntowniejszych prac w tym kierunku. Pieśni i podania ludu, wspólnie z Muką i Jordanem zbierają studenci uniwersytetu Golcz, Rencz i Mateusz Handrik. Filip Rezak tłumaczy „Babunię“ Niemcowej, Laras „psalmy“ z hebrajskiego, humoreskami rozśmiesza Bjedrich, Ernest Hollan drukuje w „Łużycy“ szkice z podróży, poeta Szewczik śpiewa liryczne piosenki, utalentowany muzyk Krawc przygrywa w takt narodowych melodji, słowem i to pokolenie, podobnie jak starsze. pracuje z zapalem dla dobra swego narodu.

Młodzież łużycka czas wakacyjny spędza nie na czczych i bezcelowych zabawach, lecz urządzając teatry i koncerty amatorskie po wsiach, wzbogaca umysł i serca łużyckich *hospodariów*. Staraniom tej młodzieży zawdzięcza literatura wydawaną pod redakcją Muki i Barta bibliotekę teatralną, złożoną z oryginalnych sztuk i przekładów; dotąd wyszło jej pięć zeszytów. Obecne warunki nie sprzyjają rozwojowi literatury dramatycznej. Teatr narodowy poprzestawać musi wyłącznie na przedstawieniach amatorskich, z których pierwsze, urządzone w r. 1862 staraniem d-ra Duczmana, zelektryzowało wszystkich. Naturalnie, iż sztuki pisane dla amatorów łatwym odznaczają się stylem. Jedynym poważniejszym utworem jest dramat Jakóba Barta „Na grodziszczu“. Jak wszystkie utwory poety, tak i ten nosi znamię wyższego talentu, treść zaczerpnięta z bohaterskiej epoki Miliducha, opisuje ścieranie się uczuć narodowych z nadciągającym wraz z zastępami Franków chrześcijaństwem.

Gdy tak na Górnych Łużycach, dzięki wysiłkom

jednostek, duch narodowy zbudził się z długiego uśpienia, Dolne w coraz głębszą staczały się mogiłę.

O ile w XVI i w XVII wieku zastęp duchownych na Dolnych był tak liczny, iż wielu z nich przybywało nawet i na Górne, o tyle znów rządy Fryderyka Wilhelma I wytěżając wszelkie środki ucisku z kaźdym dniem, zmniejszały liczbę serbskich pastorów¹⁾. Na Górnych, młodzieź kształcąc się w Pradze lub Lipsku nie zapominała o swoich względem narodowości obowiązkach; na Dolnych ludność, pozbawiona przewodników, niemczała i obojętniała stopniowo. Jeśli który z zamożniejszych wieśniaków posłał syna na uniwersytet, po kilku latach wracał zniemczonym i straconym na zawsze. Agitacja germanizacyjna z latami coraz szerzej się rozwijała. Nie dalej, jak przed 20 laty, w Skierbojscu był nauczyciel, który nakładał kary pieniężne i cielesne na dzieci, mówiące po łużycku. Podobne zasady wyznawał pastor z Maliny Blütchen²⁾. Cóż dziwnego, iż w takich warunkach wegetując, jedna parafja za drugą ginęły w zalewie germanizacji. Od 1750—1850 r. pięćdziesiąt parafij straconych zostało na zawsze. Z jak nadzwyczajną siłą posuwa się germanizacja, widzimy z tego, iż przed 1830 w Kaławie mówiono jeszcze po serbsku, obecnie chyba tylko przejeźdźający Serb odezwie się w ojców swoich mowie.

Gdyby jeszcze był na początku b. stulecia istniał jakikolwiek związek między przedstawicielami ducha narodowego na Łużycach Górnych, a bracią z Dolnych, co najmniej kilkadziesiąt parafij byłoby ocalonych. Chociebuż, stolica Dolnych, dziś całkiem już

1) Na Dolnych ludność jest wyłącznie protestancką.

2) Patrz „Wspomnienia z Dolnych Łużyc” A. Parczewskiego.

jest zniemczony, kilka zaledwie łużyckich szyldów zawieszonych nad sklepami dawne przypominają czasy.

W podobnych warunkach bytu rozwój piśmiennictwa jest i był niemożliwym. Dawni jego piastunowie duchowni, jeśli nie wynaradawiali parafjan, to z obojętnością spoglądali na posuwającą się germanizację. Nieszczęściem bardzo ważnem dla Dolnych jest i był rozdział językowy, nad zniwelowaniem którego pracują dzisiaj Górno-łużycanie. Gdyby nie w Budyshynie lecz w okolicach Mużakowa rozwinął się był duch odrodzenia, to jak słusznie twierdzi autor „Wspomnień z Dolnych Łużyc“, narzecze mużakowskie stanowiące przejście od górno do dolno-łużyckiego, stałoby się wspólnym dla obu Łużyc literackim językiem. Przygnębieni, pozbawieni od wieków jasniejszej doli, Łużycanie mają jednak w swej piersi drzemiące poczucia narodowe. Gdy w chwilach nader dla nich ciężkich, nauczyciel wiejski Dawid Bohuwier Głowan w 1809 r. wydał w Wojerecach „pieśń o wojnach pruskich“, pięć tysięcy egzemplarzy rozeszło się wśród ludu¹⁾. Głowan wydał następnie w dwóch edycjach mowy pogrzebowe, jednocześnie z nim kilku jeszcze pastorów podjęło pracę dla piśmiennictwa dolnołużyckiego. Jan Zygmunt Schindler wydał w 1813 roku niemiecko-łużycko-rosyjsko-polski słownik, do czego pobudkę dały autorowi wstrząsające Europą wojny Napoleona. W kilkanaście lat później wyszedł jego całkowity przekład Biblii oraz podniosłym stylem pisane kazania. Krystjan Wilhelm Bronisz († 1881), pastor, badał mowę, pieśni i zwyczaje Dolnołużycan, pisząc o nich do *Lausitzisches Magazin*. Wydał także broszurę *Familiennamen in Niederlausitz* i wspólnie

¹⁾ W 1860, już na kilka lat przed śmiercią dopomagał jeszcze pastrowi Jenczowi w opracowaniu przekładu Biblii.

z bratem swoim Augustem, dopomagał niegdyś Smolerowi przy zbieraniu pieśni. Spisywaniem ich zajmował się także Post, Komor, najliczniejszy jednak zbiór zostawił ks. Bogumił Markus, po jego śmierci (1880) nakładem Hornika wydany. J. Zwahr napisał małej wartości słownik, staraniem syna J. C. Zwahra w 1847 r. drukowany. Krystjan Fryderyk Stempel, ostatni serbski pastor w Lubniewie, napisał epopeę, która zaginęła, wiele też pieśni zostawił w rękopiśmie. Tłumaczył ustępy z Teokryta i bajki Fedra, ciekawe ze względu na język, jakiego tłumacz użył w przekładzie; w roku 1854 Smoler wydał je i wstępem opatrzył. Skromna ta wiązanka prac piśmienniczych na lud żadnego wpływu mieć nie mogła.

Ruch wywołany na Górnym działalnością Smolera nie przedarł się ponad Błota Szpewji. Młodzież górnołużycka bolała nad osamotnieniem swoich braci, lecz zajęta sobą, skrzepowana politycznymi stosunkami i językowym rozdziałem, nie mogła przyjść im z pomocą. Górnołużyckie pisma, u siebie taki wpływ wywierające na lud, tu żadnego nie miały znaczenia. Dolnołużycanin nie rozumiał ich wcale. Coraz rzadziej można było słyszeć kazania serbskie. W r. 1848 na całe Dolne Łużyce tylko 33 parafje były serbskie. I tym koniec zapowiadano bliski, lecz igraszką losów, podobnie jak za reformacji na Górnym, tak i tu przesadzony szowinizm pruski wykrzesał iskrę narodowego dla Dolnych Łużyc życia. Junkrzy brandenburcy w obawie, aby szeroko rozwinięta na Dolnym agitacja stronnictwa demokratycznego, nie rozpowszechniła się i wśród słowiańskiej ludności, założyli celem kontragitacji w konserwatywnym duchu redagowany dziennik. Ponieważ Łużycanie rozumieli tylko ojczyzną mowę, pismo w serbskim musiało wychodzić języku. Takim okolicznościom *Bramborski Serbski Casnik*, redago-

wany początkowo przez Nowkę, zawdzięczał swoje istnienie. W 1852 r. redakcję jego objął pastor Pank, obecnie został zamieniony na „Bramborske Nowiny“, które wychodzą pod kierunkiem Szwieli. Założone przez Niemców w celach politycznych, dziś, jakkolwiek wiele w nich jest niezależnych od redaktora braków, stanowią jedyną i dość poczytną gazetę dolnołużycką.

Gdy pierwszy numer Casnika ukazał się drukiem, młodzież szkolna nie znając nawet dobrze mowy ojczystej, zapaliła się nowem dla siebie uczuciem. Pod jego wpływem, zorganizowała na prędcę stowarzyszenie, na czele którego stanął student Fryderyk Tesznar. Związek młodzieży dolnołużyckiej istniał, niestety! krótko, po roku został rozwiązany a spuściznę jaką przekazał społeczeństwu, stanowi kilka wydanych staraniem młodzieży książek. Były to zarazem jedyne błyski narodowego życia z epoki, gdy na Górnych Łużycach wrzało ono w całej pełni. Nie mogły zatem ani wstrząsnąć do głębi ogłuszonej ludności, ani uchronić jej od zalewu germanizacji. Wprawdzie dzięki humanitarnym poglądom ówczesnego dyrektora gimnazjum w Chociebużu, dra Jana Tschirnera, w 1857 r. przywrócono naukę języka serbskiego w szkołach. Ministerjum oświaty początkowo tylko na rok jeden dało pozwolenie, lecz że na wykłady uczęszczali i Niemcy, powtórzyła się odwieczna polityka i rząd pruski przypuszczając, iż pastory mówiący po łużycku łatwiej zgermanizują ludność, nadal potwierdził swoje postanowienie. Zapatrywania były mylne: kółko młodzieży, poznawszy bliżej mowę rodzinną, ukochało ją gorąco. Fryderyk Tesznar studjując w Halli i Berlinie, nie zapomina pierwszych wstrząsających duszą wrażeń. Powróciwszy na stałe jako pastor do Chociebuża, literackiej i obywatelskiej oddaje się pracy. Przedewszystkiem reformuje wadliwą, skażoną pisow-

nię dolnołużycką. Wydaje kazania, książki do nabożeństwa i śpiewniki. Tytuły tych ostatnich jak dotąd drukowane były zawsze po niemiecku, Tesznar pierwszy przybrał je w narodową szatę. Ogłosił także drukiem postyllę Lutra, a w 1860 r. przygotował nowy przekład Biblii Fabrycjusza w 5000 egzemplarzy, wydany nakładem angielskiego towarzystwa biblijnego. Była to swego czasu bardzo na Dolnych Łużycach wpływowa osobistość; gorący patrjota, umiał oddziaływać na swoje otoczenie, z tej też przyczyny z rozkazu władzy duchownej w inne okolice przeniesiony, dziś mniej dla sprawy narodowej może być czynnym. Jednocześnie z Tesznarem pastor z Gołkojc Haussig Niemiec, z pomocą pastorów Albina Szadowa, Panka i Pawła Bronisza, przygotował podług poprawnej Tesznara pisowni przekład Biblii, do którego ten ostatni napisał przedmowę. Przekład wyszedł w Halli 1868 r. nakładem towarzystwa biblijnego.

Po wyjeździe Tesznara zaciemnił się i tak już ponury horyzont Dolnych Łużyc. Opróżnione po nim miejsce zajmuje dzisiaj Henryk Jordan, skromny nauczyciel wiejski i kantor w Popojcach. Urodzony w 1841 roku około Mużakowa, początkowo mieszkał na Górnych Ł., osiedliwszy się następnie na Dolnych Ł., poznał tak dobrze miejscowe narzecze, iż dziś jest najplodniejszym pisarzem dolnołużyckim a przytem popularną i nader wpływową wśród otaczających go osobistością. Píše książki religijne, opowiadania i powieści dla ludu¹⁾. Współpracownik „Bramborskich Nowin“, górnołużyckie pisma zasila swemi artykułami,

¹⁾ Jedna z nich przetłumaczona na język polski przez Nikłota, przeznaczona dla polskich ewangelików na Górnym Śląsku, p. t. „Bogumił“, wyszła w Wrocławiu 1884 r. nakładem redakcji „Newin Szląskich“.

zbiera dolnołużyckie pieśni, podania i legendy. Na konkursie ogłoszonym przez Parczewskiego 1883 r. otrzymał nagrodę za „Czytankę“, przeznaczoną dla użytku tych, którzy bez szkolnych wykładów uczą się po łużycku. Obecny redaktor „Bramborskich Nowin“, Szwiela, pisze powieści i poezje ludowe; zmarły niedawno Gryss, nauczyciel elementarny, w chwilach wolnych od zajęć w wiązanej mowie wylewał swoje skargi, tęsknoty i żale. Prawdziwa jednak iskra poezji zbudziła się na Dolnych Ł., w piersi Mateusza Kosyka, Serba, lecz któremu lata młodzieńcze zbiegły w otoczeniu niemieckiem. Kosyk, syn wieśniaka z Wierbna, po ukończeniu gimnazjum Chociebuskiego jako urzędnik kolejowy mieszkał stale w Lipsku. W towarzystwie Niemców zapomniał, iż w domu rodziców tylko serbskim mówiono językiem. Dopiero pod wpływem przeczytanych „Starożytności słowiańskich“ Szafarzyka (w przekładzie Kłosopolskiego) wrażliwa dusza Kosyka zbudziła się z letargu. Z obojętnego został gorącym i dobrym Serbem. Porzucił służbę rządową, czas jakiś przebywał na Górnych Łużycach a powróciwszy później na wieś do rodziny, wsłuchany w gwarę swoich ziomków pisze przepiękny na tle życia ludu wiejskiego osnuty poemat „Serbska sważba w Błotach¹⁾ (serbskie wesele). Uczucia narodowe nową natchnęły go pieśnią. W ślad za Serbskiem weselem ukazała się epopea „Zdrada margrafa Gero“. w której okrutna postać wroga Słowiańszczyzny mordującego sproszone na ucztę Słowian, w całej przedstawiona ohydzie. Udatnym także jest mniejszy a pierwszy poemat Kosyka z epoki odrodzenia, zatytułowany „Najmniejszy naród Słowiański“, rzewna skarga na losy biednej opuszczonej krainy. Mieszkając w Lipsku.

¹⁾ Wyszedł w r. 1880 w Wojerecach.

Kosyk pisał po niemiecku, lecz zostawszy Serbem, zerwał z tryumfami w literaturze nienieckiej. Szkoda tylko, iż ruchliwa, gorąca wyobraźnia i usposobienie poety zmusiło go do porzucenia ojczyzny. Z Ameryki, gdzie w stanie Illinois jako pastor przebywa, od czasu do czasu poetyczne dowody swej pamięci o Łużycach nadsyła.

Wobec wstrętnej nienawiści i wzgardy, jaką Niemcy okazują Łużycanom, na tle najciemniejszych obrazów germanizacji, dziwnem światłem odbija postać Niemca Jerzego Sauerweina. Hanowerczyk, urodzony w Gronowie, przybywszy jako korektor towarzystwa biblijnego na Łużycę, pokochał je tak, iż odtąd za drugą ojczyznę je uważa. Zwiedziwszy całą Europę od północnych krańców Skandynawji aż do kraju cytryn i pomarańcz, najchętniej przebywa na Łużycach. Ciche, otoczone lasami wioski nęcą go ku sobie. Znamca prawie wszystkich europejskich i niektórych azjatyckich języków, mówi i pisze tak dobrze po dolnołużycku, iż poezje jego *Serbské štučki*¹⁾ napisane są tak poprawnie, iż trudno uwierzyć, że pisał je dobry patriota niemiecki. Niedola Łużyczan przykuwa Sauerweina do siebie; wzruszony nią, z każdej korzysta sposobności. aby za ukochaną przemówić krainą. Nawet na sedańskich uroczystościach nie zapomina o Łużycach. W poezjach swoich zachęca lud do ukochania mowy rodzinnej, każde święto narodowe Łużyc musi być przez niego uczczone wierszem, z najdalszych krańców nadsyła swoje poezje i telegramy. Charakterystyczną cechą Sauerweina jest zesławiańszczenie swego nazwiska na *Surowina*, którem podpisuje poetyczne utwory swoje.

Nad leksykografią dolnołużycką pracuje Jordan,

¹⁾ 1877, Č. M.

Nyczka, polski lingwista Aleksander Petrow bada język i gramatykę dolnołużycką, przedewszystkiem zaś jako najczynniejszych pisarzy dolnołużyckich musimy wymienić ks. Hornika, d-ra Mukę, Jordana i pastora Jencza. Ceniony czeski autor Adolf Czerny pisze także po dolnołużycku, na górnołużycki tłumaczy Vrchlickiego, oraz udatne oryginalne poezje drukuje w „Łużycy“. Łączność istniejąca dziś między przedstawicielami obu Łużyc, wpływa na korzyść stosunków literackich. Górnołużyckie pisma drukują poezje i artykuły dolnołużyckie. Inteligencja wpatrzona w jeden sztandar wspólną idzie drogą, lecz lud nie rozumie jeszcze wiążącej go nici. Dolnołużycanin nie uważa za brata mieszkającego w Budyszynie Serba. Lata łez i niedoli zgotowały mu takie, a nie inne poglądy. Nad wykrzesaniem właśnie tych uczuć pracują dzisiaj patryjoci łużyccy.

W r. 1880 jasniejsza dla nieszczęśliwej krainy uśmiechnęła się przyszłość. Utworzony na wniosek Alfonsa Parczewskiego na walnem zgromadzeniu Macierzy oddział dolnołużycki zajmuje się gorliwie wydawnictwem ludowych książek i śpiewników. Pojawienie się *Pratyi*, pierwszego na Dolnych Ł. kalendarza serbskiego, ważnym jest faktem w życiu małej krainy.

Trzy pierwsze lata wydawany przez A. Parczewskiego, obecnie wychodzi nakładem dolnołużyckiego oddziału. W pierwszym roku istnienia, mimo usilnej agitacji niemieckich pastorów, osiemset egzemplarzy rozeszło się w samym Chociebnzu. Początkowo redaktorem był ks. Hornik, współpracownikami podobnie jak obecnie Jordan, Nyczka, Kosyk i Kołoziej. Gdyby Towarzystwo Pomocy Naukowej, założone przed kilku laty staraniem Alf. Parczewskiego, większe niż obecnie posiadało fundusze, rok rocznie pewien procent młodzieży w narodowym wykształconej ducha

z korzyścią pracowałby dla kraju. Lecz w obecnych stosunkach jeden pastor kończący kosztem towarzystwa studja, czyż jest w możności ocalić od germanizacji lud, na wynarodowienie którego czyha pieniądź, prawo i pikelhauba pruska. Dzisiaj jeszcze tylko duchowni i książki odpowiednie mogą choć w części położyć tamę dalszemu wynaradawianiu. Niestety! liczba pastorów zmniejsza się gwałtownie. Jedyny dolnołużycki organ, drukowany szwabachą, chociaż posiada dość znaczną ilość prenumeratorów, nie może jednak iść w porównanie z gazetą Górnych Łużyc. Dolnołużycka musi być o wiele uważniejszą w swoich sądach i wyrażeniach. Redagowanie jej tysiączne przedstawia trudności. Mimo najlepszych chęci i poświęcenia kierowników narodowego odrodzenia Łużyc, brak środków materialnych i ucisk władzy uniemożliwia ich starania. Podziwiać i tak należy siłę i wytrwałość ludu, który od wieków pokryty żałobnym całunem, dotąd nie skonał jeszcze. Wzruszającą jest przeszłość Łużyc, przed teraźniejszością schyla się z poszanowaniem czoło. Łużyce nie posiadają uczonych i literatów z profesji. Świat literacki ciężko na chleb pracuje a tem trudniej płynie mu życie, im goręcej ukochał kraj i społeczeństwo swoje.

Wyjątkowy to kraj i wyjątkowi ludzie, którzy go zamieszkują. Społeczeństwo górnołużyckie na 100.059 mieszkańców (na Dolnych 75,910) ¹⁾ posiada sześć pism specjalnym poświęconych gałęziom ²⁾ Wszystkie te pisma

¹⁾ Patrz Statystykę Górnych i Dolnych Łużyc Ernesta Muki Ć. M. 1885—1886.

²⁾ „Czas. M.“ naukowe redaguje ks. Hornik, polityczny organ „Serbske Nowiny“ — drukarz Marko Smoler, beletrystyczne — „Łużyce“ nauczyciel gimnazjalny Muka, „Katolski Posel“ religijne — ks. Skala, „Misjonski Posel“ protestancki organ — pastor Domaszka i „Serbski gospodarz“ rolnicze — nauczyciel wiejski Kubasz. Trzy ostatnie drukowane szwabachą.

redaktorom przynoszą tylko moralne korzyści, współpracownicy piszą także bezinteresownie. Redaktorowie w skromnych żyjąc warunkach, czyn obywatelski spełniają bez rozgłosu i chluby.

Zdolności redagowania i umiejętności wtajemniczania się w ducha i potrzeby czytelników zawdzięczają Łużyce okoliczność, iż górnołużycanin jakkolwiek uznaje wyższość cywilizacji niemieckiej i przyzwyczajony do swej doli, nie ma siły zerwać całkowicie z tradycją w rodzinie, mówi tylko po łużycku, czyta łużyckie książki i gazety. na wyborach, mimo usilnej agitacji dzienników niemieckich, głosuje za Serbem, a zakupy żywności robi tylko tam, gdzie ojczystym przemówią doń językiem.

Ludność, na demoralizacją której składało się dziesięć wieków niewoli, według obliczeń statystycznych, jest o wiele moralniejszą od niemieckiej. Pracowita, oszczędna i przywiązana do ziemi rodzinnej, niechętnie ją opuszcza, nawet w widokach najświetniejszych zysków.

Przy ocenianiu tych wszystkich faktów dodatkowych, musimy wziąć jeszcze pod uwagę, że Łużyce to kraik, w którym odegranie pierwszego teatru amatorskiego, pojawienie się kalendarza dla ludu lub zaśpiewana na koncercie narodowa piosenka, wstrząsa wszystkie umysły i serca, że wieść o tem staje się świętem narodowym. Położenie obu Łużyc dzisiaj w niewesołych przedstawia się barwach. Nie mówiąc już o Dolnych, których losy od wieków smutniejszą mają w historii kartę, sympatycznie dla Górnych usposobiona dynastia Wettinów idealną ich tylko dzisiaj otacza opieką. Na skinienie żelaznego księcia formująca się dzisiaj polityka tłumi oddech słowiańskiej ponad Szprewą rozrzuconej ludności. Przodownicy narodowego i umysłowego ruchu nie schodzą jednak

z raz obranej drogi. Potykają się co krok, ranią o coraz nowe ciernie i szkopuły, lecz nie łamią i nie upadają nigdy. Tacy ludzie, jak zmarły Smoler, ksiądz Hornik i inni zacni Serbowie, dla ogólnej sprawy zapominają o celach osobistych. Życie patryotów łużyckich, to jedna ofiara, jeden cel wzniosły i szlachetny. Praca organiczna zbudziła naród z uśpienia i pracy tej, rozumnie a z całym poświęceniem podjętej, zawdzięczają Serbołużycanie swoją literaturę. Wprawdzie nie bogata ona w arcydzieła wstrząsające umysłami ludzkości, nowych dróg nie toruje światu lecz podnosi moralnie i umysłowo społeczeństwo własne¹⁾.

Pisarze obu Łużyc, dobro swej ojczyzny przedewszystkiem mając na celu, bronią od duchowej śmierci naród, skazany przez sąsiada od wieków na zagładę.

¹⁾ Żywotność Łużycan obudza dzisiaj ciekawość Niemców; pomijając już tendencyjną pracę Andree, Weckenstaedt w pracy „Wendische Sagen, Märchen und abergläubische Gebräuche, oraz v. d. Schulenburg, Wendisches Volksthum in Sage, Brauch und Sitte, badają pieśni, zwyczaje i podania nadsprewiańskich Słowian.

KOBIETY SŁOWIAŃSKIE

KOBIETY NAD BRZEGAMI WAGU I NITRY.

Bluszcz tom XXV Warszawa r. 1889. Nr. 32 str. 249, 250;
Nr. 33 str. 260.

„Prêc je Slovensko pikny swêt,—Krasnejši nikde nevidet“ — śpiewa o Słowacji czeski poeta Heyduk.

Powtarzając jego słowa, dodamy jeszcze, że piękne i szlachetne ponad brzegami Wagu i Nitry biją serca. Można by sądzić, że od czasu, gdy zdanie „Niema już Słowaków“ stało się hasłem na Węgrzech, urocze Tatry, bratniem ramieniem obejmując Słowacją, strzegą już tylko samych grobów. Tak nie jest jednakże. Cały szereg wielkich patriotów, ludzi zasłużonych, oddanych społecznej i literackiej pracy, zaprzecza szowinistycznym okrzykom Kolomana Tiszy. Wprawdzie systemat madjaryzacji, spotęgowany w ostatnich czasach, wyciska swoje piętno wszędzie.

Rozwiązanie Macierzy słowackiej, oraz zmadjaryzowanie szkół, obuchem uderzyły w serce patriotów. „Związki madjaryzacji“ i tak zwane „kulturowe“ olbrzymią rozwijają agitację. W skład ich wchodzi zazwyczaj zmadjaryzowani w widokach materialnych Niemcy, Rusini i Słowacy, ludzie—dla których pieniądź jest *alfą* i *omegą* życia. Gadzinowe pisma, bezprzekładnie tanie, ogłupiają, w dodatku i w fałszywym świetle przedstawiają masom cel madjaryzacji. Tyśiące florenów, drogą składek zbieranych lub wyznaczanych z funduszków rządowych, idą na ten cel corocznie.

Pojedyncze protesty szlachetnych Węgrów giną bezpowrotnie w tej walce nierównych sił i środków.

Cała działalność narodowa spoczywa w rękach inteligencji, złożonej z garstki duchownych obu wyznań, kupców, urzędników, rzemieślników i właścicieli drobnych posiadłości ziemskich. Z małym bardzo wyjątkiem, szlachta oddawna jest zmadjaryzowana. Opozycja ma jeszcze za sobą wieki senności, w jakiej spoczywał, pozbawiony politycznego życia i bytu, naród słowacki.

Ruch wywołany zjawieniem się księży Bernolaka, Hollego i innych patriotów, wzrastał stopniowo. Rok czterdziesty ósmy wstrząsnął i poruszył serca i umysły wszystkich. „Wszystko co żyło, budziło się, a co zbudziło się: śpiewało”—mówi słowacki poeta Botto. Za przykładem ojców, braci i mężów swoich kobiety słowackie dotknięte w najświętszych uczuciach, zbudziły się także z długiego uśpienia. „Płacz Matki Slawy“ Hollego niepokoił serca i zapalał wyobraźnię oddalonych od wrzawy życia Słowaczek. Wpatrzone w szczyty Tatr, w szumach kosodrzewiny słyszały echa żałosnych skarg poety.

Z biegiem wód Wagu i Nitry płynęły ich marzenia. Pośpieszną dłoń obracały kołowrotki i dalekie, jasne jak len, snuły wraz z nicią dla synów swoich marzenia. Ojczyzna „pasterzy i druciarzy“ jest już dzisiaj ojczyzną dobrze myślących i inteligentnych kobiet. Jakkolwiek w ostatnich nawet czasach kilka kobiecych nazwisk powiększyło grono piszących autorów, wieść o nich, znana tylko we własnym kraju, nie wybiega poza szczyty Krywania. Lecz wobec ciężkich i trudnych warunków życia cicha i skromna praca Słowaczek, wielkiego jest znaczenia i doniosłości, a ześrodkowyywa się ona przede wszystkim w domu i rodzinie. Podczas, gdy w szkole chłopiec słyszy

wciąż powtarzany, wzdardliwy okrzyk: „Słowak nie szłowiek“, matka uczy go czcić i szanować ojców swoich mowę. Matka śpiewa nad kołyską syna narodowe piosnki i o dawnych czasach powtarza opowieści.

Zmarły w 1877 r. wielki patriota i pisarz słowacki, Wilhelm Pauliny-Toth, matce swej zawdzięczał wiele: była ona jego mistrzynią i przewodniczką. Gdy po śmierci swego pierwszego męża, zmuszona smutnem położeniem materialnem wyszła powtórnie za mąż, mały Wilhelm, oddany został do szkół w Komornie. Matka była spokojną, że syn, wychowany w szkole domowych pojęć, bezpiecznie wśród obcych przebywać może. Niestety! pierwszy uczeń gimnazjum, ulubieniec profesorów i kolegów, zachwiał się w swoich przekonaniach.

Po powrocie do domu z zapałem zaczął deklamować matce węgierskie poezje. Krystynie Pauliny serce omało nie pękło z bólu. Straszny, bolesny okrzyk wyrwał się z jej piersi: „Boże! cóżem ja uczyniła z mojem dzieckiem! Rozdzierającym musiał być ten okrzyk zbolalej matki, kiedy na dźwięk jego, stojący nad przepaścią syn uchronił się od grożącego mu upadku. I jak niegdyś małemu chłopcu, tak w następnych latach gimnazjaście, matka przypominała znów dawne czasy, sławiła wielkich ludzi i hańbą piętnowała „odnarodnionych“. Pamiętne słowa matki towarzyszyły słowackiemu patryjocie zawsze. Również zaczął i dobrze myślącą kobietą była żona Pauliny'ego Mina Toth¹⁾. Węgierka z urodzenia, szanowała jed-

¹⁾ Ojciec żony Pauliny'ego, szlachcic węgierski, wszystkie prawa swego nazwiska przełał na zięcia i odtąd Pauliny do swego przyłączył nazawsze nazwisko żony. Utrzymują powszechnie, że rodzina Tothów, właściwie była słowacką tylko zmadjaryzowaną. „Tothy“ po węgiersku znaczy „Słowak“.

nak przekonania i ideały męża. Nigdy najmniejsze słowo niechęci nie wybiegło z ust kochającej kobiety. Ręka w rękę szła z mężem i w duchu też narodowym, słowackim, prowadziła dom cały i wychowywała dzieci.

Kalińczak, pierwszy powieściopisarz słowacki, którego powieści i opowiadania historyczne wytrąciły romanse niemieckie z rąk czytającej słowackiej publiczności, natchnienia do swych obrazów czerpał w opowiadaniach matki i babki. Obie te kobiety znały doskonale przeszłość swego kraju. Matka, z domu Ruttkaj, ze szlacheckiej, wyjątkowo niezmadjaryzowanej rodziny, wysoko inteligentna, w opowiadaniach swoich stawiała przed oczy chłopca historyczne postacie przeszłości, na pamięć uczyła go podań o walecznym Mateuszu z Trenczyna i innych bohaterach. Siwowłosa babka, obznajmiona z życiem zagonowych słowackich mieszkańców, zapoznawała wnuka z ich zwyczajami i obyczajami. Troski i radości codziennego życia Słowaków, uderzające wyobraźnię w opowiadaniach babki, wpoili się w pamięć przyszłego pisarza. Powieści historyczne i opowiadania Kalińczaka kreślone są z całą prawdą i wiernością. „Restauracja“, jedna z najpiękniejszych, to odbicie zasłyszanych w dzieciństwie podań, przysłów, i opowieści. Matka, w dzień zajęta domem, gospodarstwem, nocami czytywała i pracowała nad sobą, aby część wiedzy, udzielić wsłuchanym w jej opowiadanie dzieciom. Kalińczak przyznaje się do wpływu, jaki na młodzińczy jego umysł i wyobraźnię wywarły dwie te postacie ukochanych kobiet. Żony patryjotów nie jedną ciężką, wspólnie z mężami swymi, dzieliły dołę. Żona Józefa Miłosława Hurbana, w trwodze o los męża, podczas gdy on ścigany przez węgierskich żandarmów, chronił się z jednej miejscowości do drugiej, tuląc do siebie dzieci, z bólem w sercu patrzyła na

wystawioną dla niego przed domem szubienicę. O żonie też pisze Hurban w więzieniu:

Za tymi horami
Mojej lasky śvety,
Za tymi horami,
Naród, žena, deti.

Kreśląc dodatnie charaktery Słowaczek, nie możemy powiedzieć, aby wśród nich nie było bezdusznych i bezmyślnych istot. Niejednej mowa Petöfiego milszą jest od rodzinnej. Posterunków straconych dużo. Mimo tego, jedność serc i myśli, jaka zawiązała się wśród kobiet zamieszkałych nad brzegami Wagu i Nirty, dobre na przyszłość wróży owoce. Obecne dążenia Słowaczek ujawniają się również w postaciach, kreślonych przez dzisiejszych powieściopisarzów. Adela, bohaterka z powieści Svetozara Hurbana¹⁾ „Sucha latorośl“, jest już kobietą, która wie, dokąd dążyć i czego pragnąć. Na wyżyny, na których postawił ją autor, potęgą swego ducha wprowadza obojętnego na uczucia narodowe Stanisława. Obumierająca latorośl nabiera życia pod tchnieniem zacnego, kochającego serca kobiety. Dodatkim znów typem kobiety odrodzonej, jest Ella, z noweli tegoż autora „Przelotne cienie“. Podobną postać kreśli drugi utalentowany powieściopisarz, Antoni Bielek. Milka „W zaciszu górskim“ pod wpływem miłości, z obojętnej, zmadjaryzowanej, przekształca się w tkliwą, serdecznie do ziemi swej przywiązaną dziewczynę. Zrzuca z siebie fałszywe pióra, w które dotąd stroiła się nieświadoma pięknych i szlachetnych uczuć. Na półkach biblioteczki, zamiast dzieł obcych, składa Botta i Sławkowicza pieśni. Twórca tej przemiany, z rozrzewnieniem

¹⁾ Wajański.

patrząc na Milkę, powtarza sobie w duchu: „Wratim narodu jednubyttnost, ktorej padne hlavna uloha v krouhu rodinnom“. I w tem właśnie kole rodzinnem obraca się głównie działalność słowackich kobiet. W gronie piszących spotykamy nazwiska Olgi Braxatoris¹⁾, Zuzanny Burowej, Miłosławy (pseudonym), Anieli Petianowej, Agnieszki Andreańskiej, Philadelphi Anny, Józefiny Gnothowej i Karoliny Pauliny. Są to talenta skromnych rozmiarów, lecz pełne szlachetnych uczuć i dążeń. Utwory poetyczne podobnie, jak i z tematów ludowych opowiadania, drukują one w „Slovenskich Pohledach“, „Narodnich novinach“, „Almanachu“, „Ziwenie“ i w innych okolicznościowych wydawnictwach.

Zmarła Zuzanna Łojkowa, żona poety Łojko-Tisowskiego, pisała drobne poezje i obrazki prozą.

Łojkowa była także współpracowniczką wychodzących pism dla dzieci i młodzieży. Do grona starszych i pierwszych literatek, których prace ogrzewały słoneczne blaski czterdziestego ósmego roku, należy Anna Zuzanna Szołtesowa, żona pastora w Liptowie. Utwory jej poetyczne, z talentem pisane, drukowały swego czasu pierwsze edycje Hurbanowej „Nitry“. W religijnym duchu poezję piszą córki ewangelickiego pastora Marja i Krystyna Bogówny. Pod pseudonimem Miłosławy Ruslanskiej, w „Nowinach“ z 1871 i 1872 roku, помещała artykuły o wychowaniu kobiet, córka pastora Mostenaua. W tymże samym czasie Struharowa Antonina zasilala znów swemi powiastkami i opowiadaniem „Slovenske“ i „Katolické“ „Nowiny“.

Musimy także wspomnieć o Marji Bobulowej, żonie S. N. Bobuli, b. redaktora „Slovenskich Nowin“

¹⁾ Córka słynnego poety Sladkowicza.

i niestety! byłego autora słowackiego. Od kilku lat mieszkając w Peszcie, zerwał on wiążące go dotychczas z pismami słowackimi stosunki.

Bobulowa, podobnie jak jej mąż, nie bierze już żadnego udziału w społecznej i literackiej pracy. Niegdyś tłómaczyła z niemieckiego oraz oryginalne prace pomieszczała w „Słowenskich Nowinach“. Holubowa Marja, pisząca pod pseudonimem Marji Jaworyńskiej, czasami Maryny, jest zdolną bardzo autorką. Poezje jej odznaczają się głębokością i świeżością uczucia. Pisze ona także opowiadania i społecznej treści artykuły; jeden z nich „Rodzina“, drukowany w „Slovenskich Pohledach“ za rok 1882 (patrz str. 344) może być katechizmem dla słowackich kobiet. Do grona bardziej twórczych pisarek należy Teresa Wansowa, autorka licznych powieści, humoresek i obrazków na tle życia słowackiego ludu skreślonych. W nowelistyce palmę jednak pierwszeństwa trzyma Helena Szoltesowa.

Jedna z jej powieści „Na wsi“ została nagrodzona na konkursie „Slovenskich Pohledow“. Znanem jest także na Słowacji i cenionem nazwisko Bohdany Klemensowej, szczególnież też jej opisy z pobytu w lasach Szumawy. Mieszkając jednak stale jako nauczycielka w Czechach¹⁾ więcej ona zasila swemi pracami dzienniki czeskie. Grono piszących kobiet powiększa córka Pauliny'ego Totha, Marja Walaszkowa. Wydała ona i zebrała wszystkie pieśni swego ojca.

Piękne nadzieje rokuje talent młodziutkiej Ludomiły Bizner, piszącej łatwym i poprawnym stylem obrazki z życia ludu wiejskiego.

W takich zarysach przedstawia się dorobek literacki słowackich kobiet. Są to wszystko przeważnie

¹⁾ Dla Słowaków i o Słowakach powieści piszą również Bożenna Niemcowa, Świetla i inne czeskie autorki.

żony lub córki pastorów i nauczycieli, oddane pracy domowej i rodzinie.

Z małym wyjątkiem, odcięte od głównego punktu umysłowego ruchu, jaki ześrodkowywa się w Turczańskim ś-tym Marcinie, myślą i działalnością łączą się wszystkie z ogólnym prądem. Podniosłym bardzo czynem słowackich kobiet jest zawiązane w Turczańskim Świętym Marcinie dobroczynne stowarzyszenie kobiet „Žiwena“ Położyło ono sobie za cel zakładanie szkółek, ochron i przytułków dla ubogich dziewcząt i kobiet. Stowarzyszone żywo się zajmują dolą wszystkich sióstr swoich, na całej słowackiej ziemi rozrzuconych. Urządzają teatry amatorskie, koncerty, odczyty, wspólne zabawy na cel dobroczynny, oraz wystawy pracy kobiecej. Urządzona w r. 1887 w Turczańskim Ś-tym Marcinie wystawa korzystnie świadczyła o ruchu i postępie, jaki w ostatnich czasach rozwinął się wśród kobiet słowackich. Wiele okazów wykończonych przez wieśniaczki, a mianowicie hafty i wyszycia na fartuchach, koszulach i stanikach, artystycznej były roboty.

Na wolnych zgromadzeniach „Žiweny“ przemawia przełożona i stowarzyszone. Słowa ich, pełne siły i ognia zapalają słuchaczki. Pokorny w swoich „Z Potulek po Slovansku“ wspomina, że będąc raz na takim zgromadzeniu, widział jak jedna z kobiet, w braku pieniędzy na urządzaną w danej chwili składkę, złożyła jedyne swoje bogactwo: broszkę i kolczyki. Jakiż to piękny i podniosły przykład, jakiemiż klejnotami błyszczy dusza, podobnie myślącej i czującej kobiety.

Do grona stowarzyszonych należą nietylko literatki, lecz ogół dobrze myślących kobiet. Na wycieczkach urządzanych przez Stowarzyszenie łączą się wspólnie wszystkie towarzystwa i stany. Muzyka, śpiew i deklamacja rozbrzmiewają wśród lasów i do-

lin otaczających stolicę Słowacji. Echo tych pieśni płynie daleko ku wzgórzom i trąca o mury cmentarne, wśród których za miastem spoczywają, zwłoki Kalińczaka, Pauliny'ego i innych patriotów słowackich. Uroczystości takie nadługo zostają w pamięci uczestniczek.

Spokojne zazwyczaj miasto nabiera życia i gwaru, pośpieszniej biją serca a znane melodje Fajnora brzmia na koralowych ustach „Slovenek“.

Działalność „Žiweny“ wielkie oddaje społeczeństwu usługi i gdyby nie agitacja „związków“, wyższa szkoła dla kobiet oddawna byłaby założona kosztem i staraniem stowarzyszenia. Wogóle dużo energji i hartu przejawia się w charakterze słowaczek. Pauliny-Toth we wspomnieniach swoich mówiąc o wyborach, przytacza zasłyszane od jednej ze Słowaczek zdanie „Gdyby kobiety miały prawo głosowania, nie wielu Madjarów wychodziłoby z urny wyborczej“.

Dobroczynny wpływ „Žiweny“ oddziaływa i na najniższe warstwy społeczeństwa. Na pozór nie wielkie to rezultaty trudów i starań; lecz w obecnych okolicznościach wszystko, cokolwiek daje ślady życia, godnem już jest zanotowania. Wogóle lud słowacki o wiele niżej stoi od czeskiego, dla wieśniaczki, kraj kończy się z granicą rodzinnej wioski; bywają jednak przykłady wyższych pojęć i uczuć. Wspomniany już Rudolf Pokorny opowiada wzruszający fakt, którego był świadkiem, zwiedzając w towarzystwie Svetozara Hurbana Słowacją. W wiejskiej chacie gospodyni starszka, dowiedziawszy się, że jeden z przybyłych jest synem Józefa Miłosława Hurbana, wzruszona, ze łzami w oczach prosiła, aby mogła ucałować ręce syna człowieka, którego w 1848 roku znała i kochała cała Słowacja.

Smutne ekonomiczne położenie kraju ujemnie

wpływa na ogół; uboższe warstwy ściga nędza, zmuszająca setki ludzi do opuszczania kraju. Rząd sprzeciwia się emigracji, lecz wobec nędzy coś ma robić społeczeństwo skazane we własnym kraju na rolę parjów? Do krwawych ran zadanych ręką madjaryzacji zaliczyć trzeba straszny rozkaz wykupywania i wywożenia biednych dzieci słowackich w głąb Węgier; oddalone od matek i rodzinnej mowy, biedne istoty tracą swoją narodowość. Nędza zmusza nieszczęśliwe, przybite okropną niedolą matki do pozbywania się dzieci. Rozpaczliwy obraz tych stosunków, skreślił jeszcze przed kilku laty Svetozar Hurban (Wajansky) w poemacie „Herodes“. Anka i Janik, sieroty słowackie, wywiezione w głąb Węgier, uciekają z domu swego przybranego opiekuna. Spostrzegłszy wagony kolei, chwytają się ich drobnymi rączkami i z myślą o „dedine“ którą mają niezadługo zobaczyć, umierają biedne ofiary w drodze. Słowak dla chleba, zostawia za sobą doliny Wagu i szczyty Krywania, lecz ziemi rodzinnej nie zapomina nigdy. Druciarczyk, opuszczając chatę, żegnany błogosławieństwem matki, i w dalekich krajach nie zapomina pieśni, które ona nuciła mu nad kołyską. Gdziekolwiek los rzuci druciarza: nad brzegi Lemanu, w piaszczyste sapy Brandenburgji, lub do kraju cytryn i pomarańcz, zapytany o narodowość, zawsze jedną na ustach ma odpowiedź: „Sem Slovak, panoczku“.

Gdyby też nie ta siła plemienna, ukrywająca się na dnie steranej niedolą piersi Słowaka, zatatrzańscy nasi bracia oddawna byliby wykreśleni z listy słowiańskich ludów. Słowaczka sympatyczną dla nas jest siostrą. Mowa jej bliższą nam jest i zrozumialszą, aniżeli czeska. W okolicy Czacza są całe wsie, które Szembera¹⁾ polskiemu nazywa. Słowaczka łagodną i uj-

¹⁾ Zakladove Dialektologie Československé“ str. 79.

mującą jest w obejściu; nawet zapracowane wieśniaczki nie tracą właściwego wdzięku i wesołości. Poeta słowacki Krezmery mówi, iż sześć darów każda Słowaczka daje swej córce w posagu: śpiew, dobroć, czystość obyczajów, wstydlivość, pracowitość i wesołość.

Piękne są cnoty wymienione przez poetę, lecz również piękną i szlachetną jest miłość rodzinnej ziemi i ojców mowy, jaka się przejawia obecnie w społecznej i literackiej pracy zatatrzańskich kobiet. Pielegnowanie wzniosłych i szlachetnych uczuć w młodym pokoleniu, rozgrzewanie domowych ognisk słodkimi dźwiękami ojczystej mowy, w rękach Słowaczek spoczywa.

Wyzwolenie dziecięcych umysłów i serc z pod szkodliwych wpływów zmadjaryzowanych szkół, to najszczytniejsza emancypacja, do której dążyć powinny i dążą kobiety na Słowacji. Literackie ich prace nie wytworzą nowej szkoły lecz podniosłością ducha natchną szlachetną myślą niejedną rodzinę. A rodzina zacna — mówi Javorinska, poetka z nad Wagu, to— *ciste dusze—a ciste duse, nedaju zatrymit slovenskej narodnosti*“.

Z PIEŚNI ADOLFA HAYDUKA.

Bluszcz jak wyżej str. 260.

Piosenki słowackie!
Wy złote ptaszyny,
Z jakiej przybywacie,
Powiedzcie, krainy?
Wasze tęskne tony
W sercu budzą żale,
I rzewne łzy płyną,
Gdyby wody fale.

Powiedzcie, piosenki
Kto te wasze nuty
Nastroił tak smutnie,
Jakby do pokuty?
Kto czystą krynice
Łzą żalu zamącił?
Kto w fiołki i róże
Kwiat cierniowy wtrącił?

O Bracie Słowaku!
Ty wiesz co cię boli;
Kto sprawcą nieszczęścia,
Smutku i niedoli.
Ten, co zabrał chatę, —
Piosenki zasmucił,
A serce jak kwiatek
Rozłamał i rzucił.

Choć na wielkim Bożym świecie,
Tylko stado owiec mam,
W moich Tatrach tak mi dobrze,
Że nie wiem, co mówić Wam.

Gdy ze szczytów rzucę wzrokiem
Na piękność, co u stóp lśni,
To z radości w owej chwili
Serce śmieje się i drży.

Tam to Wagu jest dolina,
I tam wzgórza pełne drzew
I tam chata, gdzie dziewczyna
Nuci o miłości śpiew.

A znów niżej kościół stary
Widać zza cmentarza bram;
Wśród mogilek, skarb jedyny,
Matka moja leży tam.

Chato droga, ukochana
Pięknaś, jako wonny kwiat;
Słowak nie oddałby ciebie
Nawet za ten cały świat!

KOBIETA CZESKA

z XVII wieku.

Bluszcz. tom XXVI, r. 1890, Nr. 42 str. 329—330.

Historyk i pracowity badacz dziejów czeskich, Franciszek Dworsky, odkrył w archiwum hrabiów Czerninów w Jendrychowym Hradcu ciekawy zabytek odległej przeszłości: listy czeskiej matrony z XVII wieku, pisane do rodziny i domowników. Pani ta, imieniem Zuzanna, córka zasłużonego i w dziejach Czech znanego rodu Homotów z Harasowa, była małżonką Jana Czernina z Chudjenic, potomka również starożytnego rodu. Listy obejmują epokę lat dwudziestu: pierwszy nosi datę 1634 r., ostatni pisany był na dwa tygodnie przed śmiercią, w 1654 r., a całość tej korespondencji, składającej się przeszło z dwustu listów, rzuca jasne światło na ówczesny świat kobiet czeskich z okrutnych, krwawych czasów po bitwie białogórskiej.

Z notatek i wstępu, jakim zacny badacz dziejów czeskich opatrzył wydaną przez siebie książkę, poznajemy rodzinne stosunki piszącej, a na ich tle dodatnio występujące sylwetki kilku postaci kobiecych, szczególnie zaś jej matki, Elżbiety z Cimbarku Homotowej. Sama autorka listów jest kobietą wielkiego serca i charakteru. Rok jej zamążpójścia przypada na czas pamiętnych rządów Ferdynanda II po bitwie białogórskiej, gdy wyrok wydany w 1621 r. wypędział

z granic korony Ś-go Wacława wszystkich dobrych, gorącego serca Czechów, których nazwiska doszły do wiadomości urzędników cesarskich. Cała rodzina Czerninowej idzie na wygnanie. Starożytne siedziby panów na Homotowie, Harasowie, Kwitkowie¹⁾ opustoszały i dzięki tylko wyjątkowym okolicznościom Czerninowie, skazani również na banicję, pozostali w ojczyźnie. Młoda małżonka patrzy na łązy, na niedolę swoich i serce jej, serce uczciwej Czeszki krwawi się na widok nieszczęść ogółu.

Wzorowa żona i matka jest też najzacniejszą obywatelką i, jakkolwiek zakres jej działalności nie wybiega poza obręb domowego ogniska, nic z tego, co dzieje się wkoło, nie jest jej obcem i obojętnem. Zajmuje ją ekonomiczny stan kraju, zajmują sprawy publiczne i własne gospodarstwo—dom. Obserwatorka bystra, zastanawia się nad wszystkim i na wszystko patrzy rozumem, jasno rzeczy widzącem okiem, a choć szczerą katoliczką, cierpi niemniej nad straszną w swoich skutkach wojną religijną. — Kocha rodziną ziemię, pragnie dla niej szczęścia, spokoju, lecz co chwila nowy grom uderza w serce tej dobrej *vlastenki*.

Podczas nieobecności męża, którego urząd powołuje często do Pragi, do Wiednia nawet, musi zajmować się całem gospodarstwem i interesami majątkowymi, z czego zdaje mu najdokładniejsze relacje. Sama dogląda strzyży owiec, sortowania wełny; wie o każdym ziarenku zboża, objeżdża rozległe swe włości, kontroluje administratorów, służbę, a pomimo to prowadzi starannie gospodarstwo kobiece: sama się

¹⁾ Szwagier Czerninowej, Jan Wiek z Kwitkowa, przeniósł się do Polski, czas jakiś mieszkał w Województwie Kaliskiem, umarł w Toruniu 1639 r.

niem zajmuje i, dokładając ręki własnej suszy owoce, grzyby, wydaje osobiście zapasy żywności na stół i dla domowników i przypomina tem nasze dawne matrony. Po śmierci męża, dotknięta okrutnym ciosem boleści, nie opuszcza jednak rąk; z właściwą charakterowi swojemu energją obejmuje cały ster rządu. Stosunkowo dość jeszcze młoda wdowa oburza się na samą myśl powtórnego zamężcia i strata ukochanego *holatka*¹⁾ jak męża w listach swych pieszczotliwie nazywała jest dla niej stratą nigdy nieprzebolełą; dla siebie nie pragnie już ona niczego, żyje już tylko dla dzieci.

Wyjątkowo ciężkie, rozpaczliwe położenie Czech przysparza biednej kobiecie trosk i niepokoju. Obie jej córki: Eliszka Myslikowa i Ewa Kapounowa dzielą tułacze życie mężów *wojaków*. Starszy syn, Humprecht, szuka, ówczesnym zwyczajem nauki we Francji, we Włoszech, a tęsknotę osamotnionej matki powiększa obawa o jego życie, gdy grasująca zaraza każde jutro czyni niepewnem. Do tych przejść moralnych dołączają się i kłopoty materialne: nieustanne przechody wojsk, podatki, kontrybucje, rujnują najzamożniejszych. Stratowane końskimi kopytami pola nie wydają plonów, i są chwile, w których pani na Radeninie, Mitrowicach i Kostomlach walczy z niedostatkiem najpierwszych nawet potrzeb. Ale z poddaniem się woli Bożej znosi te ciężkie przejścia życia, a uczucie obowiązku względem dzieci i społeczeństwa dodaje jej sił do ciężkiej walki z losem, więc zaprowadza oszczędności, załatwia rodzinne i gospodarcze sprawy, rządzi tak całym wielkim majątkiem, aby żadna piędź ziemi włości rodowych nie przeszła w ręce cudze. Każda uwaga czyniona przez matkę w listach do syna

¹⁾ Dzieciątko.

ujawnia umysł poważny i myślący; czy to kiedy upomina go, aby unikał lekkomyślnych towarzystw; czy to kiedy rozpisuje się o wewnętrznym stanie kraju, lub własnych interesach, przywiązanie do czeskiej ojczyzny przebija się w każdym słowie, bo wszystko, co swoje, jest jej drogiem, więc najlepszem i najmiłszem.

Gdy w 1648 roku Humprecht powrócił do domu, serce matki zabiło radością na myśl, że stare gniazdo rodu Czerninów zaświeci dawnym blaskiem śpiących w grobie przodków. Wysyłając go za granicę o tem myślała — cieszyła się nadzieją, że przywożąc z zagranicy naukę i szersze na życie poglądy, przyłoży ręki do pracy dla podniesienia rodu i dobra kraju; ale młodego magnata nęcił cesarski dwór w Wiedniu, nudno mu było wśród omszałych murów starego zamku Radenina. Dworskie festyny, orderzy i tytuły ciągnęły go do siebie: niedługo też wyrwał się matce ze starego rodzinnego gniazda, przeniósł się do Wiednia, oddalił służbę czeską, otoczył się Niemcami i wkrótce pojął za żonę cudzoziemkę — jedną z dam dworskich, Włoszkę: Marję Dyanę Gazoldo.

Biedna matka snuła dla przyszłości syna inne plany. Wiedziała, że wyjeżdżając z domu unosił w sercu obraz pięknej dziewczicy czeskiej, hrabianki Berkówny. Ale ta nie chciała czekać na rozbawionego gdzieś długo podróżnika, wyszła za mąż za młodego Waldstejna, a jakim uczuciem odbiło się to na sercu powracającego do kraju młodzieńca? niewiadomo. Może już i on nie kochał, a może wierzył w wierność wybranej dziewczicy i dostał w serce cios, który go odstręczył od szukania szczęścia w domu? Wziął na towarzyszkę życia cudzoziemkę i matka nie pojechała na ślub syna jedynaka, miłość do niego nie przewyższyła w jej sercu uczuć innych i nie wyciągnął jej

z progów ojczystych nawet własnoręczny list cesarzowej, w którym żona Ferdynanda III polecała sercu świekry synową cudzoziemkę. Przecież później nieszczęśliwa, zawiedziona we wszystkich swych nadziejach kobieta była najlepszą matką dla przybranej córki.

Przyjmuje ją serdecznie w murach starego gniazda rodu, podejmuje gościnnie, a na wieść że pani *dceruszka* nauczyła się pisać po czesku, przesyła jej w liście podziękowanie i błogosławieństwo, a piękny to, wzruszający rys w życiu tej dostojnej matrony.

W całej korespondencji Czerninowej widnieje obok inteligencji i miłości Czech, wysokie uczucie humanitarne. W epoce, gdy lud uważanym był za podściół dla życia klas wyższych, ona, córka arystokratycznego, wysoko postawionego rodu, można pani rozlicznych włości, cierpi nad dołą wieśniaczego, dołem zbitego tłumu, i żyjąca na dwieście kilkadziesiąt lat przed nami, wyprzedza nawet nieraz w poglądach swych na stosunki klas idee dzisiejsze. Urzędnikom swym gospodarskim nakazuje surowo sprawiedliwe i łagodne obchodzenie się z ludem wiejskim, a najmniejsze nadużycia: gwałt wszelki oburza jej szlachetne serce.

I wtajemnicza się też w potrzeby ludu, bada życie rodzinne służby swojej, poddanych, karci surowo niemoralność, rozprzężenie węzłów małżeńskich, lekceważenie obowiązków. Lecz jednocześnie najwierniejszy, najgorliwszy w jej służbie rządca mógł stracić u niej odrazu miejsce, gdyby ją doszła wieść, że był srogim lub niesprawiedliwym dla ludu.

Takie same uczucia i pojęcia charakteryzowały jeszcze jej matkę, Elżbietę Homotową. „Nie opuszczaj biednego i tak już nieszczęśliwego ludu”—pisze ona w liście do córki, która też wiernie stała przez życie

całe przy tych zasadach uczciwych. Martwi ją upadek majątkowy rodziny, niszczenie jej dzierżaw, utyskuje nad podatkami, które obciążono czeskich panów, lecz silniej bierze do serca niedolę wiejskiego ludu. Gdy zaraza morowa dołączyła się do różnych klęsk przygniatających Czechy, ogarnia ją trwoga o życie dzieci, lecz jednocześnie dręczy ją myśl, co się będzie dziać z biednym ludem zrujnowanych, zubożałych wiosek? Choroba wiejskiej dziewczyny Agnieszki, niepokoi ją tak samo, jak zdrowie córki Lobkowiców czy Kolowratów.

W listach pisywanych do syna, słyszymy również odzywającą się strunę uczuć i poglądów humanitarnych.—„Bądź dobrym, łagodnym i sprawiedliwym panem”—oto główna treść listów matki do syna.

Przecież życie tej kobiety, jak to pokazuje się z jej listów, nie było ani wesołem, ani szczęśliwym.

Wreszcie owdowienie, strata córki Eliszki, niepokój o los pozostałych dzieci i wnucząt — następnie burzliwe zamiecie trzydziestoletniej wojny, niszczącej ogniem i mieczem krainę czeską, wszystko razem podkopywało żywotne jej siły. Już za czasów pobytu syna we Włoszech często zapadała na zdrowiu i były chwile, w których sądziła, że już go nie zobaczy — nie pożegna i nie pobłogosławi. Gdy przecież pokój został zawartym w Osnabrück i Münster, gdy ukochana jej *włas* otrzymała choć trochę pokoju, a lud wiejski przestał uciskać gnębiące ciężary wojny, gdy zraniona pierś Czech odetchnęła nieco — i jej wróciło trochę sił, ale nie nadługo. Życie było już podcięte u korzenia i śmierć przyszła wkrótce zamknąć zmęczone oczy. Umarła w Radeninie i tam ją pochowano obok męża, jak to wskazuje marmurowa tablica w kościele tamtejszym.

Listy pozostałe po niej odtwarzają obraz czasu

w którym żyła, malują stosunki i zwyczaje epoki, ich prostotę i grozę dziejów czeskich w tym momencie historycznym, a czytelnikowi ich nasuwa się na myśl pytanie: ile to podobnie ciekawych szczegółów życia kobiet naszych, kryją archiwa rodzinne? Kobiety czeskie winne są też wdzięczność historykowi swemu, że z pyłu archiwalnego wydobył na jasność dzienną postać tej szlachetnej matrony. Jakże odbija ona od tych kobiet, o których utalentowana powieściopisarka czeska, Karolina Sviatla, pisze we „Wspomnieniach młodości swojej”: „Była so epoka, w której matki czeskie dlatego tylko brały do dzieci swoich czeskie piastunki, aby te na twardej według nich czeskiej mowie wyłamywały sobie język do innej, cudzoziemskiej“.

Zmieniły się przecież stosunki, Sviatla, której młodość ubiegła w czasach najsmutniejszych dla jej rodzinnej ziemi, doczekała się rozbudzenia innych uczuć i pojęć, a dzisiejsze pokolenie kobiet, odczytując listy Czerninowej z Harasowa, może sobie czerpać z jej listów naukę i szlachetne, podniosłe wskazówki postępowania, jakkolwiek ta, co je kreśliła nazywa sama siebie: „Czeszką starej daty“. Dobra to była data takich uczuć i ciepła serdecznego: takiej prostoty, wiernej obowiązкови.

KOBIETA CHORWACKA

XVI i XVII wieku.

Bluszcz. Tom XXVII r. 1891. Nr. 51 str. 405—406.

Na południu Słowiańszczyzny, w dalekiej Chorwacji, zasłaniającej piersiami swoich synów Europę od napadów tureckich, w szesnastym i siedemnastym wieku zasłynęły kobiety z rodu Frankopanów. Z nim związki krwi i losy połączyły inny, również drogi Chorwatom ród Zrińskich. Dwa te nazwiska, uosobiały wszystkie wspomnienia przeszłości chorwackiej, sławili je poeci, sławiły pieśni ludu, a historia i literatura zapisywały na swoich kartach imiona bohaterów i poetów.

Chorwacja, utraciwszy wcześniej niezależność, bo już w r. 1102 przyłączona do Węgier, po pamiętnej bitwie pod Mochaczem (1526) oddana Habsburgom—nie miała ani dość czasu, ani siły na pielęgnowanie sztuk pięknych i literatury. Wawrzyny wiodły wobec morza krwi płynącej z piersi walecznych junaków. Gdy obok, w klasycznej Dalmacji i Dubrowniku, wszystkimi blaskami południowego słońca jaśniała literatura chorwacka, mieszkańcy ziem ciągnących się poza Drawą i Murem gorączkowe, literaturze niesprzyjające pędzili życie. W wolnych tylko chwilach, a tych nieszczęśliwie było mało, wypuszczano z dłoni ciężkie rapiry i miecze. Płynęły wówczas z pod pióra obrońców wiary poezje na wzór włoskiej i dubrow-

nickiej literatury kształcone. W Dubrowniku nawet i kobietom uśmiechały się triumfy literackie.

Nie wdając się dziś w ocenę Dubrowniczank, zapoznajmy się bliżej z przedstawicielkami rodu Frankopanich. A ród to możny, książęcy, piastujący w kraju najwyższe godności i urzędy. Gdy Frankopanie przelewali krew w obronie wiary świętej, szczęśliwa gwiazda dozwoliła kobietom ich rodu zapisać także swoje imiona na karcie zasług i poświęceń. Smicziklas¹⁾ wysoko stawia zasługi Frankopanów oddane ojczyźnie już w trzynastym wieku.

Z kobiet pierwszą, której imię przeszło do potomności była Katarzyna z Frankopanów Perenja, żona wielkiego żupana ugockiego. Dzieckiem będąc, wyobraźnię karmiła opowieściami o strasznych napadach tureckich, gorącemi łzami oblewała śmierć ojca, Jana księcia Cetyńskiego, który na udbińskich polach zginął w 1493 roku. „Kwiat“ chorwackiego rycerstwa, walczył w owej chwili przeciw zastępom Bajazeta II. Jan, Bernard i Mikołaj Frankopanie stanęli na czele swoich hufców, lecz tylko jednemu z nich, księciu Janowi, śmierć była przeznaczoną. Najpiękniejsze dni wiosnianej młodości ubiegały księżniczce Katarzynie, wśród odgłosów wrzawy wojennej, w epoce gdy Jan Korwin, Krzysztof Frankopan i inni junacy mężną pierśią odpierali napady Solimana Wielkiego.

Katarzyna Peranja nie zaznała szczęścia i uśmiechów życia. W kilka lat po ślubie straciła męża, poległ w bitwie pod Mochaczem. Jakaś tragiczność losu zawisła nad kobietami jej rodu. Cnoty, inteligencja, nazwisko, piękność — wszystko zapowiadało im szczęście, stawiało je wysoko, przeznaczało im trony.

¹⁾ „Poviest Hrvatska“.

Katarzyna Peranja dni żałoby spędza na modlitwie i studjowaniu książek z bogatej biblioteki brata swego, arcybiskupa Kaloskiego na Węgrzech. Uczeni i poeci znajdują gościnne pod jej dachem przyjęcie. Ruch naukowy zajmuje ją żywo, a nawet ku zdziwieniu niejednych, zapuszcza się Katarzyna w rozprawy religijne. Nadworny Kapelan Komjati, to także jeden z pisarzy ówczesnej epoki. Przetłumaczone przez niego na węgierski język listy Ś-go Pawła Apostoła, w roku 1533 drukowała swoim nakładem u Hieronima Wietora w Krakowie. Książka, ozdobiona dedykacją i herbami Frankopanów, w dwóch tylko dzisiaj znajduje się egzemplarzach: jeden posiada dworska biblioteka w Wiedniu, drugi peszteńska. Jest to wogóle jedna z pierwszych książek drukowanych w języku węgierskim. Że Katarzyna Peranja, Chorwatka, zajmując się i popierając ówczesnych uczonych i pisarzy, nie pomyślała o wydawnictwie chorwackiej książki, za złe jej tego brać nie możemy. Pisarze ówczesni używali przeważnie łaciny. Powtórę, narodowość nie była w tym co dzisiaj znaczeniu pojmowaną Chorwacja nie odczuwała jeszcze potrzeby odrębności językowej. Wspólnie z Węgrami miała tylko na myśli zabezpieczenie swoich ziem od napadów tureckich

Jednocześnie prawie z Katarzyną Perenją, starsza tylko od niej, słynęła także z piękności i rozumu córka Bernarda Frankopana poślubiona Janowi Korwinowi, naturalnemu synowi króla Macieja. Po śmierci ojca Korwin ubiegał się o koronę węgierską. Węgrzy, jak wiemy, ofiarowali tron synowi Kazimierza Jagiełłończyka, Władysławowi królowi czeskiemu. Odrzucony pretendent otrzymał w nagrodę baństwo chorwackie. Utraciwszy wszelką nadzieję korony, Jan Korwin bił się dzielnie w obronie przybranej ojczyzny. Wpływowi żony, pięknej i rozumnej Beatryczy, przy-

pisuje historia dodatnie zmiany w charakterze potomka wielkiego Hunjada. Umiejętnem postępowaniem pani ta rozbudzała w nim dobre i szlachetne uczucia. Po jego śmierci, po wymarciu dzieci z pierwszego małżeństwa, wdowa po Korwinie, rozżalona na królową Annę, która w synach jej, widziała groźnych w przyszłości kandydatów do korony węgierskiej, opuściła na zawsze ojczyznę. Wyszła za mąż, za Jerzego Brandenburskiego, syna Zofji Jagiellonki.

Ze śmiercią synów Beatryczy wygasł ród elektryzujący swoim imieniem potomków starożytnego Arpada. W epoce gdy Katarzyna Perenja, we wdowie przybrana szaty opłakiwała śmierć męża, w starożytnej siedzibie Frankopanów, wzrastało cudnej urody dziewczę: Katarzyna, córka Ferdynanda i Marji Brankowiczówny. Królewska krew płynęła w żyłach nadobnej księżniczki. Po matce była ona praprawnuczką nieszczęśliwego króla Lazara a prawnuczką Jerzego Brankowicza, despoty serbskiego. Gdy zgasł ostatni promień samodzielności Serbji, Brankowicze przenieśli się do Węgier. Katarzyna Frankopanówna, urodzona około 1525 roku, wnuczka bohaterów, bohatera też została żoną. W 1544 r. wyszła za mąż za Mikołaja Zrińskiego (Zrinyi). Znane są losy bohatera zpod Sigetetu. Oblężony przez Solimana II, po rozpaczliwej obronie wysadził w powietrze miasto (1566). Zrinyi śmierć znalazł w jego murach, lecz wrogom dostały się tylko gruzi! Podłożone lonty, w proch rozniosły Turków.

Gdy walki z nieprzyjacielem wypełniały życie mężowi, w rodowym zamku Zrińskich w Czakowcu, żona zajmowała się wychowaniem dzieci. Mikołaj Zriński gościem tylko bywał w domu: trąby wojenne wzywały go do boju. Zrińska tęsknotę i obawę o losy męża osładzała sobie modlitwą i pracą. Matka licznej

rodziny, trzynaście dzieci otoczyła najtroskliwszą opieką. Czytała i pracowała nad sobą wiele, wspierała kościoły i jako dobra i miłosierna pani dla służby i ubogich, słynęła z cnót i pobożności. Otoczona licznym dworem, uczonymi i panami węgierskimi, którzy w gościnnym dla siebie domu chętnie przebywali, Katarzyna Zrińska uważała się za Chorwatkę.

Była to chwila, w której protestantyzm, a z nim i ruch narodowy znalazł zwolenników w Chorwacji. Najpierw objawił się w Istrii, gdzie ludność chorwacka używała w kościele języka słowiańskiego. Przyczyny szukać należy w przesadzonej gorliwości niektórych biskupów. Stosując się do życzeń rządu weneckiego, wprowadzali oni do kościoła Chorwackiego nowości, które obrażały uczucia zarówno wyższego, jak i niższego duchowieństwa. Reakcja była nieunikniona: gnębieni zwrócili się w stronę protestantyzmu. Przystała do niego również i arystokracja. Gorliwym krzewicielem nowych idei był Jerzy Zriński, syn Katarzyny, sławiony przez poetów. W 1570 r. założył on w Niedielisztu drukarnię, w której nie tylko religijne, lecz i innej treści chorwackie, drukowano książki. Matka jego, do końca życia została gorliwą katoliczką, wierną kościołowi i ojców wierze. Ułożyła nawet obszerną książkę do nabożeństwa, którą w 1560 roku kazała wydrukować.

W sto lat później, w tymże samym, czakowackim zamku, w którym dokonała życia żona bohaterskiego Mikołaja, rozgrywały się losy jednej z najzasłużeńszych Chorwatek. Była nią Anna Katarzyna, córka Krzysztofa Frankopana, żona Piotra Zrińskiego, kobieta której imię otacza aureola męczeństwa—nieszczęśliwa żona, matka i siostra, opłakująca w więzieniu śmierć najdroższych sobie istot i rozwianie się marzeń dla których, gotową była zawsze życie poświęcić. Postać

to historyczna, jasnem na tle ówczesnej epoki jaśniejająca światłem. Mailath¹⁾ nazywa ją pyszałkowatą kobietą; dumie jej i chęci odznaczenia się przypisuje nawet wybitny udział jaki Zrińska przyjęła w spisku, zakończonym śmiercią męża i brata. Inaczej jednak przedstawiają Katarzynę Chorwaci i prawda dziejowa. Żona bana Chorwacji, wtajemniczona w plany i zamiary spiskowców, podobnie jak i oni powodowana była szlachetniejszą, aniżeli próżna ambicja, myślą. Pokój zawarty w Vasvasar, (1664 r.) nie mógł zadowolić zwycięzców z pod Ś-go Gotarda. Wygrana, okupiona w części walecznością bana Chorwacji, Mikołaja Zrińskiego, nie przyniosła pożądanych dla Węgier i Chorwacji korzyści. Burzyły się umysły podsycane polityką cesarza austriackiego. Niewdzięczność okazywana Węgrom i Chorwatom, którzy w obronie granic jego państwa, krew przelewali, zniechęcała przedstawicieli obu narodów. Piastującym nawet wyższe urzędy i godności na dworze wiedeńskim nieraz uczuć się dawało usposobienie Leopolda I-go. Echa oburzenia i zawodów, wybiegały daleko za mury Wiednia, poza Drawę, do rezydencji książąt Zrińskich, Czakowca.

Czakowac był ogniskiem, z którego na cały kraj spływały promienie światła. Bracia Zrińscy prawnukowie bohaterskiego Mikołaja, sami poeci, słynęli jako mecenas i sztuk pięknych. Arystokracja rodu i inteligencji, garnęła się na słynny dwór obrońców Chrześcijaństwa. Mikołaj Zriński, rozgoryczony postępowaniem dworu wiedeńskiego, po odniesionych pod Św. Gotardem triumfach na krótko przed śmiercią ustąpił z baństwa. Opróżnione po nim miejsce zajął Piotr, mąż Anny Katarzyny Frankopanówny. Piotr

¹⁾ „Geschichte des oestereichischen Kaiserstaates“.

energiczny, gorącego serca i przekonań, młodym jeszcze będąc, w służbie cesarza Ferdynanda III, zwracał uwagę Wiednia swoim postępowaniem. Z politycznymi poglądami nie taił się wcale, w poezjach nawet wyrażał niewiarę w trwałość i serdeczność stosunków z Niemcami. Cóż dziwnego, iż, wobec świeżych dowodów niesprawiedliwości, odżyły na dnie duszy spoczywające rany! Zakipiała krew w żyłach „Obrońcy Chrześcijaństwa“. Nie lepiej usposobiona magnateria węgierska, podała Chorwatom dłonie. Zamek Czakovacki stał się punktem zbornym dla spiskujących.

Piotr Zriński, Franciszek Frankopan, brat Anny Katarzyny, Nadasdy, Weseleni i Tattenbach stanęli na czele ruchu. Anna Katarzyna Zrińska, której nie obce były cierpienia i nadzieje przebywających na dworze czakovackim mężów, wzięła udział w tajemniczych działaniach. Własnoręcznie w celu uzyskania pomocy Francji, korespondowała z posłem francuskim w Wenecji. Kokietujące stanowisko, jakie zajął Ludwik XIV wobec spiskowców, zawiodło w końcu wszystkich i ukazało zmienność uśmiechów polityki. Zriński i Frankopan, do ostatniej chwili nie tracili nadziei, lecz wszystkie wysiłki i ofiary okazały się daremnymi. Spisek poprowadził obydwóch na śmierć, w 1671 r., ścięto ich w Wiedeńskim Nowem Mieście. Anna Katarzyna, pochwyciona w zamku czakovackim, wspólnie z dwiema młodszymi córkami, wywiezioną została i osadzoną w klasztorze Dominikanek w Grazu. Dwa lata po strasznej katastrofie, w której spadła głowa ostatniego z książąt Kreckich, z bólu i rozpacz straciwszy zmysły, zmarła nieszczęśliwa żona Piotra Zrińskiego. Syn Jan Antoni całe szczęście, nadzieja i ukochanie matki, dwadzieścia lat więziony w Kufsteinie, również w szaleństwie dokonał życia. Żona Franciszka Frankopana, Julja z hrabiów

Naro, urocza Wenecjanka, ratując się ucieczką z Czarkowca, szczęśliwie uniknęła więzienia. Nie dozwolono jej jednak było, pożegnać ukochanego męża. Z nim wygasł ród, który przez pięć wieków żył dla Chorwacji i opromieniał ją swoją sławą.

Anna Katarzyna Zrińska, to nie próżna, żadna blasków i znaczenia pani, nie intrygantka na dworze Ludwików, lecz wielkiego serca i charakteru kobieta. Myśli jej wybiegają daleko, poza granice znaczone polityką wiedeńskiego dworu. Uczuciem obejmuje całą Chorwację, od krańców Węgier aż ku wybrzeżom Adryjatyku.

Dzielna kobieta rzuca się w odmęt polityki w tajne i niebezpieczne korespondencje, bo wie dobrze, iż spiskowcy potrzebują udziału inteligentnej, władającej dobrze językami kobiety. Lęka się o spokój i życie męża, brata i zięcia, lecz zna także i pojmuje ogrom uczucia, jakie ich zagrzewa. Wie, iż przekonania swoich nie zmienia łatwo, nie stara się nawet uwagami wstrzymać ich działań, przeciwnie, wierna i gorącą znajdują w niej pomoc. Obdarzona głębokim darem obserwacji, gdy brat Mikołaj usunął się z państwa, ona mężowi podsuwa myśl kandydatury, lęka się, aby miejsca Zrińskiego, nie zajął inny, szkodliwy dla Chorwacji żywioł. Dobra Chorwatka, pierwsza z kobiet boleje nad ubóstwem ojczystej literatury. Nie zadowolają jej książki, drukowane po węgiersku i łacinie. Zajmuje się żywo literaturą, popiera piszących jak tego dowodem dedykowana Annie Katarzynie, chorwacka książka do nabożeństwa, wydana przez nią, a napisana przez jezuitę ojca Baltazara Milowca. Książka ta dzisiaj jest wielką rzadkością.

Anna Zrińska, głównie zachęca do pisania w chorwackim języku. Sama nawet, w napisanej przez siebie i w r. 1661 wydanej książce do nabożeństwa, pod

tytułem *Putni towarusz*, robi następującą uwagę: „Ze wszystkich na świecie książek najmniej jest drukowanych po chorwacku“. Aby ich przysporzyć, zabrała się więc zacna i myśląca Chorwatka, do ułożenia i wydania książki chorwackiej. W przedmowie robi przysięgę, iż lęka się, aby jej, jako kobiecie, nie brano za złe, iż pisze i wydaje książki. Znakomity powieściopisarz T. T. Jeż w zajmującej powieści *Miłość w opałach*¹⁾ przedstawia między innymi Annę Katarzynę Zrińską w chwili jej zabiegów o pozyskanie dla męża państwa Chorwacji.

Najstarsza córka Anny Katarzyny i Piotra Zrińskich wyszła za mąż za Franciszka I Rakoczego, księcia Siedmiogrodu. Obdarzona niezwyklei zdolnościami, pod okiem matki i ojca, męskie odbierała wykształcenie, była podziwem przebywających na zamku czakowackim gości. Grekę, łacinę, klasyków, historję starożytną, znała jak erudyta jaki. Imponująco piękna, marzycielka, zasłuchana w opowieści i dumy chorwackie, w tęskne szepty słowiańskiej wiosny, była celem cichych marzeń i westchnień dobijających się odznaczenia na dworze Zrińskiego junaków. Polityka czy serce oddało jej rękę Rakoczemu? — trudno zbadać. Gorąco tego małżeństwa pragnęła matka ks. Franciszka, wpływowa na dworze wiedeńskim pani, wdowa po smutnej pamięci z wojen szwedzkich, księciu Jerzym, sprzymierzeńcu Karola Gustawa. Zriński, chcąc utrwalić dla dobra Chorwacji swoje stanowisko, nie mógł się opierać, zresztą książę Franciszek był młody, piękny i waleczny; serce Zrińskiej żywiej uderzyć dla niego mogło. I on wziął również udział w spisku ojca i wuja żony; tylko, że wpływy matki ocaliły mu życie. W kilka lat po śmierci męża Helena Zrińska, zawsze

¹⁾ „Ateneum“ Warszawskie r. 1886.

piękna, rozumna, urokiem przebytych cierpień owiana, górująca ponad błyszczące na dworze wiedeńskim damy, zwróciła na siebie uwagę hrabiego Emeryka Tököly. Młody, inteligentny, zapalony Węgier wychowany w niechęci do dworu wiedeńskiego, dusza spiskującej magnaterji, odczuł w Helenie pokrewną sobie istotę. Wśród huków dział, z bronią w ręku, mierząc razy w pierś nieprzyjaciela, zawsze i wszędzie miał przed oczyma postać ukochanej kobiety.

Helena Rakoczy całą potęgą zanego i szlachetnego serca ukochała przywódcę powstańców węgierskich. Polityka przeszkadzała połączeniu się obojga. Ciężkie i bolesne chwile przeżyła Helena w niepewności o los wybranego. Zaledwie po kilku latach opozycji, Wiedeń zgodził się na związek nienawistnych sobie rodów. Ogarniające całe Węgry rozruchy, obawa najazdu Turków, których zawezwaniem groził Tököly, wpłynęły na zmianę przekonań dworu. W 1682 roku, córka Zrińskich i Frankopanów, została żoną Emeryka Tökölego. Pomimo miłości, jaka połączyła oboje, Helena nie zaznała szczęścia i spokoju. Nie było go w całym kraju, nie było i w Munkacsu, głównej siedzibie Tökölego. Wiedeń pomylił się, przypuszczając, iż Tököli, otrzymawszy pozwolenie zawarcia związków małżeńskich, zmieni politykę. Szczęście nie zachwiało jego przekonań. Życie Tökölego to jeden łańcuch walk, planów i zawiedzionych nadziei. Z obozu do obozu przebiegając, jak błyskawica rozjaśniał na chwilę ściany domowego ogniska. Helena wtajemniczona w jego zamiary nie raz w drobnych swoich dłoniach trzymała nawiązane przez niego sieci.

Gdy wojska cesarskie stanęły pod murami Munkacza, Tökölego burze zagnały daleko, u Turków szukał pomocy i przymierza. W starej siedzibie Ra-

koczych, została tylko Helena z dwojgiem dzieci z pierwszego małżeństwa. Trzy lata wojska obozowały pod murami miasta. Helena z dumą i wzgardą, odrzucała wszelkie propozycje oddania zamku. Co rano wychodziła na baszty, obliczała siły nieprzyjaciela, zachęcała do walecznej obrony, upadających na duchu wspierała odwagą, która nie opuszczała nigdy niezwykłego charakteru kobiety.

Dopiero gdy głód i nędza zagroziły oblężonym, Helena, patrząc na wynędzniałe twarze załogi, z rozpaczą w duszy pozwoliła otworzyć bramy miasta (1688).

Po zdobyciu Munkacza, wywieziono ją wraz z dziećmi do Wiednia. Szesnastoletnia córka Julja, poślubiona została wkrótce potem hrabiemu Aspermont; syn oddany pod opiekę Jezuitów, w kilka lat później, zasłynął jako Franciszek II Rakoczy. Węgry ze czcią wspominają imię wnuka Zrińskich i Frankopanów. Tragiczność losu, otaczająca kobiety z Frankopanów rodu, towarzyszyła Helenie Tököly do grobu. Wszystko, co wokoło tej gwiazdy, jaśniejącej najczystszym blaskiem, krążyło, skazane było na zagładę. Gdy matka jej Anna Katarzyna była ostatnią z Frankopanów rodu, z teściową księżną Rakoczy, zeszła do grobu ostatnia Batorówna. Nieszczęśliwy brat Heleny, Jan Antoni, wspólnie z nią zamykają w historii kartę rodu, który był chlubą i dumą Chorwatów, a którego pochodzenie przywłaszczają sobie Węgry.

Helena Tököly, majątek, spokój, życie całe, poświęciła ukochanemu człowiekowi. Kiedy po zawarciu pokoju Karłowickiego (1699) Tököly, wygnany z granic Austrii, uwięziony przez Turków, znalazł ostatnie schronienie w Azji, wierna kochająca żona podążyła za nim. Przebrana w obce szaty, zmyliwszy czujność otaczających ją opiekunów, mimo tysiąca przeszkód, dotarła do Anatolji. Miłość i poświęcenie, były jedy-

nymi przewodnikami w ciężkiej nadludzkiej podróży. Dziecię południa, urodzone i wychowane w blaskach i dostatkach książęcego rodu, na której czole świeciły mitry i korony, z pogodą ducha, znosiła ciężkie brzemień losu. Nie trwożyła jej nędza, ubóstwo, otoczenie wrogich i dzikich Turków: Helena Zrińska za szczęśliwą się jeszcze uważała, że okoliczności pozwoliły jej słodzić mężowi straszne chwile wygnania.

JÓZEFA TURNOGRADZKA.

Z książki p. t. Upominek. Książka zbiorowa ku czci Elizy Orzeszkowej (1866—1891). Kraków — Petersburg. 89. str. 464—465

Jednocześnie, gdy u nas plejada entuzjastek szlachetnym świeciła blaskiem, na południu Słowiańszczyzny, w ojczyźnie Wodnika i Blajwajsa, zajaśniał niezwykle talent kobiecy. Pojawienie się wyjątkowej, w różne kierunki rozstrzelonej twórczości ducha zelektryzowało Słoweńców. Wspomniany wyżej prowodyr ówczesnego narodowego ruchu, Blajwajs, redaktor słoweńskiej „Pszczoły“, Janežic, poezji i polityce oddany Wawrzyniec Toman, słowem cała garstka ówczesnych patriotów zwróciła uwagę na utwory podpisane nazwiskiem Józefy Turnogradzkiej. Ruch, wywołany działalnością Blajwajsa, znalazł odbicie w sercu szlachetnie myślącej Słowenki. Patriotyczna pobudka, porywająca swoją nutą młodzież, i ją zachęciła do pracy. Turnogradzka, właściwie Józefa Urbanczyówna, pierwszym utworem zdobyła sobie uznanie ¹⁾ Talent niezwykle, obok bogactwa i świeżości fantazji, ujawnił głęboką znajomość serc i charakterów ludzkich. Nikt początkowo w zajmujących ogół powieściach i poezjach nie domyślał się wieku osiemnastoletniej autorki. Ten wonny, południowy kwiat, wyhodowany pieczyotą rozumnej i kochającej matki, wykołysany

¹⁾ Drukowany w wychodzącej w Celowcu słoweńskiej „Pszczole“.

słowiańską pieśnią i legendą, przyszedł na świat w roku 1833 w miasteczku Turno w górnej Krainie. Od nazwy rodzinnego miasta przybrała Urbanczycówna pseudonim, pod którym znaną była wyłącznie. Zdumiewające zdolności dziecka skłoniły rodziców do oddania jej na wyższą pensję. Lecz schematyczny plan nauk nie był dostatecznym dla umysłu, który z dziwną subtelnością odczuwał piękność w klasykach starożytności, lub poił się świeżą poezją Słowian. Turnogradzka rozwiązywała najtrudniejsze zadania matematyczne, z całem zamiłowaniem studjowała nauki przyrodzone, języki słowiańskie, a przytem słynęła jako biegła pianistka i kompozytorka pieśni. Z wiedzą, nabytą w krótkiej gorączkowej pracy, z wrodzonym darem poezji, łączyła wszystkie cnoty i powaby niewieście. Piękna, wyniosłej postaci, jak pisali o niej współcześni, wdziękiem i dobrocią ujmowała wszystkich. W osiemnastym roku życia wyszła za mąż, za poetę i patriotę słoweńskiego, Wawrzyńca Tomana. Najczystsza, najszlachetniejsza miłość połączyła dwa, w jednym kierunku i dla wspólnych celów bijące serca. Gdy mąż, oddany polityce, kruszył kopję w obronie praw i swobód Słoweńców, żona pieśnią lub powieścią entuzjazmowała czytelników. Analiza serca ludzkiego, dzisiaj specjalność powieści, już przed czterdziestu laty zajmowała umysł słoweńskiej pisarki. Jakby w przeczuciu rychłej śmierci, Turnogradzka tworzyła gorączkowo, z jednej pracy przerzucała się w drugą. Stąd wiele powieści i poezji zostawiła w rękopisach, podobnie jak i tragedję oraz operę, z której pełne oryginalności melodie wysoko stawiali znawcy. Wszystko, cokolwiek wyszło zpod jej pióra, było niezwykle, oryginalne, jak niezwykłą była cała jej organizacja, której pojawienie się jest jedną więcej psychiczną zagadką. Talent Turnogradzkiej porównać można ze

zmarłą niedawno Julją Hasdeu, tylko, że echo piszącej po francusku Rumunki krytyka francuska rozniosła daleko.

Pisząca dla swoich Słowenka, wśród swoich znaną i cenioną była. Gdy śmierć w 21 roku życia wyrwała ją z objęć ukochanych, szczery żal odbił się w sercach i piśmiennictwie Słoweńców. Szkoda tylko, że na dorobku będące społeczeństwo nie miało dość zasobów i czasu zająć się jej literacką spuścizną. Mąż poetki, Wawrzyniec Toman, nosił się z tą myślą, lecz i on za wcześnie opuścił na wieki kraj i ziomków swoich.

Józefa Turnogradzka, jak meteor, zabłysła w bliskości Sawą obłanych stóp Triglawu i, jak meteor, zgasła w Gracu.



SPIS RZECZY

w książce niniejszej zawartych:

<i>Przedmowa</i>	III
<i>Dworzanin ostatniego Piasta</i>	1
<i>Józef Lompa życiorys</i>	168
<i>Na średnim Śląsku</i>	173
<i>Nad Łabą</i>	183
<i>Z przeszłości i teraźniejszości Łużyc</i>	187
<i>Kobiety słowiańskie</i>	245
Kobiety nad brzegami Wagu i Nitry . . .	247
Z pieśni Adolfa Hayduka	258
Kobieta czeska z XVII w.	260
Kobieta chorwacka XVI—XVII w.	267
Józefa Turnogradzka (poetka słoweńska) .	279



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000741624



II 52907/1
Pracownia Śląska

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000741623



II 52907/2
Pracownia Śląska

X